

NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM II

NEW POLAND MONTHLY

ZESZYT 11

LONDYN

LISTOPAD

1943

ANTONI SŁONIMSKI

11. XI. 1943

Wczoraj było Polaków londyńskich zebranie,
Gdy zasiedli w mundurach ozdobionych suto,
Wstał szybko Prezes Izawy, żalów Egzekutor
I szepnął: Proszę uczcić zmarłych przez powstanie!

I pomyślałem sobie — stojąc gdzieś przy ścianie —
Że nad nami jest chmura, co piorunem świeci.
Nie minutą milczenia lecz wrzawą stuleci
Trzeba nam się o Twoje modlić zmiłowanie.

I pomyślałem jeszcze: daj nam kiedyś Panie,
Jeśli już musi nadejść ten mrok krwawej nocy,
Walczyć nie przeciw obcej lecz własnej przemocy,
Kiedy lud gniewny uczci zmarłych przez POWSTANIE.

O PEŁNE WYZWOLENIE CZŁOWIEKA

Republika Globu.

Ile fikcji by się rozwiało, jak urealniałyby się kontakty z materialną i psychiczną rzeczywistością, ile bezpłodnego wysiłku, a przede wszystkim ile krwi i żyć ludzkich można by ocalić, gdyby powstała Republika Globu. Przez Republikę Globu rozumiemy nie tyle jednolitą formę organizacji politycznej czy gospodarczej, ile tę formę istnienia, przy której wyzwoleni byłibyśmy z narzędzi i rządzących władania politycznego oraz z trosk materialnych. Długa droga leży za nami, droga która wiodła od rozproszonych gromad, żyjących doświadczeniami najbliższych ludzi i rzeczywistością przyrody poprzez różniczkujące się formy bytu i pracy, usuwające jednostkę i byt otaczający na rzecz fikcji zbiorowości oraz nominalizmu poznania. Obecnie drogi rozwoju tracą coraz to bardziej swą wyrazistość. Decyzja zależy od nas. Albo wrócimy do źródeł siły, do człowieka realnego, a wzbogaconego doświadczeniem żmudnej wędrówki, albo zagubimy się w świecie imaginacyjnym i dobra przyroda usunie nas w spokój śmierci. Wybór dziś już nie tyle przysługuje jednostkom, ile masom. Uwarunkowany jest ich ofiarnością i ich zdolnością ponoszenia wysiłku. Za kierunek decyzji ponoszą jednak odpowiedzialność ci, których los obdarzył dynamizmem oraz wolą i wiarą w przemianę.

Rozpalić wyobraźnię ludzką wizją człowieka wyzwolonego z tysięcy niezrozumiałych obcych naturze zakazów i nakazów, zdemobilizować i zaprząć do działalności produkcyjnej wszechwładną biurokrację rządzącą w imieniu „suwerennych”, mitycznych „interesów państwowych”, umożliwić człowiekowi korzystanie z nieograniczonych dóbr przyrody, spożytkować olbrzymie siły świata dla usunięcia gniotących nas trosk materialnych, zbliżyć człowieka do natury i do jego własnego sumienia, oprzeć go o rzeczywistość w tworzeniu dóbr kulturalnych, związać narzędzia poznania i środki porozumienia z treścią psychiczną oraz z właściwościami materii, zachować dorobek odrębnych kultur — oznacza to stworzyć podstawy pełnego wyzwolenia. Marzyć i dążyć nam wolno — co więcej każdy żywy, mocny ciałem i duchem organizm ma ten obowiązek. Tak pojętej Republiki Globu nie wolno nam uważać za utopię, uznać ją należy za cel realny, choć w głębi dalekiej widniejącej perspektywy.

Realizacja celu odległego składa się z etapów, których kolejne osiągnięcie dodaje sił wykonawcom. Etapy, zakreślone planem, a leżące na linii celu, stanowią drogowskazy chroniące przed błędzeniem. Słaby jest wzrok ludzki i zawodne metody naszego myślenia. Nieraz coś bardzo bliskiego, coś co jednym ruchem ręki można osiągnąć, zdaje się być nie do uzyskania. Wobec tych naszych właściwości należy baczyć aby nie prześlepić momentu, który może się nie powtórzyć, a także aby nie obrać takiej drogi która nas oddali od celu. Zdając sobie sprawę z naszych ułomności powinniśmy zapytać czy już dziś nie możnaby się pokusić o realizację tego co wydaje się tak odległe? Może już obecnie na skutek strasznego ciężaru wojny, na skutek ucisku przerażających nieprawości, nadchodzi chwila aby powiedzieć: stań się?

Lecz spójrzmy na mapę świata. Rzućmy okiem na obie półku-

le, przyjrzyjmy się konturom lądów i wysp utopionych w morzach i oceanach, przebiegnijmy wzrokiem kolorowe plamy krajów, znaczące tak wiele dla poszczególnych obserwatorów i pomyślimy... Około trzech czwartych lądowej powierzchni świata jest zamieszkałe przez mniej niż 16-tu ludzi na milę kwadratową. Zaledwie około dwóch procent ziem posiada ludność o skupieniu zwartym. Takie tereny znajdują się w zachodniej i środkowej Europie, w południowej i wschodniej części Azji oraz na niewielkich przestrzeniach Ameryki Północnej. Pozostały świat, to przeważnie ziemie dziewicze z nieprzebranymi możliwościami natury. Na tych ziemiach osiedla ludzkie, to raczej obiecujące oazy, niż władcze posterunki. Czy na stan ten wpływa może to, że ziemie te, to nieurodzajne pustynie? Nie, Sahara, Gobi, piaski Azji Mniejszej, nieogócinne, bezwodne przestrzenie Australii, to zaledwie wyspy na tle zielonych lądów, poprzecinanych błękitem, srebrem lub szarością wód. Gościńce, kanały, linie kolejowe, wdzierają się zresztą ciągle w serca pustyni. Czy wolno w tych warunkach mówić o przeludnieniu ziemi? Czy raczej nie należy uznać, iż źródłem trosk materialnych jest nasza niezaradność i nasze samolubstwo? Ginie opowieść o przeludnionej ziemi, ginie tak jak szereg innych mitów przy zetknięciu z prawdą życia. Najistotniejszą przeszkodą w realizacji Republiki Globu jest nie co innego jak małe nasycenie ziemi bytem człowieka i jego dziełami.

Technika nie spotyka już poważnych przeszkód na drodze do objęcia globu w pełne posiadanie. Samolot opanowuje przestrzeń w tempie pozwalającym na planowanie w niedalekiej przyszłości lotu dookoła świata w ciągu jednej doby. Coraz odważniej spogląda człowiek na najbliższych sąsiadów ziemi i coraz to realniej myśli o zawarciu bliższej z ich powierzchnią znajomości. To zaś wszystko rodzi się z odwagi mózgów i czynów nielicznych grup ludzkich, bytujących wśród pustkowi lądów. To wszystko powstaje przede wszystkim wśród szczupłego grona jednostek i społeczeństw Zachodniej Europy, które przeszły ogrom doświadczeń i nie utraciły dynamizmu. Główna masa ludzi pozostaje dotąd w tyle. Olbrzymie obszary nie tylko nie są jeszcze objęte świadomością i poczuciem dostojeństwa ludzkiego, nie tylko olbrzymia większość ludzi nie gardzi słowem wojna, ale wielkie przestrzenie ziemi nie zostały jeszcze nawet objęte w fizyczne posiadanie człowieka. Dlatego też Republika Globu, to sprawa jutra. Należy ją wszakże wśród świadomych realizować już dzisiaj. I dzisiaj już trzeba znaczyć etapy pochodu.

Z morza przestrzeni zaludnionych należy wyodrębnić Chiny i Indie. Kraje te grupujące około trzeciej części całej ludności świata, szły dotąd odmiennymi od naszych drogami. Ich dotychczasowy tryb życia, nie pozbawiony swoistych walorów, umieścił je poza współczesnym prądem rozwojowym. Ludność południowej Azji o starej i wielkiej kulturze może się poszczycić tego typu dorobkiem, który narodom zahypnotyzowanym postęпами techniki powinno dać zrozumienie stosunku codzienności do zagadnień istoty bytu, pogłębiając poczucie proporcji problemów życiowych. Olbrzymi wysiłek mas chłopskich Chin i Indii z ich odrębnym dorobkiem psychicznym, z ich nienaruszonym instynktem, gwarantuje utrzymanie osiągnięć gatunkowych i uzupełnienie naszych zdobyczy. Wartości te, to wkład bezcenny do kultur uprzemysłowionego zachodu, mogący mu przywrócić zatraconą równowagę i poczucie rzeczywistości. By osiąść te ziemie dla

Republiki Globu trzeba zbliżyć dusze obcych dotąd sobie światów. Jednak sprawy zbliżenia i poznania duchowego w warunkach tak odrębnego kształtowania się psychik, to, jak dowodzi doświadczenie sprawa trudniejsza niżeli budowa kolei przez Saharę lub przeprowadzenie dróg przez niedostępne Himalaje czy tajemniczy Tybet. Wojna obecna stawia Chiny i Indie przed obliczem nieznanych zagadnień, zaznajamia je z naszymi problematami i pozwala zacieśniać związki z dalekim zachodem. Kontakt tych narodów z brutalną siłą, niekrępującą się w wyborze środków dla siania zagłady — wywoła nieuniknione refleksje. Zrodzi się pytanie: jak pogodzić dotychczasowe wyobrażenia o życiu z tym, co nieodparcie przychodzi z burzą współczesnej techniki wojennej.

Chiny i Indie dojrzewają do nowych rozstrzygnięć. Jeśli przy tych rozstrzygnięciach nie wyzyskamy tego co ich kultura w ciągu wieków wypracowała, jeśli poza estetyzowaniem nie podejmiemy bliżej do zagadnień życia na wschodzie, to biada dotychczasowym władcom globu. Jeśli natomiast ludy Azji, zachowując swój dorobek sharmonizują go z dorobkiem świata zachodu, a ten ostatni nie uchyli się od przyjęcia dorobku rdzenia Azji — to zbliży się czas powszechnego odrodzenia. Dziś od demokracji świata zachodniego zależy, czy stanąwszy na ziemiach Chin i Indii w roli przyjaciół, okażą się godne roli, darowanej im przez historię, czy też wrócą do stanowiska protektorów handlarzy opium. Jeżeli wrócą — bardzo oddali się czas Republiki Globu.

Mimo wszystkie możliwości współpracy nie należy przypuszczać, aby w najbliższych czasach Chiny czy Indie mogły się stać ogniwami nowego porządku światowego. Za dużo pracy nad opanowaniem trudności materialnych, i związanych z tym przeobrażeń społecznych stoi przed tymi ludami, aby masy ich miały wkrótce stanąć w szeregach świadomych szermierzy walki o pełne wyzwolenie człowieka.

Przy północno-wschodnim wybrzeżu Azji znajdują się również gęsto zaludnione wyspy o jakżesz odrębnym od większości mieszkańców tego kontynentu charakterze ludności. Japonia — kraj zahartowany w wojnach z człowiekiem i w walce z przeciwnościami okrutnej tutaj natury, jest krajem pełnym podziwu dla techniki i materialnych zdobyczy dalekiego zachodu. Państwo przeludnione, pożądające surowców i ziemi. Obywatel cierpliwie znoszący nędzę i trud mało płatnej pracy, mający pogardę śmierci, zdolny do ponoszenia i zadawania cierpień, naród żołnierzy i marynarzy, pobratymca psychiczny współczesnych Germanów. Zanim ten lud zostanie oswojony i włączony w zespół, liczne będą klęski jeszcze zadane i otrzymane przez tę rasę wschodnich wojowników.

Szereg ziem Azji i szereg wysp Oceanu Spokojnego oraz Indyjskiego, żyje życiem roślinnym, dojrzewając w słońcu do swoich przeznaczeń. Anglosasi, Holendrzy i inni przybysze z Europy, czy Ameryki Północnej, osiedli tu w tych czasach, kiedy dzikość białego człowieka i jego żądza przewagi nie miały sobie równych. Rozwijali się oni jednak prędzej, zbliżali do epoki pełnego człowieczeństwa szybciej, aniżeli ujarzmione ludy kolorowe. Grabiąc i obdarowując, zostawiali raczej pamięć krzywdy niż wspomnienie dobra. Ludność tubylcza, osiąga powoli pełniejszą świadomość, jednak gorzyc doznanych zniewag przesłania jej wszelką trzeźwość sądu, a i biały człowiek często usilnie pracuje, aby nie-

zadowolenie pogłębić. Proces kształtowania tych terenów tak pod względem społecznym jak i politycznym trwać będzie długo. Czeka ją jeszcze wstrząsy wewnętrzne, trzeba się jeszcze liczyć z okresem rozczłonkowania na drobniejsze jednostki narodowe, wyzwania się spod obcej dominacji, opanowywania technicznych i materialnych trudności, zanim w ogniu walk, obejmujących liczne płaszczyzny życia dojrzeje tam pełny, wyrozumiały dla innych, świadomy swych wad i zalet, wolny w wyborze swych dróg — człowiek, obywatel Republiki Globu.

Puszcze podzwrotnikowe, wyniosłe płaskowzgórza, oazy pustynne obszernego ładu afrykańskiego posiadają ludność nieliczną. Brak tam linii kolejowych, autostrad, lotnisk aby łączyć odległe osiedla. Ani poziom kultury, ani poziom wytwórczości nie dorównywuje już nie tylko krajom przodującym, ale nawet krajom opóźnionym w nowoczesnym rozwoju. Ludność tubylcza dopiero wychodzi ze stanu przerażenia w którą wprowadzał ją żądny łupów człowiek przybyły z niedalekiej Europy lub odleglejszej Ameryki Północnej. Do okrzepnięcia wewnętrznego mieszkańców tego kontynentu, do ich samowiedzy droga jeszcze daleka. Ludność napływowa może budować wspaniałe osiedla, może opanowywać najrentowniejsze skrawki ziemi, ale niełatwo jej przyjdzie posiąść tajemnice czarnego ładu, i stać się jego władczynią.

Kultury arabskie aczkolwiek bardzo odrębne — zawierają w sobie pewne pierwiastki, pozwalające na powiązanie tych części ziemi w jednolity organizm polityczno-gospodarczy z Europą. Czy jednak taki związek, obejmujący w jednym organizmie obywateli zachodniej i środkowej Europy czy obywateli Ameryki — z ładem afrykańskim dałby dzisiaj dobry dla tych ostatnich rezultat — należy wątpić. Jeszcześmy w naszej kulturze za drapieżni, za pewni siebie, za bardzo zarozumiali, aby równość formalna mogła przybrać postać równości faktycznej. Trudno przypuszczać, aby już obecnie taki układ stwarzał dostateczne zabezpieczenie dla jakże faktycznie bezbronnych wobec nas, nawet najsrońszych ludożerców.

Lasy, których gęstwiny nie przejrzy ludzkie oko, szerokie rozlewiska największych rzek świata, żyzne, wysłane pierwotną, niezrównaną glebą, olbrzymie doliny, góry pełne skarbów, a wszystko to bezpieczeństwa zostawione losowi — oto ład Ameryki Południowej. Niewielkie osady, niewielkie miasta. Człowiek różnych ras, różnych kultur i różnych poziomów bez własnego skrytykowanego wyrazu psychicznego, to jeszcze nie obywatel wymarzonej wspólnoty. Wśród większości mieszkańców tego kontynentu pulsują wspomnienia miejsc, gdzie żyli ich ojcowie, zachowuje się mowa i obyczaj starego kraju, brak poczucia wspólnych ideałów, wiążących gromady do działań o szerokim zasięgu. Człowiek zaabsorbowany sprawami dnia codziennego, a mający ich tak wiele w tej pustce oczekującej twórczych rąk, nie może być fascynowany ideami szerokiego świata. Ideały te mogą go kiedyś zapalić, lecz teraz jest on na to jeszcze za mało silny w stosunku do otaczającej rzeczywistości, za mało nad nią władczy. Człowieka w tym stadium rozwoju raczej może zapalić chęć stworzenia jeszcze jednej odrębnej Republiki, niż myśl o uniwersalnej organizacji świata. Tenże sam obywatel, na tymże samym poziomie indywidualnego rozwoju w warunkach współżycia narodów dynamicznych, zgęszczonych na małych przestrzeniach

stałby się pionierem idei współczesnych. Zgubiony wśród dziewiczych przestrzeni, nic innego nie może spełnić, jak tylko gromadzić dobro doświadczeń, mnożyć swój dorobek materialny i duchowy na dni przyszłe. Za mało dziś jeszcze śladów zwycięstw i klęsk na tym terenie, za mało smutku i radości tu się nagromadziło, aby ten dobry materiał ludzki, jaki tu zamieszkał mógł być czynny w reorganizacji i urzędzeniu świata jutra.

Okolo czwartej części kontynentów wschodniej półkuli świata stanowią obszary rządzone w imieniu narodu rosyjskiego. Na tym wielkim terenie obejmującym okolo połowy Europy i Azji mieszka prawdopodobnie niespełna 180 milionów ludzi. Bogactwa materialne leżą tu często odłogiem. Główne centra produkcji i administracji są położone na pograniczu zachodnim tych ziem. Ludność najbogatszych i najbardziej gospodarczo rozwiniętych okolic, cierpi nędzę w porównaniu ze standardem życia najbliższych geograficznie ziem Europy Środkowej. Zapał i iluzje właściwe grupie najlepszych obywateli — nie myślę o tych którzy rządzą, lecz o tych którzy wierzą — gubią się w labiryncie propagandowych haseł, często osłaniających zamiary imperialistyczne. Nie znoszący opozycji centralizm cechował nie tylko dawny rząd carski; nie jest on również obcy dzisiejszemu władcom Kremla. Centralizm ten usiłuje niszczyć cechy charakterystyczne ludów ziemie te zamieszkujących. Wszystko to pokryte jest frazesem zależnym od okoliczności, a wszystkiego tego dokonuje się jakoby w imię interesu rządzącej mniejszości rosyjskiej. Mniejszość ta również uciskana, również uboga czeka na wyzwolenie.

Centralizm nie liczący się z człowiekiem, znany był przez cały ciąg historii Rosji. W późnym średniowieczu, w okresie gdy Europa żyła już licznymi swobodami, rozwijającymi je w mnogich ośrodkach, gdy zaczynały już się kształtować organy europejskie wolności politycznej, Rosja dopiero wychodziła z oków niewoli tatarskiej. Wyswabadzając się z niej wstępowała wszakże w ślady książąt tatarskich, zamieniając ich bezwzględna władzę na przemoc swoich carów. Wszystko co niezależne i odrębne ginęło w jednorodnym, bezbarwnym tłumie bo taka była wola wielkorządcy.

Metody centralistyczne, uprawiane zarówno przez Rosję carską jak i przez dzisiejszy ustrój musiały doprowadzić do wielkiego przetrzebiecia konkurujących indywidualności politycznych i jednostek szukających zadowolenia w samodzielnej pracy organizacyjnej. Dlatego od najdawniejszych czasów historii Rosji znane są niedomagania aparatu administracyjnego. Brak samodzielności w decyzji oraz niedostosowanie form ustrojowych do potrzeb epoki — to choroby chroniczne. Nawet rewolucyjna improvizacja okresu bolszewickiego prowadzi w rezultacie do nawrotu ku starym formom przy zmianie nomenklatury stanowisk oraz personalnej obsady. Ustrój rosyjski stwarzał zawsze dwa typy jednostek, ludzi umiających słuchać i ludzi umiających rozkazywać. Nie ma w Rosji miejsca na ludzi, szukających rozwiązań i decyzji w rozumnym kompromisie, we wspólnej ocenie sytuacji. Brak w życiu Rosji ważnego okresu historycznego, który w zachodniej i środkowej Europie miał wielkie znaczenie dla szkolenia jednostek twórczych i energicznych. Okres księstw udzielnych, licznych prowincjonalnych dworów konkurujących ze sobą w pozyskiwaniu żołnierzy, poetów, malarzy, polityków

we współzawodniczeniu prestig'owym — nie jest znany temu wielkiemu obszarowi ziemi. Jeden car i jego jedna wola oraz jedna myśl decydowały o wszystkim. Wszelka odrębność groziła buntem lub oporem. Rosja tak wcześniej jak żaden inny naród Europy, została zunifikowana. Szczupła grupa skupiona koło stopni tronu, stanowiła elitę. Elita ta mieszkała w najbliższym promieniu carskiego pałacu, w niewielu domach stolicy. Cały pozostały olbrzymi obszar Rosji trwał w cieniu milcząc i słuchając by istnieć. Brak okresu feudalnego — bo nie wystarczał okres przed najściem Mongołów — ciąży po dziś dzień na życiu tego państwa. Imperializm rosyjski, zagarniający wielkie przestrzenie więcej lub mniej niezależnych państw i tępiący u nich wszelki żywot dynamiczny, pogłębiał trudności rozwojowe.

Okres bolszewicki wykrwawił wiele inteligencji, narosłej w krótkim czasie rządów liberalnych, usuwając nie tylko ją, lecz także liczne samorodne talenty, ujawnione w masach chłopskich i robotniczych. Radykalne niszczenie indywidualności, jakie nastąpiło po okresie rewolucyjnym, nie da się odrobić dzisiejszymi metodami nauczania, dążącymi do szkolenia bardzo szerokiego grona ciasnych specjalistów. Zjawisko to tym bardziej jest szkodliwe dla rozwoju przyszłości ludów ZSRR, że — wzorem uświęconym tradycją historyczną każdy talent, obdarzony duchem niezależności, musi się liczyć z gwałtownym przecięciem jego doczesnej egzystencji. Dowodem też wielkiego ubóstwa jest widoczna dekadencja sztuki i literatury rosyjskiej.

Jedyną domeną działalności, gdzie obdarzono ludzi pewną dozą niezależności, nawet za czasów carskich, a w której rzadko uciekano się do takich środków karnych jak śmierć lub więzienie — była domena sztuki i nauki. Twórczość artystyczna i naukowa, skupiała najtęższe jednostki z całego imperium. Dzięki wielkiemu rezerwurowi ludzkiemu oraz zatamowaniu ekspansji w pozostałych dziedzinach, tu grupowały się liczne indywidualności. Dzięki temu wyrastała wielka sztuka i mocna nauka Rosji. Na sztukę tę jak i na naukę składały się prawie wszystkie narody Imperium. Wyjątek stanowiły najmocniejsze jednostki z narodów podbitych o wysokiej odrębnej kulturze.

Pierwszy okres bolszewickiej rewolucji, okres najwartościowszy obudził wśród wielu poryw twórczy, łudząc perspektywami rozkwitu. Odrodzenie centralizmu, brak tolerancji, obawa przed indywidualnościami skłoniła władze sowieckie do stłumienia tego porywu. Dziś ostatnia pepiniera swobody Rosji carskiej ginie nie mogąc się uchronić przed zagładą. Prześladowanie elity twórczej uniemożliwia rozwój kraju. Można tu budować większe, niż w Stanach Zjednoczonych, fabryki. Można skupiać korniejsze miliony niewolników taśmy mechanicznej. Można zalać świat rosyjskimi tankami, samolotami, sprzętem wojennym i pułkami mięsa armatniego, nie może natomiast Rosja przeskoczyć okresu dezintegracji rozwojowej, okresu bez którego narody zamieszkujące ziemię ZSRR nie staną się nigdy pełnowartościowym elementem w zespole świata. Czas podziałów, czas wykrystalizowania odrębności, czas szkolenia ludzi z charakterem i świadomością czeka te narody. Może będzie to okres chaosu, może pozornie odsunie nasze nadzieje, może przyczyni niejedno zmartwienie sąsiadom bliższym i dalszym. Wszakże nastąpić musi.

Na zachodnich rubieżach ZSRR znajdują się te obszary, któreśmy zwykli określać mianem Europy. Duża ilość mniejszych

i większych spłachetków ziemi poprzecinanych liniami słupów granicznych oraz barier celnych. Obszary te dzieli szereg zawisłości, antypatii i niechęci, jednocześnie są one największą kuźnią twórczości intelektualnej, artystycznej i technicznej. Państwa tu położone są siedliskiem wiecznych sporów i krwawych walk. Wydeptane drogi, schodzone ścieżki przecinają we wszystkich kierunkach ten szczupły skrawek ładu. Wszystko tu znamy. Wszystko tu nasycone jest myślą i trudem naszym. Wszędzie tu mnóstwo ludzi żyjących pełnią wysiłku. Ci zaś którzy wypoczywają kryją w sobie wielkie doświadczenia gatunku, — gotowe służyć przyszłym pokoleniom. Te zbiorowiska raz po raz stojące do krwawych zmagania, pełne umiejętności niszczenia, są sumą jednostek najbardziej doświadczonych przez własne pasje, cierpiących — periodycznie na zanik trzeźwości. Powtarzające się stale zawieruchy dziejowe, wiodą Europejczyków do zrozumienia roli człowieka, budząc w walczących coraz większą tęsknotę za życiem wyzbytym bratobójczych mordów i niecelowych wysiłków. Niszczycielskie skutki wojny ostatniej, oraz klęski obecne może wstrząsną wreszcie wrażliwością mas i skłonią je do głębszego zastanowienia. Może Europa poczuje wolę nowego porządku świata. Groza przenikająca do najodleglejszej chaty europejskiego ładu przemawia za braterskim zespoleniem ludów. Z pomocą zaś wierze w lepsze jutro, przychodzi możliwość rozporządzania olbrzymimi siłami natury, które miast być używane dla celów wojny, mogą zapewnić beztróską materialną i rozszerzyć zakres dobrod każdego człowieka. Ten skłócony fragment ludzkości dopracowuje się więc i zbliża do dni, w których gorycz i trud dotychczasowego bytu zastąpione zostaną przez nowe formy rozwojowe.

Niemcy, bohaterowie Walhalli, potomkowie bóstw, którym podstęp, fałsz, miecz i krew są miłe, Niemcy, kopalnia talentów organizacyjnych i wiedzy, naród, żyjący w środku Europy na skrzyżowaniu licznych dróg, drapieżny i zarazem potulny, targany wszystkimi pasjami — dojrzeje z czasem, aby się brzydzić tym, co dziś za cnotę największą uważa. Nie na darmo naród ten hodował przez szereg stuleci jednostki twórcze po wolnych miastach i na dworach licznych konkurujących z sobą królów i książąt. Nie na darmo za ojczyznę uważano tam przez wieki „państwa”, które, jak barwnie pisał Hegel, nie mogły na swym terenie pomieścić wozu z zaprzęgiem, nie naruszając suwerenności sąsiada. Te same Niemcy połączone w jednolity organizm polityczny, skonsolidowane wewnętrznie, twórcze technicznie, nie pomne dawnych porażek i klęsk — wytworzyły takie góry pychy, spoza których trudno jest dostrzegać rzeczywistość. Nie darmo Fichte z szeregiem innych myślicieli przekonywali swych rodaków o specjalnej misji narodu niemieckiego. Nie darmo Wagner i inni wielcy artyści działając na uczucia i wyobraźnię kształtowali jaźń niemiecką na obraz imaginacyjnej wielkości. Nie darmo obcy, w rodzaju Austina Chamberlaina, ubrali przekonania te i wiarę w system myślowy, który, głoszony przez bezstronnego pozornie cudzoziemca dawał narodowi niemieckiemu prawo czucia się i działania jak naród wybrany.

Cóż może doprowadzić te krwawe bestie do spokojnej, ludzkiej równowagi? Jeden jest tylko środek leczniczy, a na imię mu klęska. Klęska, a im straszniejsza, im bardziej naoczna, im głębiej wsączona w krew i pamięć, — tym skuteczniejsza dla otrzeź-

wienia szaleńców. A ewentualne ich przebudzenie może mieć doniosłe znaczenie dla świata, wzmocni bowiem siły twórcze ludzkości. Mimo wszystkie nieszczęścia, jakie wielokrotnie sprowadzili na bliższych i dalszych sąsiadów, Niemcy po doznaniu wielkich klęsk i wymierzeniu im twardej sprawiedliwości, mogą stać się elementem lepszego ładu. Ich zwycięstwo odniesione dziś byłoby katastrofalnym zahamowaniem rozwoju wszystkich narodów na długie dziesięciolecie. Natomiast druzgocząca klęska obecna Niemiec dzisiejszych powinna być zadatkami nowej szczęśliwej ery.

Europa centralno-południowo-wschodnia — to jednaście państwowo zorganizowanych narodów oraz szereg odrębnych grup etnicznych budzących się do samodzielnego życia. Dużo zawiści i niechęci, stałe prawdopodobieństwo sporów wojennych, pokrewieństwo struktury socjalnej, przewaga chłopskiego elementu, przewaga rolnictwa nad przemysłem, pokrewieństwa kulturalne, przywiązane do organicznego rozwoju, żywotność mas, duży zastęp jednostek twórczych, oto z gruba bilans tego terenu. Współzawodnictwo licznych centrów wytwarzało i wytwarza tutaj tak znaczny potencjał energetyczny, że nie tylko w swej sumie przewyższa on znacznie siły reprezentowane przez wschodniego sąsiada ale zapewne niewiele ustępuje i sąsiadowi zachodniemu. Odrębność form życia przy znacznym stopniu dojrzałości politycznej i społecznej tej części Europy, może z niej uczynić wartościowy teren doświadczalny, o mocnym rezerwuarze niezużytych sił. Liczne klęski, które nawiedzały tę strefę, nade wszystko zaś stale czyhające niebezpieczeństwo wojny, doprowadzić winno narody tu zamieszkałe do przeświadczenia o konieczności stworzenia dla nich wspólnych form bytu politycznego. Przeświadczenie to, przeświadczenie mas, przejawiające się przez długie lata przedwojenne w stałym dążeniu mas ludowych do jedności, przybrawszy nową formę — pogłębioną doświadczeniem ostatnim — zapewne będzie silniejsze niżeli sprzeciw ambitnych przewodców. Troska mas winna zabić troskę tych co pytają: „Co się stanie, w razie uzyskania jedności federacyjnej z szeregiem prezydentów, wodzów czy ministrów?” Ten gest wstępnej likwidacji części chociażby nieużytecznego społecznego balastu, będzie świadectwem dojrzwania narodów. Nie przemoc bowiem i nie gwałt powoduje najskuteczniej likwidację nieuzasadnionych odrębności, uczynić to może jedynie wola i świadomość obywateli. Wola ludów ujawniona na licznych zajętych przez Niemcy ziemiach świadczy iż okres dojrzałości się zbliża. Dążenie do dobrowolnego powiązania się krajów centralno-południowo-wschodniej Europy uzewnętrznia się mocno w tajnej literaturze i prasie terenów okupowanych. Uzewnętrznia się ono i w tych państwach, których władze podporządkowały się prawu najazdu germańskiego. Prądy te pozwalają wierzyć, że związana w jednolitym bloku ta część Europy odegra rolę czynnego szermierza przebudowy świata. Bieda, małe uprzemysłowienie tych ziem tym wydatniej dowodzą że idee federacyjne wynikają tu nie z konieczności gospodarczych lecz raczej ze skłonności psychicznej. Psychika, która ukształtowała się pod wpływem bezpośredniego stosunku do ziemi, znajduje się w większej harmonii z potrzebami i prawami życia, niżeli psychika miast żyjących w uwielbieniu dla metod konkurencji. Bieda dominującej w tych stronach liczbowo i kulturalnie ludności rolniczej zaostrażając się stale w po-

równaniu z zamożnością krajów przemysłowych, potęguje dynamizm społeczny, który musi ideały zamienić w rzeczywistość. W tych warunkach wszelkie pomysły zespolenia tych narodów pod niemieckim czy bolszewickim przewodnictwem muszą być uznane za szkodliwe. Rezultatem takiego układu musiałyby być bowiem długotrwałe krwawe walki, wyegzaltowane niebywale przez dążenia do niepodległości. Uczucia patriotyczne, nabierałyby cech szowinizmu, tamując proces dziejowy, rokujący obecnie szanse trwałych osiągnięć. — Różnice narodów Europy centralno-południowo-wschodniej to nie tylko komplikacja dla świata, to także cenny wkład do skarbcza ludzkości. Przewidywany dobrowolny związek tych ludów byłby doniosłym krokiem na drodze jej rozwoju.

Trzon kultury łatyńskiej i składnik kultury całego współczesnego świata, to Francja. Wielka dojrzałość intelektualna, stabilizacja uczuć grozi załamaniem. Nadmierne przywiązanie do pieniądza, niepowściągnięty sensualizm potęgują tę groźbę. Francji w współczesnej brak twórczej wyobraźni i wielkiego zbiorowego porywu, do trwania w szeregu najbardziej wartościowych ludów świata. Możliwym jest, że w epoce czekającego nas dosytn materialnego wynikłego z ogromnego upowszechnienia dóbr, zatracą one dla Francuzów symboliczną wartość, która dziś pęta lot ich myśli. Wtedy należy oczekiwać przełomu w psychice francuskiej i odrodzenia jej romantycznego cesarza. Wysłane z dorobku duchowego uprzednich pokoleń mogą przyjść czasy spotęgowanej wspaniałości. Geniusz Francji tkwi potencjalnie w duszach dzisiejszych francuskich sklepikarzy i nie może być uważany za ostatecznie wygasły. Bez względu jednak na to, jakie będą losy tego społeczeństwa siła atrakcyjna Francji uczyni z niej ośrodek naturalny nie tylko dla świata łatyńskiego, ale i wielu innych narodów.

Francja, Włochy, Hiszpania i Portugalia, to bliska rodzina, a wszelkie spory w tym gronie powinny w rezultacie dać związek organizacyjny jako wstęp do dalszego zespolenia. Italia, dziś największa antagonistka Francji, wyrosła na pniu z nią wspólnej kultury. Płodniejsza fizycznie i bardziej dynamiczna nie posiada jednak walorów francuskiej wytrawności. Włochy wyzbyły niecelowych tendencji imperialistycznych, narzuconych im przez ruch faszystowski, kraj artystów, myślicieli, lazzoronów, a obok tego kraj ciężko pracujących chłopów i zwinnych robotników, to ziemia obok Francji najbardziej dojrzała do przyjęcia nowej wiary. Wszystkie zresztą kraje łatyńskie są bliskie tradycji tej wielkiej epoki Rzymu, kiedy na wszystkich terenach zajętych myśl rzymska narzucała pojęcie wolności, prawa. Pomimo przewag swego oręza Rzym czerpał przecież soki rozwojowe z dobrowolnego zbratania ludów, wchodzących w skład Imperium. W tradycji Francji rewolucyjnej, w tradycji Włoch Garibaldiiego, w tradycji Półwyspu Pirenejskiego z czasów Columba, znajdujemy aluzje do najlepszych dni starożytnej Romy. W umiłowaniu wolności i prawa, w szacunku dla człowieka, w pokrewieństwie kultur i temperamentów leżą zatem źródła, pozwalające narodom łacińskim na skupienie się w ścisłym organizacyjnym związku. Osiągnięcie takiej unii nie pod naciskiem obcej przemocy ale w imię logicznych potrzeb i oczywistych pokrewieństw byłoby ważnym etapem na drodze do dalszych przemian.

W gruntowaniu siły Imperium Brytyjskiego oręż był podrzęd-

nym narzędziem. Tradycja wojenna i rola armii to raczej pierwiastki uboczne w kształtowaniu psychiki anglosaskiej. Wojsko angielskie jako aparat zespołowy, z wyłączeniem starej wypróbowanej marynarki oraz młodej, lecz już doświadczonej, awiacji — to wojsko, które w każdej wojnie z trudem na nowo zdobywa rycerskie ostrogi. Zdolność organizacyjna, zmysł realizmu, obawa przed doktrynerstwem, miłość do człowieka, poszanowanie praw jednostki, przy umiejętności uzgadniania ich z potrzebami społeczeństwa — są tymi wartościami które zdecydowały o roli Wielkiej Brytanii przy kształtowaniu dalekiej może lecz już realnej Republiki Globu. Dotychczasowe doświadczenia historyczne zdają się potwierdzać to przekonanie. Objęcie w posiadanie przez Anglosasów wielkich obcych przestrzeni, stworzenie tam szeregu organizmów państwowych poczuwających się do łącznego z macierzą działania mimo dzielących je odległości i różnic gospodarczych, dowodzi, że rasa ta jest zdolna do podejmowania tego rodzaju zadań. Prawda, że brak talentów koncepcyjnych, umożliwiających szerokie zamierzenia organizacyjne widoczny jest w poczynaniach brytyjskich. Obecny stosunek Dominiów do macierzy, oparty jedynie na wspólności krwi i wspomnień oraz na wyrachowaniach kupieckich może się okazać zawodny. Pozostawienie go bez zmian w dniach powszechnego przewrotu może wskazywać na wielkie bierności. Zmiana bierności na upór i na ofiarność, to charakterystyczne metamorfozy w czasie wojennym. Te wartości pozwalały Imperium Brytyjskiemu przetrwać nieraz okresy najcięższych prób. Nie ma w nich jednak dynamizmu a brak wyobraźni utrudnia planowanie.

Wielka Brytania najbliższa sąsiadka kontynentu europejskiego była często najslabiej poinformowana o faktycznym stanie rzeczy i biegu wypadków na tym kontynencie. Na lądzie europejskim przecież przygotowywały się wypadki, które zagrozić miały Imperium Brytyjskiemu. Ten brak przewidywania odracza epokę stabilizacji i bezpieczeństwa. Wielkie dodatnie wartości narodów Imperium Brytyjskiego nie zostaną wyzyskane dla porządkowania świata a nawet nie zapewnią prawdopodobnie dłuższego okresu spokoju im samym, jeśli Wielka Brytania nie zdobędzie się na odwagę łamania obumarłej rzeczywistości.

Konglomerat najbardziej realistycznych i najbardziej przedsięwziętych jednostek o rozwiniętej fantazji stanął twardą stopą na lądzie północno-amerykańskim. Setki tysięcy i miliony emigrantów, opuszczając ojczystą Europę, drenowało ją z najbardziej zdecydowanych indywidualności. Wszystko, co nie było syte, wszystko co zdolne do walki, posiadające wolę oraz wyobraźnię — spieszyło w szeregi kolonizatorów nowego świata. Ta potężna fala emigracyjna obejmująca po kolei ludy starego świata, musiała zaważyć na ich postawie życiowej i musiała stworzyć ognisko nowej dynamicznej cywilizacji. Wielki dorobek narodów anglosaskich leżał u źródeł tej siły. Braki umysłowości brytyjskiej znalazły uzupełnienie w fantazji i logice oraz w zdolności konstruktywnego myślenia narodów łatyńskich i słowiańskich. Zwycięski wysiłek obłaskawienia potężnych sił przyrody stworzył niespotykany w dziejach dobrobyt gospodarczy. Olbrzymie moce, oddane w służbę człowiekowi zapewniły mu nie tylko dosyt materialny ale zarazem dostęp do ukrytych dla nas tajemnic przyrody. Zakłcające spokój pożądaną młodych, niewyżytych psychik i ciał nie są groźbą dla naszego istnienia. Opanowanie

spraw materialnych nie zamknęło Amerykanina w kontemplacji ani w uciechach dosytu lecz otworzyło jednostkom najlepszym horyzonty nowych pragnień, przekraczających dzień dzisiejszy. Wraz z uzyskaniem wysokiego stopnia kultury materialnej przychodzi zrozumienie dysproporcji pomiędzy tymi osiągnięciami a duchem. Rodzi się pęd do twórczości w dziedzinach sztuki, myśli oraz organizacji. Od dalszego rozwoju tego pożądanego i od szczęśliwego zażegnania niebezpieczeństw, jakie mieści w sobie lawina bogactwa oraz związane z nim przerafinowanie — zależy los wysiłków i doświadczeń Ameryki Północnej.

Mimo wielkie możliwości rozwojowe nie należy się spodziewać trwałego rozwiązania najpoważniejszej troski naszego gatunku, troski o zachowanie młodości przodujących grup ludzkich. Sprawa utrzymania awangardy tej w jednym szeregu z tymi, którzy nadchodzą sprężystym krokiem młodości by ją zluzować zawiera w sobie tragiczne pytanie: czy świeżych sił starczy w nieskończoność. W najbliższym dla nas czasie awangardą będzie zapewne gromada z północno-amerykańskiego lądu. Jest ona dziś zapewne najbardziej dynamiczną siłą świata a w jej szeregach mieszczą się najliczniejsi świadomi czy nieświadomi bojownicy Republiki Globu.

Rzuciliśmy okiem na większość plam kolorowych pstrzających mapy świata. Widzimy jak dalecy jesteśmy od urzeczywistnienia ideału. Czy winniśmy zatem wpaść w pesymistyczną zadumę? — Przecież tylko niewielkie skrawki ziemi — tak pod względem typu psychicznego swych mieszkańców, jak gęstości zaludnienia i opanowania przyrody, oraz talentów organizacyjnych — wykazują się siłą zdolną do pozytywnego, świadomego kształtowania przyszłości. Przecież nawet bardzo rozwinięte kraje o olbrzymich możliwościach technicznych i bogatym dorobku kulturalnym, zamiast myśleć o pełnym wyzwoleniu właściwości twórczych człowieka i skoordynowaniu ich z siłami przyrody, pragną raczej władczy rozkazem i niewolniczym posłuchem utrwalac swoją przemoc. A jednak nawet te obłądne wybuchy niszczycielskiej woli jednostek czy narodów mieszczą w sobie zapowiedź konstruktywnych dokonań. Nieodparta konieczność usprawnienia wobec ludzi czy nawet wobec siebie samych czynów nieszlachetnych pozorami dobra winna być źródłem optymizmu, świadczy bowiem że nie zeszlśmy z drogi rozwoju. Nie tylko jednak ta ogólna konstatacja popiera przekonanie o postępach człowieka i ostatecznym zwycięstwie dobra. Gdybyśmy tysiąc, czy dwa tysiące lat temu zechcieli dokonać podobnego przeglądu mapy świata, to obok bezkresnych i bezkształtnych pustaci znaleźlibyśmy przestrzenie opanowane przez chaos walczących drobnych plemion. Odkrylibyśmy tysiące zaścianków, gdzie uzbrojeni starsi w gromadzie w patriotycznym uniesieniu ścierali się bohatersko z wrogami swoich drobniańskich ojczyzn. I na pewno obok pomników chwały, znanych z historii świata, odkrylibyśmy liczne objawy ofiarności i bohaterstwa, dziś już dla patriotów Anglii, Francji czy Polski tak niezrozumiałe, jak za lat kilkaset niezrozumiałe będą dzisiejsza krew i poświęcenie.

Jeśli przezyciężyliśmy na całym prawie obszarze globu epokę walk poszczególnych plemion, jeżeli pozostawiliśmy za sobą okres walk Gaskończyków z Burgundczykami, Szkotów czy Walijszczyków z Anglikami, Mazowszan z Małopolanami itp., to wyszliśmy już daleko poza formy pierwotne. Dzisiejsze wojny wiel-

kich zespołów ludzkich i dzisiejsza potęga środków zniszczenia to najlepsza szkoła wzgardy dla kosztownej rozgrywki. Usunięcie gospodarczego motywu walk i zaborów, tak prawdopodobne wobec potęgujących się zdolności produkcyjnych pomoże do zwycięstwa nad nieodpowiedzialnym, choć niemniej wielce ofiarnym bohaterstwem szermierzy praw współczesnych Putney'ów czy Hampstead'ów.

Mimo wszystko, dziś już na mapach świata znajdujemy liczne punkty gdzie przeważa dojrzałość lub istnieje możliwość szybkiego osiągnięcia dojrzałości, przy której łączność ludów świata zostanie uznana. Obok Stanów Zjednoczonych i Imperium Brytyjskiego, znaczna część narodów łatyńskich z przodującą im Francją, a w pewnym stopniu i ludy środkowo-południowo-wschodniej Europy, dochodzą do momentu rozwojowego, kiedy myśl o związku staje się nie tylko godna zaakceptowania, ale nawet ofiary. Przeszkodą do uporządkowania chociażby części Europy znajdującej się w orbicie kultury zachodniej są obecnie Niemcy, jednak i ta przeszkoda może zniknąć po klęsce i karze wraz ze zmianą psychiki narodu, który ma w historii swojej i inne postaci poza Fryderykami, Bismarckami i Hitlerami.

Wielka przeszłość ludów Azji, specjalnie Chin a w pewnej mierze i Indii pozwoli z czasem pozyskać te ludy dla idei współżycia. Warunkiem szybszych osiągnięć będzie dostarczenie im możliwości uczestnictwa w dorobku materialnym świata zachodniego. Współczesne formy produkcji przemysłowej oraz możliwości transportowe nie będą nawet wymagały zasadniczych przeobrażeń wytwórczości narodów Azji. Płody ich rolnictwa i rękodzieł są cennym elementem wytworów niewolniczej pracy maszyn. Prawdziwą trudnością z tej strony jest Japonia, kraj ten wszedłszy w okres cywilizacji przemysłowej, zaprzęgił całą swoją wolę i talenty do wytwarzania narzędzi zbrodni. Inna znów trudność przedstawia imperializm bolszewicki, który władając nad szeregiem ludów, musi przejść długi okres walk wewnętrznych, albo rozczłonkowania, aby móc nasycić jednostkami energetycznymi olbrzymie przestrzenie, dziś leżące odłogiem. Wszystkie inne ziemie i narody to sprawa długiej pracy i ewolucji, zanim przypadnie im odegranie ważkiej roli w olbrzymim organizmie ludzkim.

CZESŁAW POZNAŃSKI

EUROPA

Obraz świata powojennego — powiedzmy to otwarcie — ma dziś kontury o wiele bardziej zatarte aniżeli w roku 1940 i 1941, kiedy wydawało się nam, że wojna obecna istotnie się toczy o świat nowy, świat bezpieczeństwa zbiorowego i sprawiedliwości społecznej. Dyskutowanie więc w chwili obecnej zagadnienia Europy powojennej może się wydawać bezpłodną zabawką intelektualisty.

Wydaje mi się jednak, że tak nie jest. Nie wiemy dnia, ani godziny. Wojna może się jeszcze ciągnąć latami, może jednak zakończyć się i nadspodziewanie szybko. Nie jest więc niecelowym już dzisiaj sobie zdać sprawę z tego, jakie problemy staną przed nami w momencie zawierania pokoju, nie jest niecelowe uświa-

damiać sobie już dzisiaj pro i contra poszczególnych rozwiązań tych problemów. I takim jest cel mego artykułu. Pragnę naświetlić jedno z centralnych zagadnień, zagadnienie nas jako Polaków obchodzące w najwyższym stopniu — zagadnienie, czy należy dążyć do unifikacji Europy, czy też należy wszelkimi siłami — o ile to jest w naszej mocy — takiej unifikacji się przeciwstawić. Zaznaczam, że powstanie, czy też nie powstanie federacji Środkowo i Południowo Wschodniej Europy, która zdaje się jest dzisiaj już wspólnym programem polskim (z wyjątkiem oczywiście pewnych sobiepańskich grup) jest oczywiście w pewnym związku z zagadnieniem Europy jako całości, ale że nawet utworzenie takiej federacji bynajmniej zagadnienia unifikacji Europy nie usunie. Jest bowiem do pomyślenia, że federacja taka byłaby po prostu jednym z członów sfederowanej Europy, obok np. federacji Zachodnio-Europejskiej i Niemiec, albo wprost obok Niemiec, Włoch, Francji itd.

Jedność Europy. Hasło niewątpliwie atrakcyjne dla wszystkich, co myślą postępowo. Nazywaliśmy się nieraz przecież „dobrymi Europejczykami”, byliśmy dumni z tego, że reprezentujemy „kulturę europejską”. Jedność Europy to przecież nadzieja, że skończy się okres tych wojen europejskich, które wielu w ostatnich czasach uważało wprost za wojny domowe. Geograficznie Europa jest małym półwyspem olbrzymiego kontynentu eurazjskiego, ale ten mały półwysp w historii świata odegrał rolę olbrzymią. Czyż nie nadszedł czas by Europa stała się nie tylko pojęciem geograficznym, ale istotnie jednością?

Gdy jednak zaczniemy bliżej analizować sprawę jedności europejskiej, to wnet się przekonamy, że nie jest ona zgoła tak prosta jak się wydaje. Zobaczmy, że gdy mówiliśmy o Europie to nie zawsze wyrażaliśmy się ściśle. To, co nazywamy od stu lat kulturą europejską jest raczej kulturą atlantycką, albowiem dzisiaj tylko prawie zawdzięczamy temu, co idzie ze Stanów Zjednoczonych, ile Ameryka zawdzięcza nam. Nawet jedność geograficzna Europy, bliskość wzajemna narodów europejskich dziś już nie jest bezsporną prawdą. W epoce szybkich statków i aeroplanów czasem bardziej bliskimi są sobie wzajemnie narody przedzielone oceanami aniżeli narody, żyjące na tym samym kontynencie. Niewątpliwie przed wojną obecna Meksyk i Argentyna zarówno kulturalnie jak gospodarczo daleko silniej były związane z krajami Europy niż ze Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnej. Niewątpliwie kraje arabskie Środkowego Wschodu dużo silniejszymi niż są powiązane z krajami arabskimi Afryki Północnej i z krajami Europy, aniżeli z Chinami lub Indiami znajdującymi się na tym samym kontynencie azjatyckim. Amerykański pisarz Eugeniusz Staley w *Foreign Affairs* ogłosił artykuł pod tytułem „The myth of the Continents”. I tytuł ten mówi prawdę — bliskość geograficzna i fakt znajdowania się na tym samym kontynencie nie są bynajmniej równoznaczne ani też nie są elementem decydującym.

Norwegowie dzisiaj np. bardzo mocno akcentują, że nie uważają się bynajmniej za związanych z Europą, że są państwem atlantyckim i że jeżeli z kim pragną wejść w ściślejszy związek, to nie z narodami Europy, nawet nie ze swymi bezpośrednimi sąsiadami skandynawskimi, ale z innymi narodami atlantyckimi t.j. Wielką Brytanią i Stanami Zjednoczonymi.

Prezes Storthingu norweskiego Habro pisze w swej książce „How to win the Peace”:

„If we stop skating on the thin ice of polite speech, and soberly and realistically examine hard facts, we cannot help recognising that Continental interests are not of any solid substance or trustworthy structure.

Its cheaper and it takes less time to send a cargo of paper from Norway to Philadelphia than to send it to Moscow.

It may be well that future regional conventions will be defined on oceanic lines rather than on Continental.

It has become quite fashionable in America to talk of European union or even an European constitution. It ought to be made perfectly clear in very outspoken words that such plans have no factual background that they are contrary to historical, geographical, demographic political realities.”

Pierwszym pytaniem, które musimy sobie postawić jeżeli mówimy o unifikacji Europy jest „co to jest Europa?”. Niewątpliwie bowiem pojęcie polityczne Europy w tym wypadku nie pokrywa się z pojęciem geograficznym. Nikt z tych, którzy mówią o Europie nie ma na myśli europejskiej części Rosji. Nie jest bowiem do pomyślenia, by część Rosji stanowiła jeden z członów federacji europejskiej, podczas kiedy olbrzymie obszary Rosji Azjatyckiej pozostałyby poza jej obrębem. Nie tylko jednak Rosja pozostałaby poza obrębem przyszłej Europy. Pozostałaby poza jej obrębem i Wielka Brytania. Prawda, że Federal Union, organizacja, która na tutejszym terenie jest najmocniej zaangażowana w propagandę federacji europejskiej ma w swym programie udział Wielkiej Brytanii w tej federacji. Federal Union jednak rozporządza jedynie minimalnymi wpływami i co najmniej wątpić należy, czy idea federacji europejskiej, obejmującej także i Wielką Brytanię jest realną. Wszakże Wielka Brytania jest w związku z dominiami, które w żadnym wypadku do federacji by nie weszły. I odrazu powstałaby kwestia, czy jest możliwe, ażeby Wielka Brytania jednocześnie należała do dwóch związków — do Commonwealthu narodów brytyjskich i do jakiegoś związku europejskiego. Teoretycznie takie rozwiązanie byłoby oczywiście możliwe; ktokolwiek jednak zna nastroje panujące w dominium ten wie, że politycznie to jest nie do pomyślenia. Dominia są nastawione, może powiedzieć antyeuropejsko byłoby za mocno, ale w każdym razie z wielką rezerwą wobec Europy.

W czasie kryzysu monachijskiego jednym z decydujących momentów dla stanowiska zajętego przez rząd Wielkiej Brytanii był właśnie wzgląd na dominia, które zupełnie dały do zrozumienia, że nie chcą być wciągnięte w walkę o sprawy europejskie. Związanie się ściśle Wielkiej Brytanii z Europą łatwo by mogło pociągnąć za sobą odwrócenie się zarówno Kanady, jak Australii ku Stanom Zjednoczonym. Wejście Wielkiej Brytanii do Unii Europejskiej uniemożliwiłoby także te ściślejsze stosunki anglo-ame-rykańskie, o których Churchill wyraźnie zupełnie mówił w swej mowie na uniwersytecie Harvardzkim.

Tak że realnie, jeżeli się mówi o unii europejskiej to ma się na myśli jedynie kontynent Europy — to, co dzisiaj Niemcy nazywają Festung Europa. I tutaj odrazu nas uderza, że to przeciw jest program hitlerowski. Unifikacja Europy przeciwko krajom anglosaskim z jednej strony, a przeciwko Rosji z drugiej strony to jest hasło, które głosi stale Goebbels a za jego przykładem i Quislingi całej Europy. Wszakże dla Deata, czy Luchaire'a to nie armia niemiecka walczy z Anglią i Rosją, a armia europejska. Wszakże zasadniczą tezę kollaboracjonizmów jest, że idąc razem

z Niemcami bronią zasadniczych interesów swych krajów, które mogą żyć i prosperować jedynie w pogodzonej zunifikowanej Europie.

Zresztą zwolennicy unifikacji Europy, czy będą nimi socjaliści emigranci niemieccy (patrz broszurę *The Next Germany*), czy zwolennicy Federal Union, czy wreszcie publicyści brytyjscy pravicowi lub lewicowi wszyscy podkreślają, że idea Hitlera unifikacji Europy sama w sobie była ideą słuszną i sprawiedliwą; że złem jest jedynie że unifikacja ta połączona została z wyzyskiem innych narodów i z okrucieństwami. I często słyszy i czyta się argumentację, że ta unifikacja Europy jest już faktem dokonanym, nieodwracalnym i że idzie tylko o to, by usunąć krzywdy, które jednostronna dominacja Niemiec wyrządziła.

Nie ludźmy się. Wszelkie koncepcje, że uda się utrzymać unifikację Europy, dokonaną przez Hitlera jednocześnie zapewniając swobodny rozwój ekonomiczny i polityczny pozostałych narodów europejskich, że uda się utrzymać Festung Europa w jej obecnej formie, usuwając dominację Niemiec nad Europą nie liczą się zupełnie z faktycznym stanem rzeczy. Centralne geograficzne położenie Niemiec, ich potencjał gospodarczy zawsze zapewnią dominację Niemiec nad izolowanym kontynentem. Pan-europa jest jedynie synonimem niemieckiej Europy. Zresztą nawet angielscy adwokaci tej idei wyraźnie zupełnie się z tym liczą, że Niemcy będą miały olbrzymią rolę do odegrania w tej zjednoczonej Europie. Jak to jeden z nich sformułował, będą miały „an important, if not predominant role”.

Europa jest za mała na to, by strawić Niemcy i unieszkodliwić je. Plan gospodarczy czysto europejski siłą rzeczy byłby planem, nad którym by zaciężyły potrzeby niemieckie. Trzeba zgoda czego innego, trzeba rozbić te powiązania ekonomiczne, które Niemcy misternie budowały przez szereg lat przed wojną a wzmocniły jeszcze podczas wojny i które ekonomię Bałkanów np. całkowicie podporządkowały niemieckiej racji stanu. Na to, by Niemcy przestały być groźnymi, by przestały ciążyć nad Europą trzeba je uzależnić od rynku światowego, nie zaś od rynku europejskiego. Niemcy które będą swe zboże sprowadzać z Kanady, surowce sprowadzać z morza, które będą miały swe rynki zbytu za oceanem będą o wiele mniej niebezpieczne, aniżeli Niemcy siedzące w środku Europy i mogące na wypadek wojny czerpać wszystko czego im potrzeba z terytoriów już uprzednio gospodarczo na potrzeby niemieckie nastawionych i scałkowanych w jedno gospodarstwo europejskie.

Jeden jeszcze wzgląd przemawia przeciw unii europejskiej: wzgląd psychologiczny. Każda unia wymaga pewnego minimum poczucia wspólności, każda unia wymaga pewnego minimum sympatii między narodami w tej unii złączonymi. Czyż trzeba tłumaczyć, że tego minimum nie będzie. Czyż jest do pomyślenia, by nazajutrz po wojnie Polacy i Czesi, Jugosłowianie i Grecy, Francuzi i Holendrzy zgodzili się na unię z Niemcami, by zgodzili się zasiąść przy okrągłym stole i wspólnie debatować nad przyszłością wspólnej ojczyzny europejskiej? Pamiętajając przy tym, że w tej unii Niemcy będą najliczniejszą i najsilniejszą grupą. Prawda, że teoretycznie Niemcy będą w mniejszości o ile się weźmie całą sumę mieszkańców kontynentu, że będzie ich nawet mniej, aniżeli mieszkańców grupy państw między Morzami Bałtyckim i Egejskim. Ale tylko utopista będzie wierzył, że nie udałoby się Niemcom, siedzącym w środku wygrywać jednych przeciw dru-

gim, że nie udałoby im się wytwarzać dla siebie doraźne większości.

Hasło unifikacji Europy jest więc niewątpliwie z punktu widzenia polskiego hasłem wysoce niebezpiecznym.

Ale... Jest i druga strona medalu.

Jeżeli będziemy śledzić wypowiedzi pisarzy politycznych brytyjskich i amerykańskich to spotkamy się z całym szeregiem koncepcji podziału Europy nie mniej niebezpiecznych.

Koncepcje te uznają, że Zachodnia Europa jest nierozdzielnie związana ze światem atlantyckim. Francja, Belgia, Holandia, kraje skandynawskie, czy złączone z sobą w jakiejś unii czy nie stanowią w tych koncepcjach konieczne uzupełnienie Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych. Niektórzy (np. Tribune) uważają, że i Niemcy winny do tej zachodniej wspólnoty należeć. Wschodnia i Środkowa Europa natomiast w pojęciu tych autorów winna oprzeć się o Rosję Sowiecką, winna być z nią w tym samym stosunku, co kraje Atlantyckie w stosunku do Wielkiej Brytanii. Jest to więc nie tylko zafiksowanie podziału Europy na Europę A i Europę B, na kraje należące do zasięgu świata Zachodniego i kraje związane z Eurazją, ale po prostu stara, znana koncepcja sfer wpływów, przy czym dominujący wpływ na naszą część Europy oddaje się Rosji. Tej teorii bronią Times i profesor Carr.

Wariantem tego podziału Europy jest trójpodział, kraje Zachodniej Europy związane z systemem atlantyckim, Rosja i Centralna Europa połączona w jedną całość z Niemcami. Eksponentem tej ostatniej teorii jest między innymi G. D. H. Cole, który bardzo naiwnie pisze „It is right for Germany to be closely associated with the less developed areas of Southern and Eastern Europe. Germany is the natural market for much of the produce of these areas; and German industry is in the best position, by way of exchange to their economic development. Under the Nazis this process of exchange becomes one of exploitation. But there is no reason why it should be so under a different German regime”.

Znowu chyba nie trzeba tłumaczyć, dlaczego wszystkie plany tego rodzaju są znacznie groźniejsze niż plany unifikacji całego kontynentu europejskiego.

Prawda, że w oficjalnych wypowiedziach mężów stanu Wielkiej Brytanii teoria podziału Europy na sfery wpływów została odrzucona, tym niemniej istnieje możliwość, że po wojnie zarówno Wielka Brytania jak i Stany Zjednoczone będą chciały znowu ograniczać swe zobowiązania, że znowu będą uważały, że ich granica jest na Renie.

Oczywiście, że jest przejście między tą Scyllą i Charybdą. Wyjściem tym jest *s w i a t o w a* organizacja, która i tak jest koniecznością. Zarówno bowiem zagadnienie bezpieczeństwa zbiorowego, jak i szereg zasadniczych zagadnień gospodarczych tylko w skali światowej da się rozwiązać. W światowej organizacji Europa Środkowa może znaleźć swe właściwe miejsce. W jej ramach jest możliwość powiązania przez Bałtyk i morze Śródziemne organizacji Europy Środkowej z organizacją atlantycką.

Nie mam zamiaru wchodzić w szczegóły. Nie mam zamiaru produkowania obecnie planów przyszłych powiązań. Pragnę jedynie z tego przedstawienia istniejących pewnych planów i nastrojów wyprowadzić pewien wniosek.

Plan unii państw między Bałtykiem i Morzem Czarnym jest planem słusznym i mogącym przynieść rozwiązanie całego szere-

gu bolączek. Należy plan ten popularyzować nie tylko między mieszkańcami tych krajów ale i na terenie państw anglosaskich. To jest bezsporne.

Ale pamiętać należy, że jeżeli idzie o opinię anglosaską to sam plan unii Środkowo Europejskiej jest niewystarczający. Trzeba jeszcze wiedzieć jasno, jak ta unia będzie uplasowana w szerszym kontekście rozwiązań ogólnych. I to jest obecnie zagadnienie najbardziej zasadnicze.

STEFAN THEMERSON

SZKICE W CIEMNOŚCIACH

Ja nie wierzyłem w Ciebie, Boże.
I mnie, mnie nic się nie należy.
Ale tym, którzy chodzili do kościołów,
do kirch, synagog, meczetów i bożnic,
daj Panie Boże kromkę wolności posmarowaną masłem,
pajdę chleba pokrytą uśmiechem swobody,
daj im Panie skrzydełko anioła Twojego w głębokim talerzu
najtłustszego rosółu.

Zpracowali na nie w enigmatycznych warsztatach i kuźnicach
Twoich,
wyplakali je w okowach niewoli,
zasłużyli na nie przed ołtarzami Twemi.

Oto staję przed Tobą jako emisariusz samozwańczy, jako fak-
tor, pośrednik nieproszony a smutny.
Czyli chcesz być Bogiem anemicznych kobiet,
Bogiem suchotników,
Bogiem białych, błędzących cieni, sapiących przy wchodzeniu
pod górę i chwytających się za naderwane serca?
Czyś tak daleko już odszedł od ideału Twego z czasów promien-
nej Hellady?

Boże Abrahama, Izaaka i Jakóba.
Boże Jana, Jeana i Juana,
Boże Iwana, Johanna i Johna!
O, totem! O, mana! O, tabu!
O, siło bezosobowa, materjalna i duchowa zarazem, rozprzestrze-
niona wszędzie,
O, nieśmiertelny i wieczny Bundzil, który kierujesz ruchem
słońca i księżyca,
O, Boże moralności, O, Waronno, roztaczający dozór nad świa-
tem i prowadzący ludzkość,
O, Atonie, który troszczysz się o to by nie wyginęli ludzie
i dostarczasz im żywności jakiej żądają,
O, łańcuchu przyczyn i skutków Alexandra z Afrodyzji,
O, doborze naturalny św. Augustyna i Darwina,
O, nieprzetłumaczalny Boże Beethovena,
i Ty,
który zawierasz w sobie wszystkie istnienia, Boże Emilji Brontë,
i Ty,

którego wola jest pokojem Danta,
i Ty,
O, Energjo Duchowa Bergsona,
i Ty, imperatywie kategoriyczny,
i Ty, natura naturata,
i Ty, „ $\frac{a - b^n}{n} = x$, *donc Dieu existe — répondez!*”, pogromcy

Diderota: Eulera,

i Ty,

O, słowo konwencjonalne poety!

Jako stworzyli Cię, Boże o stu twarzach, każdemu ludowi inne oblicze ukazujący,

tako mogą Cię i zniszczyć i zapomnieć.

Jako stworzyli Cię z uczuć nienazwanych i ze słów, które same w sobie nic nie znaczą,

tak i rozpaść się możesz w słowa i czucia nic nie znaczące.

Gdzież zamieszkaż, jeśli Cię serca krwią bledniczą tętniące wy-
cisną, gdzie się ostaniesz, jeśli się fosforu pozbawione komórki
mózgów zamkną przed Tobą?

Oto widzę jak błąkasz się po pustych nawach kościołów, kirch,
synagog, cerkiew, meczetów i bożnic.

Boże o stu twarzach, rzeźbionych przez pokolenia.

Wtedy ukazała się Sebastjanowi postać o stu obliczach, które
przesuwać zaczęły się przed nim, jedno za drugim.

I wśród tych stu oblicz jedno były tak niezgłębione jak morze
inne były tak pomarszczone jak powierzchnia jeziora po którym
przebiega wiatr,

inne były tak twarde jak djament.

I były w obliczach owych oczy ciskające błyskawice,

a były też tak spokojne i przezroczyste jak dno studni oświetlo-
ne promieniem słonecznym.

Były usta, z których płynął nieprzerwanie potok wezbranej gorą-
cej lawy

i były inne, szepczące nie głośniej niż trawa śpiewająca do snu
komarom.

Były twarze patrzące zemstą,

były twarze patrzące groźbą,

były twarze patrzące sprawiedliwością;

były twarze które patrzyły karą,

były twarze które patrzyły wybaczeniem,

i były twarze które patrzyły miłością.

Były twarze obce, obojętne i głuche,

były dalekie i były bliskie,

były i wieczne i były i efemeryczne.

Były twarze które patrzyły w ciebie

i były takie, które twoje spojrzenie przyciągały ku sobie.

I rzekł Bóg ów:

Nie stworzyli mnie poto żeby nie cierpieć,
a dlatego że cierpią.

Nie stworzyli mnie poto żeby kochać,
a dlatego że kochają.

Nie stworzyli mnie poto żeby nienawidzieć,
a dlatego że nienawidzą.

Nie stworzyli mnie poto by wybaczać,
lecz by był ktoś kto im mógłby wybaczyć.

Nie mogli pomieścić w sobie wszystkich namiętności, wszystkich pragnień, wszystkich idjotyzmów, wszystkich cierpień, które jednak ludzkie są wciąż i tylko ludzkie, wyrzucili więc, wycisnęli precz ze siebie wszystkie elementy, wszystkie postaci tragedji człowieczej.

I z elementów owych uczynili swych Bogów.

Jestem król Lear i Desdemona, jestem Jago i lady Macbeth, jestem Otello i Puck, — jestem równocześnie dobry i zły, odważny i tchórzliwy, głupi i sprytny, rozrzutny i skąpy, realny i abstrakcyjny, realista i idealista — jestem stworzony na podobieństwo ludzi, jestem Hamlet.

To Xenofon rzekł:

„Wszystkiemi zbrodniami Homer i Hezjod obarczyli bogów; wszystko co wśród śmiertelnych jest przedmiotem potępienia, wszystkie czyny niegodne wypełniają ich pieśni: złodziejstwa, cudzołóstwa, oszustwa wzajemne...

Gdyby woły i lwy posiadały ręce, gdyby umiały kreślić jak ludzie, uczyniłyby bogów na swe własne podobieństwo”.

Gdyby w sercu woła przebywał anioł złotowłosa a w sercu lwa — kwiat magnolji, — nie tylko rogi i pazury posiadali by ich bogowie, lecz jeszcze i skrzydła i liście.

I, jeśli i ja mam niekiedy skrzydła orle, głowę szakala albo też rogi krowie, — jako Anubis, jako Isis, — to zawdzięczać to należał ludziom, znajdującym obrazy nurtujących w nich sił w kształtach zwierząt, z których każde, tak jak Otello, tak jak Jago, reprezentuje jedną ideę, jedną cechę charakteru człowieka, to owe bestje, stłoczone w jednym człowieku, biją się ze sobą niby myśli Hamleta,

to owe bestje właśnie wyrzucili ludzie ze siebie i cisnęli w niebo, aby uczynić z nich sto moich oblicz.

Nie wiem jak się nazywa ów ptak, którego Xenofon wygnał ze siebie samego, aby stworzyć zeń nowego Boga, którego takimi omawia słowami:

“...jest tylko jeden Bóg — niepodobny do ludzi ani ciałem ani myślami...”

— lecz ptak i tej idei miał swoje gniazdo w Xenofonie samym i, ba!, i ów ptak także był jedynie jednym z okazów wielkiego ogrodu zoologicznego owych „sił wewnętrznych”, — owych Bogów.

Nie jestem Stwórcą tego świata, który składa się z osiemdziesięciocyfrowej liczby fotonów, elektronów, positronów, neutronów. Sam stworzony jestem przez tego świata fragmenty, składające się z 10^{27} atomów każdy, fragmenty, które się nazywają ludźmi.

Sam jestem jedynie dziełem, produktem wytworzonym przez nich, jestem ich funkcją.

Niestety, nawet fizycy biorą mnie poważnie, jako Stwórcę, i dlatego właśnie zmuszeni są mnie odrzucać.

A przecież istnieje. Tak jak istnieje automobil, tak jak istnieje działo, tak jak istnieje książka.

Sebastjan zerwał się:

— Tak, Ty istniejesz, Boże o stu twarzach, tak, jesteś uczyniony przez ludzi,

lecz czy uczyniony jesteś tak samo jak ich automobile: z fotonów, z elektronów, z protonów, z neutronów?

— Jestem uczyniony z ich myśli.

— A one, Myśli!, owe funkcje fragmentów przyrody, składających się z miljarda miliardów atomów każdy, sąż one, one same, fotonami, elektronami, protonami, neutronami?

Czy można zmierzyć naukowo wszystko to co istnieje, czy też istnieje tylko to co można zmierzyć?

Jestem miliardem miliardów miliardów atomów

i to one mówią teraz do Ciebie, Boga, do swej własnej myśli:

„Ja nie wierzyłem w Ciebie, Boże.

I mnie, mnie nic się nie należy.

Ale tym miliardom miliardów miliardów atomów, które chodziły do kościołów,

do kirch, synagog, meczetów i bożnic,

daj im Panie kromkę wolności posmarowaną masłem,

pajdę chleba pokrytą uśmiechem swobody,

daj im Panie skrzydełko anioła Twojego w głębokim talerzu najtłustszego rosółu”.

Ziemia przecięta była krwawą, płonąca linją frontu.

Po obu stronach tej linii były kościoły i kirchy i pagody.

Voiron, nocie czerwca 1941.

BOLESŁAW POMIAN

HANDLOWCY

Kmotrom ze wspólnych szlaków poświęcam,

Nie ma tak odległej, tak zakazanej dziury, gdziebyś ich nie spotkał. Tłem może być zarośnięte dzunglą dorzecze Amazonki, mogą być lodowe góry Greenlandii, lub białe miasta północnej Afryki. Nad portem wznosić się może Góra Stołowa, Głowa Cukru, lub drapacze nieba Manhattan'u. Port może się nazywać: Vancouver, Sidney lub Colombo. Ludzie mogą chodzić w futrach lub tropikalnych shortach. Robotnicy portowi mogą być biali, czarni lub żółci. Wszędzie, po wszystkich portach kuli ziemskiej możesz ich dziś spotkać.

Istnieją surowe zakazy zabraniające przelatywania nad portami. — I słusznie. Po co alarmować niepotrzebnie zmęczone pracą załogi handlowych okrętów? Jeśli my, polskie załogi z Transport Command R.A.F, w swych transkontynentalnych wólczech najczęściej ten zakaz przekraczamy — to tylko dlatego, że niskie przelecenie nad portem może nam sprawić czasem najmilszą niespodziankę. Cały port może być zapchany setką okrętów, noszących wszystkie 38 bander Zjednoczonych Narodów, ale nasze oczy, mimo zmęczenia wielogodzinnym lotem, odszukają natychmiast biało-czerwoną banderę Marynarki Handlowej. Zmęczone oczy zapłoną świeżym blaskiem. Wymienimy pomiędzy sobą „thumbs-up!”. W intercomm słychać radosne, podniecone głosy: „Nasi!” „Któż to może być?” „Może Rożewie?” „Może Paderewski?” Mniejsza o nazwę. Tam w dole, o tysiąc stóp pod nami, widnieje sylwetka polskiego okrętu. Tam pod nami

jest część Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Jest jej pierwszy — po Bogu — władca, kapitan okrętu, jest jej polska załoga.

Pospiesznie załatwiamy formalności na lotnisku. Dziwią się kancelaryjne pingwiny, gdzie tak się nam śpieszy. W mieście nie ma nic ciekawego, „white population” liczy tylko setkę mieszkańców, „natives are unfriendly and dirty”. Zamawiamy samochód i gnamy do portu. Za kilka chwil staniemy na Polskiej Ziemi. Wprawdzie ta „ziemia” jest stalowym pokładem, ale dla nas tułaczy, to Polska.

Wiemy, że będziemy przyjęci serdecznie, że będziemy wśród swoich. Jeżeli jest coś, co nas kłopotczy, to tylko to, że ci, których my uważamy za bohaterów tej wojny, to samo myślą o nas.

My znamy swoją pracę w powietrzu — znamy ogień zaporowy nad Kielem, Hamburgiem i Bremą, znamy nagłe, niespodziewane spotkania z patrolami Me. Osłuchaliśmy się z gwałtownym trzaskiem automatycznej broni, oswoiliśmy się z wybuchającymi niespodziewanie pożarami, z uchodzącą szybko krwią. Znamy powroty o świcie nad Anglię, gdy cała wyspa spowita jest w gęstą, brudną mgłę, a w zbiornikach opadają szybko ostatnie galony paliwa. To jest ta strona wojny, którą poznaliśmy, w której bierzemy udział i za co nosimy na mundurach barwne wstążeczki odznaczeń. Ale nasza praca rozgrywa się w godzinach. Prawie nikt z nas nie spędził więcej, niż pięćset godzin nad terenem wroga.

Oni znają długie, tygodniowe czy miesięczne rejsy poprzez morza pełne zasadzek, podstępów, skrytobójczej walki. Dzień po dniu przemierzają bezkresne pustacie oceanów. Gdy idą w konwoju, na zredukowanej szybkości, dostosowanej do możliwości najwolniejszego matelota, dzień po dniu — o każdej godzinie długich dni i jeszcze dłuższych nocy — narażeni są na strzał torpedowy z zaczajonych w pułapkach łodzi podwodnych, na niespodziewane ataki dalekosiężnych Focke-Wolf'ów, na walki z nadwodnym „raiderem”. Widzą jak toną inne okręty konwoju, jak w odmętach lodowatych mórz nikną załogi na długo przed tym, zanim nadąży pomoc z konwojujących korwet. I to trwa długie tygodnie. Gdy okręt idzie samotnie — polskie załogi najbardziej lubią ten rodzaj żeglugi — jest zdany wyłącznie na własne swe siły. Z ratunkiem nikt nie pośpieszy. Szybkość i manewr, to jedyna jego broń, jakże nikła w porównaniu z arsenałem środków, którymi przeciwnik zwalcza żeglugę morską: miny zwykłe, akustyczne i magnetyczne, łodzie podwodne, nadwodne „raider'y” i dalekosiężne Focke-Wolf'y. Temu wszystkiemu załoga samotnie idącego okrętu może przeciwstawić tylko: swe działko średniego kalibru, swe przeciwlotnicze karabiny i głębinowe granaty. Marynarze przez cały czas rejsu czują się jak tropiona zwierzyna, rozwijają też w sobie jej instynkt, jej czujność, przebiegłość w unikaniu nierównej walki z niewidzialnym wrogiem. Ale gdy wróg, ufając w swą wielokrotną przewagę, odrzuci maskę niewidzialności, gdy zamiast atakować z zasadzki, zaatakuje otwarcie, wówczas załogi polskich okrętów handlowych walczą niegorzej od swych kolegów z Wojennej. Nie wolno dziś jeszcze ujawniać szczegółów tych walk, które kiedyś staną się najpiękniejszymi kartami dumnej historii Polskiej Floty Handlowej. Ale to wspomnieć chyba można, że listy pochwalne, wiszące w mesach okrętowych, nie wspominają o żadnych cnotach okrętu i jego załogi, o żadnych morskich rekordowych wyczynach, mówią tyl-

ko o udziale w morskich walkach i o zatopionych U-boat'ach, o zestrzelonych samolotach, o przerwaniach nieprzyjacielskiej blokady. Przerwaniach projektowanych i przeprowadzanych z istic Kmicicowską brawurą. Na listach widnieją podpisy, które przypisać by mogły o wysoką gorączkę każdego zbieracza autografów: admirałowie, prezydenci państw, królowie. Załogi udają, że lekko sobie cenią te zachwyty, ale gdy pokazują pięknie oprawne „laurki”, ot, tak, niby od niechcienia — przecież oczy ich rozjaśniają się dumą. Boć te listy od obcych, to chyba jedyny dziś dowód uznania ich ciężkiej, twardej, krwawej pracy. U swoich „propagandy”, ani uznania nie mają. Nie noszą mundurów, nie mają wstępu do żołnierskich świetlic, nie korzystają z tysiąca udogodnień, jakie ma żołnierz, nie otrzymują zaproszeń na „lovely party” — a w ogóle są za dumni, by o cokolwiek prosić.

Pamiętam, w ujściu jednej, bardzo egzotycznej rzeki, toczącej swe muliste wody wśród pokrytych dżunglą brzegów — dojrzeliliśmy niewielki port i kilkanaście okrętów. Podchodziliśmy właśnie do lądowania, gdy radiotelegrafista zawołał: Bandera! Wiedzieliśmy jaka. Żadna inna nie nastroiłaby głosu Tadka na tę nutę wzruszenia i dumy. Z początku myślałem, że się myli. Polska bandera — tu? Ale Tadek się nie mylił. Nad jednym z malowanych w dziwaczny kamuflaż okrętów powiewała białoczerwona płachetka. W parę godzin potem byliśmy na pokładzie.

Przywieźli amunicję. Ładunek mało bezpieczny. Z idącego z nimi duńskiego okrętu, który dostał torpedę, nikogo nie uratowano. „Nie zatonął — opowiadali — po prostu przestał istnieć, czerwona fontanna ognia i za chwilę morze było znów jasne, spokojne, ciche — tylko Duńczyka już nie było za nami.”

Spotkaliśmy się znów — przy naszym następnym locie, w miesiąc później. Zostali storpedowani wkrótce po opuszczeniu egzotycznego portu. Na szczęście, tym razem, ładunkiem był kauczuk. Spędzili osiem dni na oceanie w łodziach ratunkowych. Stracili sześciu ludzi z załogi. Stracili też, oczywiście, wszystkie swe rzeczy — z wyjątkiem okrętowych papierów i nawigacyjnych przyrządów. Teraz czekali na samolot transportowy, który miał ich przerzucić o kilka tysięcy mil na wschód, gdzie mieli dostać nowy okręt, by wrócić do miłego zajęcia wożenia amunicji tuż pod nosem wroga. Bawiło nas to, że o ile o swej naprawdę ryzykanckiej pracy wyrażali się lekko, o tyle wielu z nich miało prawdziwą, nieskrywaną treść przed bezpiecznym lotem na wielomotorowym strato-liner'rze. Nie bardzo chcieli wierzyć, że każdy z nas wolałby dziesięć razy ocean przelecieć, niż raz go przepłynąć na tak powolnym i słabo uzbrojonym wehikule, jak ich okręt.

Okręt. Może. Ale nie ICH OKRĘT, który wrósł im w krew, którego życie splotło się tak silnie z ich życiem. Gdy opowiadają o sobie — to to jest opowiadanie o okręcie. Gdy wspominają jego utratę, ich głos ma ten sam ton, którym mówiliby o utracie ojca lub brata. I czuje się, że naprawdę katastrofę okrętu odczuli bardziej, niż zniknięcie walizek i skrzynek, zawierających cały dobytek i „souveniry”, na których gromadzenie złożyły się miesiące udręki. Bo ciężej niż oni, harują chyba tylko ich „kontrpartnerzy” z nieprzyjacielskich U-boat'ów.

My lotnicy, którzy przyzwyczailiśmy się widzieć każde zbliżające się niebezpieczeństwo, mieć w czasie lotu szeroko otwarte oczy i czujnie obserwować każdy moment walki — z podziwem słuchamy opowiadań ludzi, którzy pracują zamknięci za wodo-

szczelnymi grodziami w głębokich labiryntach i czeluściach okrętu. Pracują nie widząc zbliżającego się wroga, nie słysząc odgłosów walki. Obsługują swe precyzyjne mechanizmy, obsługują dokładnie, sumiennie i nie zejną z posterunku, chyba na rozkaz Dowódcy, nakazujący opuszczenie okrętu. Czasem wdzierająca się woda uprzedzi rozkaz — i wtedy zostają na zawsze przy swych, obsługiwanych do końca, stacjach. Czasem rozkaz zostaje wydany, lecz nie dochodzi przez potrząskane pociskami przewody — wówczas zostają również i giną przy mechanizmach, kotłach, paleniskach i bunkrach. Istnieje wśród nich dumna ambicja, że nikt się nie ratuje, jak długo istnieją możliwości ratowania okrętu.

Egzotyczna rzeka toczyła swe mętne wody. Za bezszybnymi, okrytymi tylko moskitierą, oknami „grała” dżungla. Słuchaliśmy opowiadań, pozbawionych butaforskiej blagi; słów, w których kipiało i przewalało się ciężkie krwawe, codzienne życie na zwykłym, pospolitym okręcie marynarki handlowej, — na „Lajbie”, według ich słownictwa. Słuchaliśmy opowiadań prostych ludzi, którzy nie noszą mundurów, których piersi nie zdobią wstążeczki orderów, którym nawet w ich pijanych snach nie śni się, że są najwspanialszymi żołnierzami tej wojny.

Załoga. Ludzie. Różni ludzie. Różne usposobienia. Miesiące najtwardszej pracy na morzu w najuciążliwszych warunkach. Po wachcie kładzie się marynarz spać. Odpocząć przed następną wachtą. I zagadnienie: zdjąć buty czy nie zdejmować? Nogi lepiej odpoczywają bez butów, ale znów na wypadek alarmu? I długie, długie tygodnie spędzane w ciągłym pogotowiu. W ich życiu decydują sekundy. Oddany w porę strzał, rzucony w porę głębiny granat mogą przesądzić uratowanie okrętu.

ZAŁOGA. Zaśmieliby mi się w oczy, gdybym im powiedział, że uważam ich za bohaterów. O sobie śpiewają w swej ulubionej piosence:

“Myśmy wszyscy są kmotrzy — sk...syny i łotrzy”.

Czy ja wiem? Może i są „łotrzy”. Osiemnastoletniej pannie nie polecałbym zwiedzanie okrętu. Mojej kochanej cici teżby zapewne zwiedły uszy, gdyby usłyszała oryginalną opinię pana bosmana o czystości, jaka powinna panować w okrętowym „kubryku”. Gdy sprzedają grudki „prawdziwego” złota z Gold Coast'u, można być przedziwnie „sure”, że w grudce jest wszystko, tylko nie złoto. Gdy kupują zegarki, stare, sterane w targach żydy mają łzy w oczach: „Żeby to mój syn taką miał głowę do handlu jak pan matros, żeby on się umiał tak targować!” Gdy w tańcu jakiś nieopatrzny aliant trąci wirującego ze swym chwilowym Sweet-heart'em — „trafiałką”, jak oni mówią — handlowca, może być pewien, że jeśli nie zdąży na czas „apologize for” — to będzie mógł spokojnie w szpitalu rozpamiętywać smutne skutki własnego nietaktu.

Śpiewają dalej:

„Nasze życie surowe słodzą dziewczki portowe
Plujmy krwią, czarną krwią.”

I — co najsmutniejsze, mają prawo tak śpiewać o sobie. Nikt niestety, dziś, w dobie mundurów, nie myśli o tych „cywilach”. Są odosobnieni, zdani na siebie samych. Gdy, po powrocie z dalekich rejsów, zawitają na parę dni do Londynu, zamykają się przed nimi drzwi Świetlic i Ognisk, tak gościnnie i szeroko otwarte dla każdego, kto nosi mundur.

W swych dalekich wędrówkach po wszystkich morzach, oceanach i portach kuli ziemskiej poznali urok i piękno świata, powab i czar wolnego życia wolnych ludzi. Poznali także zakłamanie i fałsz świata. Mieli oczy szeroko otwarte i umysłem, wyrobionym w twardym morskim rzemiośle, rozważyli i ocenili przeróżne formy ludzkiego bytowania. Dziś nie weźmie ich nikt na pięknie brzmiący frazes.

Z walk, klęsk i zwycięstw — które wystarczyłyby na setki barwnych filmów — wynieśli bardzo mało złudzeń — i bardzo dużo gorzkiego, męskiego doświadczenia.

Z licznych zawodów, katastrof, storpedowań ocalili tylko swą wielką Miłość i Wiarę. Miłość do Bandery, której służą i Wiare, że walczą o nową, lepszą Polskę w nowym, sprawiedliwym Świecie.

Oby mocny Bóg miał w Swej opiece ich okręty i doprowadził je do takiej Polski, jaką wymarzyli w swych gorących, ofiarnych — a tak dumnych i niezłomnych sercach.

JULIAN TUWIM

KWIATY POLSKIE

— PANOWIE SZLACHTA! BIJE GROM! — — —

Faf dopił kawę. Gęsty cukier
Wygarnął z dna. Oblizał usta.
Stłumionym, wirującym stukiem
Cwałuje w głowie noc rozpustna.
Fruwają kołem majtki, kiecki,
Pończochy, szklanki, tyłki, łydki
I pijany Wicek Jałowiecki
I szafirowa kołdra Litki.
A, byczo było. Wprawdzie sotern
Był siarkowany, za to potem
Dziewczyna klasa! jak ta lalka!
...Z portretu Lenca, z ramy złotej
Artiszok mruga na synalka...

— PANOWIE SZLACHTA! BIJE GROM! — — —

A przedtem, przedtem byli z Wickiem
W nowej kawiarni poetyckiej,
Wymalowanej zwarzowanie
W półtwarze, nuty, ostrokaty,
Ukośne domy i afronty,
A na estradę wskakiwali
Jacyś nieznani i zuchwali,
Poezje swe wykrzykujący...

— PANOWIE SZLACHTA! BIJE GROM! — — —

...I malarz z gębą jak indjanin
Znieważał gości rykiem pijanym...

„Futuryzm” według zdania Wicka:
— „Kubizm, uważasz... Siewierianin...
Sztuka żydowsko-bolszewicka...
„Wybacz mi”... — „Co ci mam wybaczyć?”
— „Że niby żydzi”... — „To co?”... — „Widzisz,
Jest tak: że gdyby wszyscy żydzi
Byli jak ty, to co innego...”
— „Ja? Przecież ja katolik rzymski
Od dziecka”... — „Tak... Ale... to znaczy,
Widzisz... jak ci to wytłumaczyć?”
— „No powiedz!... — „Potem. Patrz: Słonimski”.

[Antoni! Oto po ćwierćwieczu,
Zza Atlantyku martwych czasów,
Na którym mnie, rozbitka, trzyma
Poezji ratowniczy prom, —
Rozgnionymi wdał oczyma
Widzę nasz brzask, ten pierwszy wieczór,
Gdy razem z nami się zaczynał
Historji Polski nowy tom:
Gdy się na przestrzał nam otworzył,
Może i w nędzy, ale w zorzy
Rozstajny nasz, przydrożny Dom...]

...Na karuzeli, obwieszanej
Strzępami kawalerskiej fety,
Krąży nad Fafem twarz poety,
Brzmi głos podniosły i wzruszony:
„Panowie szlachta! bije grom!”
...Za oknem chór, za oknem szum,
Burzliwy bełkot. Wczoraj tłum
Przeciągał nocą pod kawiarnią,
A dziś pod jego przyszedł dom —
Hołota ciągnie groźną armią...
„Panowie szlachta! bije grom!”
Co dalej? W głowie dymno, gwarno...

Jak w mocnej klatce silny zwierz,
Drapieżny miota się w nim wiersz,
Błyskają rymów kły jak noże,
A w ślepiach krew, a rytmy wskok
I biją w pamięć łapy strof,
A ona związać ich nie może!
Jak w mocnej klatce silny ptak,
Skrzydlaty wiersz łopocze takt,
Szamocze się skrwawiony orzeł,
I strząsa strzępki rymów-piór,
Słów rozproszonych słyhać wtór,
A myśl zestawić ich nie może...

Na karuzelę piersi, majtek
Syfonów, pończoch, łózek, knajpek,
Toastów, ryków „Stolat, Stolat!”
Koniaków, brzuchów, melb, czekolad
— Wskoczyła groźna i wesola,
Z szarfą szkarłatną, w burzy, w łunie,

Pierwsza Wolności Carmagnola,
 I co przyfrunie — w pysk go lunie,
 I jazda! i na alarm woła:
 „Panowie szlachta! bije grom!”
 I oto w karuzeli głowy,
 Jak w mrocznej wieży silny dzwon,
 Wiersz się rozlega metalowy,
 Już przypomniany, już gotowy:
 „Niebo się wali, płonie dom,
 Chamy się rządzą, chłopcy, łyki!
 Słyszycie wokół krwawy plusk?
 To wąż się wije! Ogniem łusk
 Noże w nim płoną! Bolszewiki!”...

* * *

Fryderyk Alfred Folblut gładzi
 Aksamit twarzy wygolonej,
 Z włosiem... pod włos... Zadowolony.

Przed lustrem staje. Miny stroi:
 Wzgardliwą — Dumną — Tajemniczą —
 Sceptyczną — Dziką. Wszystko byczo.

Żelazobeton. Bardzo dobrze.
 Pięścią uderza się po biodrze.
 Bicepsy maca. Piers wypina,
 Stan kasy sobie przypomina...
 Conta w Zurychu i w Londynie...
 A New York pies? All right. Nie zginie.

„Panowie szlachta!” — ? —?

Bzdura. Słowem,
 „L'ordre reigne a Varsovie, panowie!”
 A że ten czad i wirwar w głowie,
 To sotern... Czuje zgagę żrącą...
 Pan Folblut dzwoni na służącą.

FLORIAN SOKOŁÓW

OBITER DICTA

Arcybiskup Canterbury dr. Temple, którego, zarówno jak i wielu innych wysokich dostojników Kościoła Anglikańskiego, różni hitleryzujący totaliści zaliczyliby przed wojną po prostu do „Żydo-Komuny”, w jednym ze swych ostatnich przemówień wzywał młodzież do nieposłuszeństwa i buntu przeciw autorytetom. Ostrzegął on ją w szczególności przed nowym bałwochwaltwem. „W Niemczech — mówił Prymas angielski — bożkiem, który zastąpił Boga, jest Państwo... U nas naczelnym i najbrzydszym bożkiem jest Zysk. Istnieje poważna obawa, że planowanie realizowane będzie dla wzbogacenia i władzy planujących... Rezulta-

tem tego byłyby również dyktatura totalna, może trochę łagodniejsza — bez tortur i obozów koncentracyjnych”. Dr. Temple nawołuje młode pokolenie do przejęcia się duchem „adventure”.

„Niektóre z waszych przygód — mówił on — skończą się rozczarowaniem i niepowodzeniem. Ściągną na was reprimandy ze strony duchowieństwa i ludzie w moim wieku będą przerażeni. Niech to jednak was nie zniechęca. Nieraz wasza awanturniczość będzie właśnie tą drogą właściwą, a wskazania mentorów okażą się błędne”. Arcybiskup Canterbury domaga się od młodzieży jednej tylko lojalności — wobec nauki Chrystusa.

Jasne jest, że demokracje łakną nowego ducha, a nie nowych formuł, statystyk, wykresów i diagramów. Czują instynktem, że w powodzi niezliczonej ilości fachowych projektów — niekiedy bardzo cennych — przyszłej rekonstrukcji świata może utonąć to, co jest najważniejsze — wolność człowieka, że w zmechanizowanym totalnym społeczeństwie nie będzie miejsca dla szlachetnych porywów natury ludzkiej. Jasne jest również, że, aczkolwiek człowiek bardzo zawiódł, jako Arystotelesowskie „zoon politikon” nie możemy sobie urządzić życia na wzór Robinzona Cruoe i trzeba znaleźć coś pośredniego pomiędzy nieskrępowaną wolnością na bezludnej wyspie a automatyzmem mrowiska. Planowanie nie jest celem, lecz jedynie środkiem i procedurą. Nikt przecież nie odmówi Niemcom hitlerowskim i w ogóle Niemcom zdolności do planowania. Uważam za objaw bardzo niepokojący, że wśród armii ekspertów alianckich, którzy zajmują się planami rozbudowy pokoju, znajduje się tak wielu naukowców szkoły niemieckiej, najmniej nadających się „duchowo” do wychowywania wolnych ludzi. Jednym z największych niebezpieczeństw, grożących nam po tej wojnie, to robienie z ideologii jakiejś schematyki i procedury. Rzecz prosta, każda idea społeczna wymaga planowania, lecz gdy kładzie się główny nacisk na samo planowanie, gdy sublimuje się je do wyżyn jakiegoś nowego dogmatu, czy raczej fetysza, należy mieć się na baczności, by nie ucierpiała treść moralna, o którą przede wszystkim chodzi, a bez której demokracja wolnych ludzi i wolnych narodów będzie zawsze niedościgłym mirażem, tak samo, jak pokój. Czyż jest choćby cień wątpliwości, że jeśli nie potrafimy znaleźć owej najprostszej formuły synchronizacji postępu moralnego społeczeństw z postępem technicznym, wszystkie wysiłki pokojowe będą tylko pobożnymi życzeniami, którymi wybrukujemy sobie drogę do nowego piekła?

Szereg trafnych uwag na ten temat, podchodząc do niego od innej strony, wypowiedział niedawno profesor Tawney, jeden z najszlachetniejszych umysłów lewicy angielskiej. Kardynalnym warunkiem prawdziwej demokracji jest wysoki poziom oświaty powszechnej. Nie mogą być jej podstawą rządy elity intelektualnej nad ciemnymi i apatycznymi masami, tak samo jak w przeszłości nie można było jej oprzeć na oligarchii magnatów ziemskich, a w czasach obecnych na oligarchii finansowej. Demokracji potrzebni są przedstawiciele rzeczoznawcy i przewodcy, lecz jako jej sługi, a nie jako rozkazodawcy. Aby ich mądrze wybierać, krytykować lub usuwać, obywatele winni łączyć w sobie praktyczne doświadczenie z żywotnością intelektualną, która niewątpliwie kryje się w masach, lecz musi być rozwijana i kulturowana.

„Rekonstrukcję powojenną twierdzi prof. Tawney — należy oprzeć na szerokim fundamencie wykształconych społeczeństw,

które wiedzą, czego chcą. Dla osiągnięcia tego stanu rzeczy nie wystarczy retoryka i propaganda polityczna. Mają one swe znaczenie, ale masom potrzebne jest nie tylko ciepło lecz i światło. Jedyne wysoki poziom oświaty, najszerszej rozpowszechnionej stwarza warunki, bez których demokracja polityczna nie może istnieć”.

Czasy dzisiejsze dostarczyły aż nadto przykładów, do jakich fatalnych skutków prowadzi sama rozgrzewająca retoryka i propaganda, która nie znajduje hamulców w zmysle krytycznym społeczeństw. Pozbawione zmysłu tego demokracje stają się rajem demagogów najgorszego typu. Mogą oni nawet bez terroru posługiwać się samą techniką wolności demokratycznych dla zamienienia społeczeństw w stada posłusznych robotów, a później pod terrorem stada te popełniają najokrutniejsze zbrodnie na skinienie swych wodzów-dyktatorów.

* * *

„Gdy mrok zapada, słychać tętent kopyt końskich. Kto ma dobre oczy, widzi w oddali kawalkadę jeźdźców. Czterech w pierwszym szeregu: Interes, Beztroska, Ignorancja. Przesada. Za nimi wleczę się piąty: Gerontokracja!” Taki apokaliptyczny obraz opozycji przeciw „New Deal’owi” Roosevelta namalował przed wojną surowy krytyk amerykański. Gerontokracja (rządy starców) to przede wszystkim Senat, który niegdyś zniweczył wielkie dzieło prezydenta Wilsona, a od dawna już wojuje z Rooseveltem, to twierdza izolacjonistów, nie przebiegających w środkach, by nie dopuścić do najpełniejszej współpracy Ameryki z Europą po wojnie. Trudno powiedzieć, by demokracji amerykańskiej potrzebne było na ogół odmłodzenie. Tam bowiem ludzie młodszy mają łatwiejszy dostęp do karier politycznych, niż w Anglii. Ale, że odmłodzenie aparatu politycznego przydałoby się demokracjom zachodnio-europejskim — co do tego nie ma wątpliwości. Natomiast, jeśli chodzi o Niemcy i inne kraje, zarżone hitleryzmem, czy też faszyzmem, przydałaby im się raczej senilizacja, bo w okresie między dwiema wojnami bakcyle tych chorób społecznych największe spustoszenie poczyniły wśród młodzieży. Na dobrą sprawę, gdy myśli się o Niemcach dzisiejszych, najodpowiedniejszymi kandydatami do rządu wydają się martwi Niemcy, „The only good Boche is a dead Boche” — mówiono podczas tamtej wojny, lecz wkrótce o tym zapomniano.

Wróćmy jednak do Ameryki. Wyżej wspomniana kawalkada znacznie się powiększyła. Słychać i widać ją nie tylko o zmroku. Niemało przyczynia się ona do tego, że opinia amerykańska robi chwilami wrażenie jak z - b a n d’u o wyjątkowo zgrzytliwych efektach kakofonicznych. Wtajemniczeni twierdzą, że izolacjonistom, którzy wzmogli swą kampanię w ostatnim miesiącu, nie chodzi o politykę zagraniczną St. Zjednoczonych, lecz o osłabienie pozycji Roosevelta w związku z wyborami na jesieni przyszłego roku. Być może, są to jedynie rozgrywki wewnętrzne stronnictwa rywalizującego o władzę, niemniej jednak, wywołują one rozdzwięki, które wprawdzie nie przeszkadzają wygraniu wojny, ale mogą mieć skutki, sabotujące trwały pokój. Pięciu senatorów amerykańskich po zwiedzeniu frontów wojennych ogłosiło raport, alarmujący publiczność amerykańską nie tyle niebezpieczeństwem niemieckim, ile niebezpieczeństwem angielskim. Ten „flying circus”, jak ich nazwano, spowodował bardzo ostre uwagi Roosevelta i niedwuznaczną aluzję Churchilla, który powiedział: „Są kraje, których żołnierze walczą poza ich granicami,

a politycy prowadzą wojnę w domu z niemniejszym entuzjazmem i zaciekłością". Aluzja ta dołała jeszcze oliwy do ognia, bo opinia amerykańska jest niezmiernie wrażliwa na obcą krytykę. Raport ów narobił dużo hałasu i na pewno nie przyczyni się do usunięcia tarć pomiędzy obu demokracjami anglosaskimi.

Opozycja, która chce wysadzić Roosevelta z Białego Domu ma bardzo skomplikowany skład chemiczny, który zresztą spotykamy i gdzie indziej. Jest ona jednocześnie antybrytyjska, antyrosyjska, antysemitcka, antyeuropejska, antycudzoziemska, a w niektórych stanach, gdzie ma duży wpływ Ku-Klux-Klan również antykatolicka. Sir Norman Angell w artykule zamieszczonym w miesięczniku „Free World” pisze o tym, jak trudno jest walczyć z przesadami emocjonalnych mas amerykańskich. Zręcznie wyyskują je mENERZY polityczni, za którymi stoją „vested interests”, nie tylko koteryj spragnionych władzy, lecz i wielkich trustów kapitalistycznych, które wypowiedziały wojnę Rooseveltowi. Jest bardzo znamienne, że, jak wykazały ankiety Gallupa, szerokie masy w niektórych stanach, urabiane przez popularną prasę izolacjonistyczną Hearsta, Mac Cormicka i Pattersona, nie wierzą dotychczas w potworności okrucieństw niemieckich. Stwarza to wdzięczny grunt dla wszelkiego rodzaju akcji germanofilskiej, której agenci świadomi czy też mimowolni, zręcznie uwijają się w tym zamęcie. Niedawno wyszła książka p.t. „German y's Master Plan” napisana przez dwóch wysokich urzędników rządu amerykańskiego na podstawie bogatego materiału faktycznego. Odsłania ona ponurą rolę, jaką odegrały trusty amerykańskie i różne kartele międzynarodowe w odrodzeniu niemieckiej potęgi militarnej między dwiema wojnami. Hitler potrafił doskonale wykorzystać ich politykę monopolistyczną dla swych celów. „Gdziekolwiek siły te działają — oświadczył niedawno wiceprezydent Henry Wallace — musimy z nimi walczyć. Uzurpowały one sobie władzę suwerenną nad narodami. Polityka gospodarcza Ameryki wobec reszty świata kierowana była przez małe grupy ludzi, którzy rozparcelowali między sobą surowce, zdobyli kontrolę nad wytwórczością, cenami, dystrubucją, nad najważniejszymi ośrodkami przemysłu świata”.

Gdy mówi się o polityce amerykańskiej po wojnie, o jej izolacjonizmie, czy też współpracy z innymi narodami, zbyt wiele przywiązuje się zazwyczaj wagi do podziału na partie, a za mało do zakulisowych machinacji tych właśnie potężnych czynników, których wpływy niedostatecznie oceniano po tamtej wojnie, jakkolwiek jasne było, że ponosiły one olbrzymią część odpowiedzialności za wszystkie kryzysy, bezrobocie i inne klęski społeczne w erze obfitości, wydatnie przyczyniając się do rozpętania przez Niemcy nowej wojny światowej.

* * *

Nie ma już chyba dzisiaj Niemców o zdrowych zmysłach, którzy naprawdę wierzą w zwycięstwo swego Vaterlandu. Optymiści spośród nich pocieszają się możliwością kompromisowego pokoju, jeśli wojna długo potrwa. Liczą oni, że z dysonansów między sprzymierzonymi powstaną tarcia, z tarć — konfliktów, że stale pogarszająca się sytuacja Niemiec na frontach wojennych znajdzie przeciwwagę w polepszaniu się dla nich sytuacji na frontach politycznych. Ten drugi tor nigdy nie był przez Niemcy zanedbywany, a osiągały one na nim niemniej ważne sukcesy, niż przy pomocy Luftwaffe i wojsk pancernych. Liczą oni również na

wciąż jeszcze potężną swą armię, na udoskonalenie obrony przeciwlotniczej, na trudności inwazji sprzymierzonych od Zachodu, wymagającej wielkich ofiar, słowem na swą mocną pozycję obronną. Mają jeszcze w swym ręku lwią część Europy i dziesiątki milionów ludzi, pracujących pod terrorem dla ich maszyny wojennej. Brutalna logika niemiecka nie sięga głębiej, odnosi się z lekceważeniem do wszelkich impoderabiliów psychicznych, operując w rozumowaniu przede wszystkim argumentem siły w danym momencie. Traktuje ona podbitą Europę, jako niewyczerpane dotąd źródło rąk roboczych i mięsa armatniego oraz jako cenny fant w późniejszych rozgrywkach dyplomatycznych. Dopóki ten cały aparat terroru i wojny funkcjonuje z niemiecką *Tuechtiigkeit* — a dzieje się to jeszcze — poddani Hitlera spełniają swe obowiązki, jak zwykle, z niewolniczym posłuszeństwem, a czyniliby to również, gdyby nawet Goebbels nie wysyłał się na coraz to nowe pomysły.

Ostatnio propaganda niemiecka zaczyna się już przyznawać do niepowodzeń na frontach, ale twierdzi, że Anglia w 1940 r. i Rosja 1941 r. były w położeniu znacznie gorszym, niż Niemcy dzisiejsze, a jednak podźwignęły się z niechybnej, zdawałoby się, katastrofy. Istotnie, sytuacja Anglii w czerwcu 1940 r. była krytyczna. Posiadała ona, jak niedawno ujawnił Churchill, zaledwie 40 czołgów. Rosja również znalazła się na skraju przepaści. Lecz posługiwanie się tego rodzaju pokrępijącymi analogiami może uspokoić chyba tylko zupełnie bezkrytyczne masy niemieckie. Klęski spadły na sprzymierzonych przy starcie, a nie w fazie końcowej wojny. Były to jedynie krytyczne epizody dla obu mocarstw, które miały wówczas nieograniczone zasoby i możliwości prowadzenia wojny. Niemcy dzisiejsze gonią resztkami swych sił.

Pewną nowością jest, że Goebbels tłumaczy klęski niemieckie już nie tylko plutokratyczno-bolszewicko-żydowską zmową, lecz zdradą królewskiej rodziny Włoch. Musiał on również, jak gdyby w związku ze „skracaniem” frontu, skrócić trochę upiększającą strategię odwrotową terminy. W swoim czasie kanalia niemiecka zachłystywała się słowem „*Doppelumzingelungsernich tungsschlacht*”, kiedy to Hitler okłamywał swych rodaków i cały świat, że armie sowieckie zostały doszczętnie zniszczone. Dzisiaj Goebbels mówi już tylko o „*Abwehrschlacht*”, albo „*Absatzbewegung*”.

Ale na pewno nie ta przemyślna frazeologia podtrzymuje jeszcze upadającą morale Niemców, którzy biją się dalej, mimo iż stracili nadzieję na wygranie wojny. O co właściwie walczą dzisiaj? Nie jest przesadą twierdzenie, że tylko o to, by przedłużyć życie Hitlera, jego najbliższych pomocników, jego Gauleiterów, Gestapowców i Szturmowców. Maszyna, działająca już tylko siłą swego rozpędu i strach tych, co nią kierują — oto dwa główne elementy wytrzymałości Niemiec w tej beznadziejnej dla nich sytuacji.

Ostatni miesiąc przyniósł nowe sukcesy sprzymierzonych na lądzie, morzu i w powietrzu. Rosjanie sforsowali linię Dniepru w wielu miejscach, wyparli resztki Niemców z Kaukazu, zagrażają odcięciem ich armii na Krymie, posuwają się naprzód na olbrzymim froncie od zatoki fińskiej do morza Azowskiego, zwłaszcza na jego środkowych i południowych odcinkach. Mimo największych wysiłków i strat Niemcy nie są w stanie powstrzymać wzmagającego się wciąż naporu wojsk sowieckich. Zbliża

się zima, ten tradycyjny i najdogodniejszy sezon ofensywy rosyjskiej.

We Włoszech alianci powoli lecz nieodparcie kontynuują marsz na Rzym. Na Bałkanach walki powstańców, z którymi współdziałają wierne rządowi Badoglio wojska włoskie, przeobraziły się w regularne bitwy i obejmują coraz większy teren. Włochy wypowiedziały wojnę Niemcom — przykład bardzo zaraźliwy dla innych satelitów europejskich. Kto wie czy nie doczekamy się dalszych paradoksów tego rodzaju. Jasne jest, że inni wasale i quislingi chcieliby uwolnić się od Niemców, uciec, jak szczury z tonącego statku.

Terrorem, szantażem i perswazją starają się Niemcy temu zapobiec. Goebbels tłumaczy im, że wojna ta jest jak pociąg, pędzący z zawrotną szybkością. Kto spróbuje z niego wyskoczyć, złamie kark. Ale satelici mogą raczej dojść do wniosku, że skoro taki jest bezpieczniejszy, niż pozostanie w wykołojonym expresse niemieckim aż do chwili jego nieuniknionej katastrofy. Tak czy inaczej stanowisko ich usztywnia się, nie mówiąc już o państwach neutralnych, które dzisiaj nie boją się więcej pogroźek niemieckich. Bardzo znamienne było pod tym względem wystąpienie Szwecji w obronie Żydów duńskich. Rok temu Portugalia nie odważyłaby się udzielić Anglii baz na wyspach Azorskich — obiekt niezmiernie cenny dla alianatów, ułatwiający tępienie U-boatów. W obecnym stanie rzeczy nie liczy się już ona z niebezpieczeństwem inwazji ze strony Niemiec, które marzą o skróceniu swego frontu. Miesiąc ubiegły upamiętnił się również coraz bardziej niszczącymi raidami na machinę wojenną Hitlera. W ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy zrzucono na Niemcy przeciętnie 400,000 kilogramów bomb na dobę. Ładunek ten będzie stale wzrastał. W miarę zajmowania Włoch przez alianatów całe południowe Niemcy oraz kraje satelitów — obszar najmniej dotknięty bombardowaniem, dokąd Niemcy przenieśli swój przemysł wojenny z Zagłębia Ruhry — znajdują się w zasięgu skoncentrowanych nalotów i czeka je ten sam los co Ruhrę. Rzeczoznawcy wojskowi twierdzą, że uderzenie na Bałkany byłoby najfatalniejszym ciosem dla Niemiec, najkrótszą drogą do zwycięstwa.

Należy również zaznaczyć, że po kapitulacji floty włoskiej i oczyszczeniu morza Śródziemnego z okrętów nieprzyjacielskich potężna flota brytyjska wolna jest do ofensywy przeciw innym peryferiom fortocy europejskiej Hitlera. Generał Smuts, który nie należy do ludzi rzucających słowa na wiatr, zapowiada, że z nastaniem zimy zamknie się pierścien dokoła tej fortocy, a w roku przyszłym sprzymierzeni rozpoczną generalny szturm na nią wszystkich rodzajów broni.

Oczywiście, ustalanie terminów końca tej wojny jest bardzo ryzykowne, albowiem kompleks zjawisk, jakie podciągamy pod ten wspólny mianownik, zawiera w sobie dużo elementów nieobliczalnych. Wypadki na frontach politycznych mogą ją równie dobrze skrócić, jak i przedłużyć. Natomiast wynik w sensie czysto wojskowym, jeśli chodzi o klęskę Niemiec nie nasuwa już żadnych wątpliwości. Pytanie: Czy? przestało być aktualne. Powstają inne pytania: Kiedy? W jakich okolicznościach? Jakie wstrząsy nas oczekują?

Analogie bywają często źródłem błędów, ale nie zawsze. Dla Niemiec reminiscencje z r. 1918 są bardzo pouczające. Nic dziwnego, że rok ów prześladuje ich, jak zmora. Warto tu przypomnieć rezolucję niemieckiej Rady Koronnej z 14 sierpnia 1918 r.:

„Jak wynika z raportów szefa sztabu generalnego, nie ma już nadziei na złamanie oporu nieprzyjaciela działaniami ofensywnymi. Wobec tego celem naszej strategii winno być sparaliżowanie jego woli strategią obronną”. Tę właśnie strategię w identycznych niemal okolicznościach stosują Niemcy obecnie. Ludendorff pisze w swoich pamiętnikach, że już 8 sierpnia, a więc na tydzień przed powzięciem wyżej przytoczonej rezolucji, doszedł on do przekonania, że Niemcy wojnę przegrały. Niejeden z wyższych generałów niemieckich jest dzisiaj tego samego zdania.

* * *

Konferencja moskiewska nie bez powodu skupiła na sobie uwagę świata. Brały w niej udział trzy największe potęgi spośród sprzymierzonych: Anglia, Stany Zjednoczone A. P. i Rosja. Zapaść miały na niej decyzje olbrzymiej wagi, zarówno dotyczące skoordynowania wspólnej strategii wojennej, jak i uzgodnienia stanowisk wobec całego mnóstwa problemów z którymi sprzymierzni uporać się będą musieli po osiągnięciu zwycięstwa. Nie spodziewano się bynajmniej od niej żadnych definitywnych rozstrzygnięć we wszystkich poruszanych sprawach, ale miała ta konferencja przygotować do nich grunt i być wstępem do zapowiedzianego od dawna spotkania Churchilla, Roosevelta i Stalina. Niepowodzenie jej zmanifestowałoby rozbieżności między aliantami, o których Niemcy marzą, jako o jedynej swej desce ratunku.

Prezydent Roosevelt nazwał wyniki rozmów moskiewskich „tremendous success”. Nie znamy jeszcze wszystkich szczegółów i na pewno nie będą one tak prędko ujawnione. Enuncjacje urzędowe ograniczają się do stwierdzenia porozumienia w ogólnych zarysach. Już sam fakt, że zostało ono osiągnięte, że w piątym roku wojny, gdy na horyzoncie zarysowało się wyraźnie zwycięstwo, front sprzymierzonych jest zwarty, jak nigdy dotąd, jest rezultatem pozytywnym o wielkiej doniosłości.

Wspólny komunikat ogłoszony jednocześnie w Londynie, Moskwie i Waszyngtonie zawiera szereg niezmiernie ważnych postanowień zarówno natury wojskowej, jak i politycznej. Konferencja przede wszystkim położyła nacisk na konieczność szybkiego zakończenia wojny i ściślejszego skoordynowania w tym celu strategii aliantów. Trzy mocarstwa sprzymierzone oraz Chiny zobowiązują się do zorganizowania po wojnie systemu zbiorowego bezpieczeństwa, który obejmować będzie wszystkie narody miłujące pokój, wielkie i małe. Dla spraw Europy powołana będzie stała komisja doradcza trzech mocarstw z siedzibą w Londynie. Utworzona zostanie ponadto inna specjalna komisja doradcza w sprawie Włoch, w skład której wejdzie również przedstawiciel francuskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego oraz przedstawiciele Grecji i Jugosławii. We Włoszech przywrócone zostaną swobody demokratyczne. Inne postanowienie konferencji w formie deklaracji Roosevelta, Churchilla i Stalina dotyczy ukarania przestępców wojennych. Wydanie ich przez Niemcy będzie jednym z warunków zawieszenia broni. Najmniej bodaj oczekiwany wynikiem konferencji jest decyzja w sprawie przywrócenia niepodległości Austrii. Natomiast komunikat nic nie mówi o jakichkolwiek innych zmianach terytorialnych.

U kolebki tej konferencji nie stały same dobre wróżki. Obok głosów urzędowego optymizmu rozlegały się głosy sceptyczne, co jest rzeczą aż nadto zrozumiałą, jeśli się zważy, ile trudnych i drażliwych spraw oczekuje swego rozwiązania. Narody zjednoczone w wojnie z państwami osi, przede wszystkim z Niemcami,

dalekie są jeszcze od zupełnej jedności swych celów pokojowych. Żaden z nich nie przystąpił do tej wojny, by zbawić ludzkość. Każdy prowadzi ją o swą własną egzystencję (w dosłownym tego wyrazu znaczeniu) której zagraża wspólny wróg. Ale alianci mogą istotnie uratować całą ludzkość, jeśli nie pójdą na kompromisy sprzeczne z zasadami Karty Atlantyckiej. Nie jest przesadą twierdzenie, że w olbrzymim splocie problemów powojennych nie ma ani jednej z nich, w której sprawie. Jeśli zejdziemy z tego stanowiska, powrócimy do przedwojennego stanu rzeczy, który może dać na jakiś czas „aucun risque de guerre, mais aucun espoir de paix”. Na jakiś czas, bo później znowu wynikłaby sytuacja, prowadząca do trzeciej katastrofy.

Jakkolwiek istnieją różne sporne kwestie między aliantami, jasne jest, że największą trudność nastroczało uzgodnienie na dalszą metę celów demokracji anglosaskich oraz innych sprzymierzonych z celami Rosji. Czy jest to możliwe? Aby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba byłoby dokładnie znać postulaty z jakimi występują Sowiety. Ich roszczenia do wschodnich ziem Polski, do państw bałtyckich, do zdobyczy terytorialnych na Bałkanach itd. stanowią niewątpliwie tylko część programu, którego rozmiary zależą od sytuacji na frontach i układu sił pod koniec wojny. Sprawy te są nierozdzielnie związane z całością kształtem innych ewentualnych roszczeń Rosji, które mogą sięgać znacznie dalej i dotyczyć nie tylko terytoriów, lecz baz, sfer wpływów itd. zarówno w Europie, jak i w Azji.

W publicystyce anglosaskiej, zwłaszcza amerykańskiej, występują dwa poglądy. Jeden twierdzi, że już teraz należy osiągnąć jakies porozumienie w sprawach powojennych, drugi zaleca pozostawienie tych spraw, jako otwartych aż do końca wojny. Oba stanowiska mają swe pro i contra. Rosja, która raczej skłania się formalnie do drugiego stanowiska, kładzie przede wszystkim nacisk na skrócenie wojny i nie przestaje domagać się od aliantów utworzenia „drugiego frontu”.

Rzecz komplikuje się i wskutek tego, iż w Rosji nastąpiły ostatnio wielkie zmiany wewnętrzne, którym nie można przypisywać jedynie charakteru rozgrywek propagandowych na zewnątrz. Proces rewolucji bolszewickiej, rozpoczętej przed dwudziestu sześciu laty przeszedł przez bardzo już staromodną dialektykę przeobrażeń od wielkich międzynarodowych haseł ogólnoludzkich, od obalenia porządku społecznego do patriotyzmu narodowego, mocarstwowości i imperializmu. W dzisiejszym Panteonie rosyjskim Aleksander Newski i Piotr Wielki przyćmili Marksa. Nie ma Trzeciej Międzynarodówki, ale za to jest Najświętszy Synod. Stosunek nihilistyczny do granic tak ściśle związany z apostołstwem rewolucji światowej, należy do dawno minionej przeszłości. Stary panslawizm odrodził się w nowej formie. Nie zapominajmy również, że przewrót bolszewicki był nie tylko skutkiem załamania się caratu i kierieńskiego, lecz przede wszystkim klęski wojennej. Regime Sowietów po tej wojnie będzie owocem zwycięstwa. Industrializacja na olbrzymią skalę gruntownie zmieniła oblicze Rosji, niegdyś zwanej „kolosem na glinianych nogach”. Ten kolos ma dzisiaj nogi stalowe. Jeśli dodamy, że wszystkie te przemiany dokonały się w hermetycznej niemal izolacji od reszty świata, że całe pokolenie wychowane zostało w duchu podejrzliwości i nieufności do demokracji zachodnich, jako knujących spiski, interwencje, a w najlepszym wypadku „kordony sanitarne” przeciw Sowietom.

zrozumiałym będzie dlaczego tyle jest jeszcze niewiadomych i nieobliczalnych czynników w przyszłych stosunkach pomiędzy Związkiem Sowieckim a resztą sprzymierzonych narodów.

Większość opinii publicznej Anglii i Ameryki żywi nadzieję, że mimo wielu trudności, uda się osiągnąć trwałe porozumienie z Rosją w ramach Karty Atlantyckiej, bez pogwałcenia praw innych narodów i bez dyktatur wielkomocarstwowych „trójek” czy „czwórek”, które całkowicie zawiodły, jako instrument pokoju po tamtej wojnie.

Opinia ta wychodzi z założenia, że nawet najpotężniejsza Rosja nie będzie mogła trwać wiecznie w izolacji. Pesymiści, którzy są innego zdania, powtarzają ten sam błąd, jaki popełniali przed wojną ci, co niedoceniali siły moralnej, talentów organizacyjnych, bogactw gospodarczych i potęgę bojowej demokracji anglosaskich. Iluż to ludzi sądziło, że istnieją tylko dwie mocne, dynamiczne afirmacje społeczne: faszyzm i komunizm, a wszystko, co leży pośrodku jest negacją, przeżytkiem skazanym na zagładę. Wojna zadała kłam podobnym tezom. Rozwój wypadków wykazał również, że podczas, gdy spokojne współzycie demokracji z hitleryzmem i faszyzmem jest absolutnie wykluczone, nie tylko z powodu zasadniczej sprzeczności ustrojów i środków, lecz i niedającego się w żaden sposób pogodzić konfliktu ideologii, współpraca z Rosją okazała się rzeczą realną, wytrzymującą najcięższe próby tej wojny, albowiem eksperyment sowiecki, mimo metod totalnych, obcych duchowi kultur zachodnich, zawiera w sobie jądro demokratyczne. W tym sensie Sowiety uważane są przez szerokie koła w Anglii i w Ameryce za pewną wschodnią odmianę demokracji, która w swych dalszych metamorfozach pozbędzie się najgorszych metod i wielkimi osiągnięciami wzbogaci wspólny dorobek postępu ludzkiego.

Różne refleksje snuć można na ten temat, lecz wszystkie one ustępują w danym momencie na dalszy plan wobec kategoriycznego imperatywu, jakim jest szybkie i zwycięskie zakończenie wojny. Jeśli chodzi o mniejsze narody środkowej i wschodniej Europy, opinia anglo-amerykańska jest na ogół przekonana, że ich wolność i niepodległość leży jedynie na płaszczyźnie porozumienia aliantów z Rosją, gdyż wszelkie inne warianty powojenne otwierają przed światem perspektywy najbardziej ponure i tragiczne.

Jednym z problemów najistotniejszych jest stosunek do Niemiec po zwycięstwie. Trudno powiedzieć, że panuje w tej sprawie zupełna jedynomyślność między sprzymierzonymi narodami i że skryształizowały się jakieś wyraźne koncepcje. Nawet opinia sowiecka nie jest na tym punkcie „totalna”. Oficjalnym hasłem Sowietów jest walka z „hitlerowskimi” Niemcami i „śmierć najeźdźcom”. Londyńska „Tribune” zamieściła bardzo ciekawy artykuł w związku z założeniem w Rosji komitetu generałów niemieckich, wziętych do niewoli. Tygodnik ten zwraca uwagę, że w Sowietach zarysowują się dwa prądy w stosunku do Niemiec. Ten drugi prąd, mniej oficjalny, znalazł ostatnio wyraz swój w przemówieniach radiowych znakomitego pisarza Aleksieja Tołstoja, którego uważają za „spokesmana” młodszego pokolenia dowódców czerwonej armii. Czyni on odpowiedzialnym za popełnione zbrodnie nie tylko „hitlerowskie” Niemcy, lecz cały naród niemiecki i domaga się zemsty. Lord Vansittart jest wobec Aleksieja Tołstoja sentymentalnym germanofilem. Takie same sta-

nowisko wobec Niemiec zajmuje znany leader Kominternu, jeden z ostatnich mohikanów starej gwardii bolszewickiej, Manu-
ilski.

* * *

W jednej z mów swoich, wygłoszonych ostatnio w Izbie Gmin, Churchill powiedział: „The controversies about whether Burke was right or wrong when he said: „I do not know the method of drawing up an indictment against a whole people” — these controversies seem to me at the present time to be sterile and academic!” Edmund Burke, znakomity mąż stanu i publicysta osiemnastego wieku, jeden z najbardziej klasycznych przedstawicieli angielskiej myśli politycznej, miał niewątpliwie rację, twierdząc, że nie można wytaczać aktu oskarżenia przeciw całemu narodowi. Bronił on wówczas niepodległości kolonistów amerykańskich, którzy powstali przeciw Anglii. Później, gdy zwalczał zaciekle rewolucję francuską, nie trzymał się tej mądrej maksymy, oskarżając często cały naród. Lecz sformułowanie Burke'a, ostrzegające przed zrzucaniem odpowiedzialności na ogół, za czyny jednostek, nie straciło nic ze swej aktualności. Przytaczając słowa Burke'a, Churchill słusznie podkreślił, że dzisiejsza dyskusja na ten temat w stosunku do Niemiec jest jałowa i akademicka. Ważne jest bowiem w danym momencie nie to, czy będziemy uważać, że cały naród niemiecki współwinny jest zbrodni Hitlera, czy też część jego, lecz jakie wyciągniemy z naszego stanowiska konkluzje? Formuła Churchilla jest bardziej praktyczna: doszczętne zniszczenie pruskiego militarystyki i tyranii Hitlerowskiej.

Przed kilku miesiącami jeden z posłów Izby Gmin zadał Churchillowi następujące pytanie: „Has not Germany by her shameful record forfeited her right to nationhood and that being so has the Government considered the policy of „No more Germany — no more war”. Churchill zbył pytanie to żartobliwą uwagą, że problem jest zbyt poważny, by mógł z miejsca odpowiedzieć. Mimo swej paradoksalności, pytanie to zawiera głębszy sens.

Wychodząc z założenia zbiorowej odpowiedzialności i rozumując logicznie należałoby właściwie odmówić Niemcom prawa do istnienia, jako narodowi. W każdym narodzie są jednostki złe, lecz jeśli dana gromada ludzka spełnia bez próby oporu rozkazy swych wodzów-zbrodniarzy, a więc staje się przez to samo szajką opryszków, jeśli na przestrzeni wieków popełnia systematycznie gwałty wobec innych narodów i stwarza sobie całą filozofię, która te gwałty sankcjonuje, jako najwyższe cnoty patriotyczne, to powstaje pytanie, czy może ona korzystać z przysługujących innym normalnym narodom praw, czy też nie byłoby lepiej dla całej ludzkości, gdyby przestała istnieć, jako zorganizowana zbiorowość?

Gdzie tu tkwi błąd? Oczywiście, w przesłance, ustalającej zasadę zbiorowej odpowiedzialności winnych i niewinnych, bo absurdem jest uznanie wszystkich Niemców za winnych. Byłoby to odwróceniem tezy Hitlera, którą *Herrenvolk* realizuje z szatańską konsekwencją. Procedura unieszkodliwienia Niemiec bynajmniej nie wymaga przyjęcia tego rodzaju zasad. Dla każdego trzeźwo myślącego człowieka jasne jest, że należy uczynić wszystko możliwe, nie wyłączając środków najostrzejszych, by wytepić raz na zawsze to zło, jakim jest wychowanie niemieckie, ideologia niemiecka, system niemiecki,

organizacja niemiecka, słowem wszystko to „niemieckie”, co zagraża światu, ale nie można nadawać tej procedurze charakteru zasady o stosunkach międzynarodowych.

Jest rzeczą bardzo znamioną, że pewne koła, które wysuwają obecnie takie „rasistowskie” tezy przeciw Niemcom, zdradzały wyraźną tendencję do porozumienia się z najgorszymi Niemcami.

* * *

Czy ci najgorsi zostaną ukarani? Ludzie, pamiętający koniec tamtej wojny, uroczyste przyrzeczenia mężów stanu ówczesnej koalicji, nie mogą pozbyć się pewnego sceptycyzmu, gdy słyszą dzisiaj te same groźby pod adresem niemieckich przestępców wojennych. Cesarz Wilhelm najspokojniej dokonał swego żywota na pięknym zamku holenderskim w Amerongen, otoczony sielanką rodzinną, mimo iż jedni, w tej liczbie Lloyd George, chcieli go powiesić, a inni szukali dla niego wyspy bezludnej na morzach południowych. Hitler na pewno nie zdoła w ten sposób ująć kary.

Ale nie są pozbawione aktualnej pointe'y cierpkie uwagi p. Driberga, posła do Izby Gmin, znanego felietonisty, który dawniej redagował kolumnę „William Hickey w „Daily Expressie”, a obecnie przeszedł do „Reynold's News”. Zdaniem jego, urządzanie wielkich procesów publicznych nad przestępcami wojennymi jest rzeczą dla różnych osób z obozu zwycięzców bardzo niewygodną. Najprościej byłoby ich zlikwidować bez długiej procedury. P. Driberg twierdzi, że szefowie państw, którzy złożyli sobie wzajemnie podczas wojny, nie mają zwyczaju czynienia krzywdy swym „opposite numbers” po wojnie. Przytacza bardzo charakterystyczne wynurzenia pewnego wysokiego urzędnika angielskiego po porwaniu przez Niemców Mussoliniego. „Właściwie — rzekł ów urzędnik — nie ma powodu do zmartwień. Zaszczędziło to nam wiele kłopotu, bo nie weszlibyśmy, co z nim zrobić”.

Proces Hitlera nastęrczyłby mnóstwo trudności. Sądy zwycięskich demokracji nie mogłyby odmówić mu prawa do obrony. Hitler i inni liderzy nazistowscy wezwaliby na świadków cały szereg polityków i publicystów alianckich, którzy w swoim czasie nie ukrywali swych zachwyty dla Führera. Na pewno nie brak odpowiednich materiałów w archiwach Wilhelmstrasse, pomijając już rzeczy znane. Niedawno ukazał się i jest jednym z „best seller'ów” świetny pamflet satyryczny p.t. „The trial of Mussolini” pióra p. Cassiusa. Pod tym pseudonimem ukrywa się bardzo wybitny dziennikarz angielski. Ten proces imaginacyjny nie kończy się wyrokiem, ale, jak wynika z jego przebiegu i resumé sędziego, oskarżony miałby nawet pewne szanse uniewinnienia. Obrona wezwała na świadków całą galerię polityków i publicystów (nie tylko spośród t.zw. uspakajaczy) którzy gloryfikowali Mussoliniego, uważając go za wielkiego męża stanu, zbawiciela Włoch, a nawet rzecznika pokoju. W świetle ich zeznań, opartych na autentycznych oświadczeniach, przemówieniach, artykułach z okresu przedwojennego Il Duce bardzo zyskuje, a w każdym razie nietrudno obronie powoływać się na okoliczności łagodzące. Wszystkie jego grzechy przed atakiem na Francję zostały mu przez rządy demokracji zachodnich wybaczone, wszystkie poprzednie akty agresji Włoch uzyskały sankcję mocarstw zachodnich. Część oskarżenia, dotycząca owego okresu upada, bo czyż można skazać Mussoliniego za to, co oportunizm rządów tych demokracji zalegalizował, umywając ręce nad jego podbojami i da-

jąc premium napastnikowi. Mussolini nie przyznaje się do żadnej winy, nawet w tym, że zaatakował Francję. Wyjaśniając, dlaczego tak postąpił, broni się w swym ostatnim słowie, pełnym gryzącej ironii. „Gdy Francja padła — mówi — gdy zmieniło się całe oblicze Europy, gdy cały świat zdawał się wkraczać w nową erę, ja również uwierzyłem, że nic już nie stało więcej na drodze tej lawiny prócz Anglii Chamberlainów, Simonów, Hoare'ów i Halifaxów. Czyż mogłem trwać dalej w neutralności na tak kruchej postawie? Był to błąd, tragiczny błąd dla mnie i dla mojego kraju. Gdybym powstrzymał się w owej chwili, co za wspaniałe perspektywy otworzyłyby się przede mną? Jak zabiegano by o moje względy, jakie hołdy składano by mojej racji stanu! Politycy angielscy, którzy zawierali traktaty ze mną i tak wysoko podnosili moją „nieposzlakowaną dobrą wolę”, wieszczaliby sobie przeczności i zyskali by na prestiżu, darząc mnie nowymi pochlebstwami. Łatwo jest być mądrym po szkodziu, ale nie tak łatwo było wówczas przewidzieć, co się stanie. Mój błąd polegał na tym, że uwierzyłem w klęskę Anglii. Ale prawie cały świat był pewien tego... Był to błąd, błąd nieudanej imprezy. Skarżcie mnie, powieście mnie, rozstrzelajcie mnie za ten błąd, ale na litość Boga, zaoszczędźcie mi obłudnego nazywania go zbrodnią. Mężowie stanu nie popełniają zbrodni, w stosunkach między narodami nie ma kodeksu karnego. Jeśli skażecie mnie, znajdą się inni, którzy walczyć będą o panowanie nad światem. Jeśli powiesicie mnie, ceremonią tą nie skończy się kult siły. Siła jest wciąż bogiem narodów”.

Trudno nie przyznać, że z punktu widzenia kryteriów moralnych polityki przedwojennej argumenty, jakimi posługiwała się obrona Mussoliniego, były bardzo logiczne i przekonujące. Ten doskonały pamflet jest nie tylko retrospektywnym atakiem na dawnych „appeaser'ów” i nie tylko satyrą polityczną. Zawiera on mnóstwo głębokich myśli i trafnych spostrzeżeń na temat t.zw. realizmu, który nie waha się dla miłego spokoju iść na kompromisy ze złem, w błędnym mniemaniu, że to zło jest tylko lokalne, dalekie i że na współpracy z nim może być oparte bezpieczeństwo wolnych narodów.

* * *

Jedna z uchwał konferencji moskiewskiej ostrzega przestępców wojennych, że dosięgnie ich ręka sprawiedliwości choćby schronili się w najdalszy zakątek świata. Jak wiadomo, szereg państw neutralnych, między innymi Szwajcaria, Turcja i Argentyna odpowiedziały odmownie na noty rządów sprzymierzonych w sprawie nieudzielania azylu tym przestępcom, powołując się na swoje prawo decydowania, czy ich mają wydać. Prawo azylu jest piękną tradycją, z której korzystały całe pokolenia bojowników o wolność. Odmowa wspomnianych państw nie oznacza bynajmniej, że przestępcy wojenni znajdą tam schronienie. Trudno przypuścić, by zechciały one wpuścić ich na swe terytoria, narażając sobie cały świat. Chodzi im najwidoczniej o obronę samej zasady, której naruszenie uważałyby za wymierzone przeciw swojej suwerenności. Wobec tego jednak, że po tamtej wojnie Niemcy przestępcy wojenni korzystali z azylu w krajach neutralnych i nie można przewidzieć z całą pewnością, jak ich rządy zachowają się w analogicznych wypadkach, zrozumią ją jest ostra krytyka tej odmowy w prasie alianckiej.

Problem jest bardzo interesujący, potrąca on bowiem o dwie sprawy, uważane dotąd za nietykalne tabu, które muszą ulec re-

wizji, o zagadnienia neutralności i suwerenności. W bardzo mocnych słowach ujmuje je lord Davies, w liście do „Times'a”. „Nie należało — pisze on — oczekiwać innego stanowiska od tych państw, gdyż zgoda ich na żądanie sojuszników byłaby przyznaniem ich wyższości moralnej, a więc pośrednio potępieniem neutralności. Zwycięstwo aliantów da krajom neutralnym wszelkie korzyści oraz bezpieczeństwo, aczkolwiek nie poświęciły one ani jednego życia ludzkiego i ani jednego grosza na przeciwstawienie się napastnikom... Niewątpliwie neutralni powoływać się będą na przepisy i technikę owej fikcji, która nazywa się prawem międzynarodowym. Lecz wszelkie przepisy, choćby najbardziej elastyczne, nie mogą być niezmiennie. Muszą one przystosować się do zmiennych potrzeb cywilizacji. Jeśli państwa neutralne postawią się poza wspólnotą narodów zjednoczonych, nie będą one brały udziału w wprowadzaniu zmian prawa publicznego, jakich wymaga międzynarodowa moralność, sprawiedliwość i zdrowy rozsądek. Jeśli powoływać się będą na pewno na święte prawa suwerennych państw, zjednoczone narody winny raz na zawsze zerwać z tym fetyszem. Czyniąc to, usuną jedną z największych przeszkód na drodze do trwałego, sprawiedliwego pokoju. Istnieje sposób pokojowego pouczenia państw neutralnych w razie, gdyby istotnie udzieliły one schronienia przestępcom wojennym. Należy odgrodzić je od reszty świata, zamknąć ich granice, zerwać z nimi wszelkie stosunki. Niech duszą się w swym własnym sosie, dopóki nie wydadzą zbrodniarzy i morderców”.

Na pewno nie zajdzie potrzeba użycia tego sposobu wobec neutralnych. Szkoda tylko, że nie stosowano go w swoim czasie przeciw agresorom, zanim rozpętali oni wojnę światową. A było to takie łatwe!

EUGENIUSZ CĘKAŁSKI

HUXLEY I CIEMNOŚĆ

Jest taki dom w Londynie, który nazywa się szumnie — Międzynarodowy Ośrodek Młodzieży — jakaś pani, której syn na wojnie przepadł, dała pieniądze, ludzie zebrali się, urządzają odczyty, muzykę, jedzenie, tańce — żeby zbliżyć młodzież różnych narodów. Dobrze. Do tego domu poszliśmy raz wieczorem — Ronald i ja. Z ciekawości, z zawodowej potrzeby, żeby zobaczyć jak to tam jest z tą międzynarodowością. Bo wojna się kończy i żadna z niej idea nie wynika tylko znowu wielkie mocarstwa, strefy wpływów, pakty, podziały, stara piosenka.

Pierwszym razem bardzo się nie udało. Po przełknięciu na dole przepisowych sandwiczów i kawy (usługi nie ma bo kucharka poszła — usługa jest ochotnicza) patrzmy na prawo i lewo — dwie ATS-ki, trochę nieuczestnych młodzieńców, paru Murzynów, Chińczyk. Nuda. Idziemy na górę. Wieczór muzyczny. Bardzo jękający się prorok z Hampsteadu, typowym akcentem niemieckiego Żyda objaśnia nam coś o Brahmsie. Zakłada na pateron płyty i bzdurzy, że Brahms pisał operę tak, jak się przeżywa małżeństwo i w porównaniu tym zabrął, aż go publiczność śmiechem zatopiła. Znowu założył płytę i wszyscy słuchali. Więc rozglądamy się — chcemy coś wiedzieć o tym zgromadzeniu w tej stolicy zwycięzców, w piątym roku wojny o lepszy świat.

Cóż odkrywamy? Około trzydziestu dziewczyn i kilkunastu chłopców. Chcemy odgadnąć narodowości — twierdzą że czarna koło nas to Włoszka, że ruda przed nami Niemka, a szlachetny blondyn Norweg. Ronald cieszy się widokiem grubej dziewczyny, która wierci się na krześle nerwowo i co się drzwi porusza zaraz patrzy — twierdzimy, że jest dziewczicą, że to patrzenie na drzwi to kompleks freudowski i że narodowość — Czeszka.

Po muzyce — tańce. Ronald lata zazdrosny za swoją przyjaciółką Verą, która tańczy i trochę flirtuje z gromadą Murzynów. Ronaldowi trudno się poruszać. Chciał zachować incognito, a już go otoczyły dwie czy trzy dziubdzie nieznanej narodowości i twierdzą, że go poznały (jest znanym aktorem filmowym). Na próżno Ronald tłumaczy, że jest swoim własnym bliźniaczym bratem — nie wierzą mu. Na koniec stwierdza, że ten klub jest „no good”, bo tu białe panny tańczą z Murzynami, i co bym ja pomyślał jakby moja córka itd.... bardzo się na niego o ten „colour bar” złościę i tłumaczę, że zawsze nam Polakom zarzuca się szowinizm i reakcyjność a tymczasem on w poszukiwaniu międzynarodowości oburza się na kolorowych. Wstyd. Cytuję mu też wypadek jednej naszej pani, która do Anglii na brytyjski paszport przywiozła z Polski dwu ślicznych czarnych i kędzierzawych synków — murzynków, a on się dziwi. Gotów się klócić, powiada, że jak Polacy ze Szkotkami to dobrze, ale z Murzynami to „shocking” i w końcu łapie Verę, która swój mundur wysokiego oficera damskich wojsk skaziła tańcem z Murzynami i śpiesząc się na jakiś tam dziewiąta z minutami pociąg — ucieka.

Ta pierwsza chaotyczna i niemądra wizyta w Międzynarodowym Klubie Młodzieży dała jednak coś niecoś do myślenia. Za parę dni miał być odczyt wielkiego biologa — Juliana Huxleya. Trzeba pójść. On może odpowie na te pytania, które dręczą. Czy podział na narody musi być źródłem nienawiści i wojen? Co nas wszystkich dzieli? Czy język i obyczaj, czy sposób myślenia — czy jest coś we krwi? I dokąd zajdzie ludzki gatunek rozłupywany na sekty, kościoły, klany, rozcięty jak nożem murami granic politycznych, językowych, ideowych? Czy można być jednocześnie dobrym np. Irlandczykiem i dobrym obywatelem Ziemi? Jak to pogodzić? Co powie o tym nauka, dziś bliska już stwierdzeń ważących na naszym życiu — tak jak stwierdzenie, iż maszyny cięższe od powietrza mogą latać zmieniło cały nasz (wspólny, międzynarodowy) świat.

Huxley stanął przed gromadą niespokojnej młodzieży, tej samej, która parę dni temu tańczyła i piła, była niemądra. Tym razem nie tak jak na Brahmsa i tańce, nie garstka przyszła a tłumy. Sala pełna. Siedzieli teraz w kucki na podłodze, ludzie bez ojczyzn, zebrani w Londynie przez wielką krwawą wędrówkę plebion, czekali skupieni i poważni. Chińczycy, Hindusi, Żydzi, Cze-si, Polacy, Rosjanie, Włosi, Niemcy.

Huxley, młody choć siwawy, mówił ostrożnie i z wiarą, słowa dobierał i składał. Powiedział najpierw, że dwie są postawy uczonego — postawa Fausta i postawa Prometeusza. Faust bada dla samego badania, przez ciekawość. Prometeusz wykrada bogom ogień, aby go oddać ludziom. Przyznał, że sam raczej skłania się do postawy Fausta. Ale i Faust w końcu chce widzieć zastosowanie swej wiedzy. Na skutek dwu wojen dwa razy zmieniać trzeba było światopogląd. Dziś rysuje się przed nami coś — niby próba syntezy naukowej — nazwijmy to naukowym humanitaryzmem. Naukowy humanitaryzm to mądra, logiczna i celowa troska

o człowieka. O każdego człowieka. Jest bardzo trudno dostosować do życia rezultaty ludzkiego myślenia. Człowiek — rodzaj ludzki — homo — rozwija się fizycznie dziesiątki tysięcy razy wolniej niż ludzka myśl. Myśl ludzka wyskoczyła z ram ciała i pędzi — a człowiek pozostał instrumentem niezgrabnym, ciężkim, ułomnym. Ale jest już dzisiaj parę nowych prawd nauki, które pomóc mogą człowiekowi w odzyskaniu równowagi. Więc przede wszystkim zasada dynamicznego patrzenia na świat. Wbrew stałym dogmatom religii — pogląd, że wszystko się zmienia, że siły działają wciąż, że świat i ludzie nie są masą stałą a procesem. Że proces ten idzie w kierunku coraz większego różniczkowania się i to jest gwarancją postępu. Nonsensy plotą ci, co twierdzą, że świat staje się lub stać się powinien jednolity — nie, im więcej gatunków, ras, skrzyżowań, kombinacji tym większe bogactwo — a bogactwo form jest udoskonaleniem życia. Więc nie żaden totalizm, który czyni świat ubogim, bo uznaje jedną tylko rasę czy jedną formę życia — nie, im więcej w przyrodzie przejawów tym pewniejsza ewolucja. Ewolucja może czasem iść ślepą ulicą lub wstecz nawet — lecz bogactwo form zawsze nawróci ku postępowi. W każdym społeczeństwie hodować trzeba i cenić buntownika, anarchistę, rewolucjonistę. Mogą się oni stać ziarnem nowego kierunku. (Cóż za kraj Anglia, pomyślałem, u nas w Europie w każdym prawie kraju przed tą wojną uczonożo za takie słowa chcianoby zamknąć). Wreszcie nauka dochodzi też do wniosku, że otoczenie, warunki, decydują najczęściej o charakterze człowieka. Hindusów, powiada Huxley, uważa się za naród mistycznych leni. A gdyby im tak dać dość ryżu, siatki przeciwmoskitowe, witaminy, zastrzyki na malarię — na pewnoby się w ciągu jednego pokolenia okazali narodem młodym, potężnym, pełnym energii. (Znowu, cóż za oświadczenie, w chwili, gdy w Indiach pod brytyjskim władaniem ludzie z głodu padają jak muchy. Przypominają się też nasi polscy Żydzi, chudzi, niezdarni, ge-szefciarze — jak się po wyrwaniu z ghetta w Palestynie w gajach pomarańczy i grapefruitów odmienili).

Tak więc konkluduje Huxley — naukowy humanitaryzm twierdzi dziś, że ewolucja ludzkości, szacunek dla człowieka, opieka nad życiem dać mogą nam świat różnorodny, bogaty, lepszy i że minimum żywności i higieny może nas podnieść i uszlachetnić. I staje dziś przed człowiekiem cel łatwy i konkretny. Obdzielić świat tak, aby nikt nie głodował. Od czasu jak świat światem nigdy dość dla wszystkich nie było. Wojny, ciemnota, zła organizacja, wyzysk, granice — sprawiały, iż zawsze miliony marły z głodu a tylko garstka jadła. Dziś dość jest dla wszystkich. Ale rozdzielić to można tylko przy stworzeniu organizacji ponadnarodowej, która by ponad suwerennością państw, regulowała współżycie ludzi. A potem dopiero — nauka, która dziś już tyle daje, badając dziedziczność, selekcję, wpływ otoczenia, zabrać się będzie mogła (za 100 — 200 lat) do pracy nad udoskonaleniem naukowym gatunku, nad pogłębieniem ludzkiego szczęścia i ludzkiej egzystencji. Człowieka nie można dziś jeszcze hodować, jak się hoduje warzywa, czy zwierzęta domowe. Trzeba mu pierwszej dać jeść i dać żyć. Ale potem nauka sprawić może cuda.

Klaskali bardzo młodzi ludzie różnych narodów po referacie Huxleya. Potem zadawano pytania. Widać było dwie grupy — jedna nie chciała się zgodzić na sposób, w jaki Huxley odrzucił religię. Że, jeśli humanitaryzm, to musi być jakiś dogmat, miłość, piękno. Huxley na to, że miłość, piękno, mistycyzm — są w na-

turze człowieka. Sformułowania religijne są tępe, martwe, statyczne. On nie czuje, aby były konieczne. Nauka wystarcza. Zresztą nauka sięga coraz dalej. Psychologia staje się nauką i sięgnie na pewno po t.zw. „tajniki duszy ludzkiej”. Inni znowu (zwłaszcza jeden bardzo zapalony Hindus) chcieliby wiedzieć, co Huxley myśli o Sowietach, czy ten eksperyment się udał i czy ewolucja wystarczy, rewolucji też trzeba i dlaczego mamy 100 lat czekać na lepszy świat. Huxley przyznał, że eksperyment sowiecki się udał (czy tak myśli, bo wie, czy ulega powszechnej opinii?), ale, że rewolucja potrzebna jest, gdy warunki wykluczają ewolucję — lecz jest wyjątkiem a nie zasadą. To samo można osiągnąć bezkrwawo.

Kiedy skończył się odczyt, Huxleya otoczyła gromada ciekawych. Jeszcze się pytali. Podszedłem i ja i spytałem się, czy nie słuszne byłoby potraktować wychowanie jako system selekcji. Już dziś wychowanie przebiera i selekcjonuje ludzi. Robi to ślepo i źle. Huxley spojrzał się podejrzliwie. Myślał może, że chciałem atakować angielskie „public schools” bo odpowiedział — ach tak, ale przecież „upper classes” rozmnażają się wolniej niż lud, więc zawsze jest dopływ nowego elementu.

Tego mi właśnie w odczycie Huxleya brakło — myśli o wychowaniu. Ono bowiem jest tym elementarnym składnikiem otoczenia, które kształtuje ludzi. Gdyby tak wychowanie umiędzynarodowiło o tyle chociaż, aby znikły ze szkół złe i głupie podręczniki nienawiści, fałszywe historie o królach i sensacyjne bajki. Gdyby nie uczono pogardy dla innych, gdyby nigdzie narodowość nie stawała się fetyszem i bojowym sloganem — tylko była tym, czym naprawdę jest — formą i różnością, odmianą tej samej, wspólnej, ludzkiej jedności.

Tak sobie myślałem, idąc przez ciemne ulice Londynu. Zamykano właśnie bary i śmiech pijanych amerykańskich żołnierzy, pisk dziewczyn, a w górze warkot setek maszyn, idących na wojnę, składały się na to nocne słuchowisko wojennego Londynu, w jakim już cztery lata żyjemy, kapryśni, skłóceni, smutni i tęskniący. Czy potrafimy w ciemności tej dostrzec światło wstające mądrego, naukowego humanitaryzmu? Nie żyjemy poza epoką — żyjemy w samym wnętrzu krwawego brzucha dzisiejszych dni, szczęśliwi i mądrzy są uczeni, umiejący w chwili takiej formułować prawdy, które wściekłą bestię wojennych czarnych nocy przetrwają.

MIECZYŚLAW SZERER

KONSTYTUCJA Z 1935 R. A WSPÓŁCZESNOŚĆ POLSKA

Rozprawa niniejsza wychodzi z założenia, że Konstytucja z r. 1935 jest naszą obecną formą ustrojową.

Konstytucja ta posiada zaletę, za którą wiele będzie mogło być w niebie przebaczone jej twórcom. Artykuł, upoważniający Prezydenta Rzplitej do ustanowienia w czasie wojny swego następcy, umożliwił przeniesienie na obcyznę regularnych władz okupowanego kraju. Władze te nie mogą mieć legalnej konkurencji. Toteż nie może być w obecnym położeniu mowy o zwalczaniu Konstytucji z r. 1935.

Premier Mikołajczyk, w exposé wygłoszonym w Radzie Naro-

dowej dnia 27 lipca 1943 r., powiedział bardzo słusznie o tej ustawie: „Niewątpliwie w przyszłości dążyć będziemy do zmiany jej poszczególnych postanowień, lecz dzisiaj jest ona prawną podstawą działania władz państwowych z Panem Prezydentem i Rządem na czele i za taką, wobec niemożności jej zmiany poza granicami Państwa, musi być i będzie uznawana”.

Jest to jedyne możliwe stanowisko. Można dyskutować na temat, czy przyszłe zmiany dotyczyć będą jedynie „poszczególnych postanowień”, czy też obejmą całość ustawy zasadniczej (osobiście przychyliam się do tego drugiego zdania). Ale jest jasne dla każdego, że póki kraj nie posiedzie swobody wypowiedzenia się o swej konstytucji, należy podstawę prawną obecnych władz na emigracji zostawić w spokoju.

Co innego jednak nie podgrzebywać się pod fundament konstytucyjny, a co innego — chcieć w wykonaniu Konstytucji z r. 1935, wprowadzić praktykę zgodną z wymogami czasu i położenia. Zobaczmy, jak tego rodzaju chęć wygląda ze stanowiska prawnego i politycznego.

FIGLE INTERPRETACYJNE?

Chciałbym jednak przedtem rozprawić się z zarzutem łatwym do przewidzenia, że mianowicie tego rodzaju naginanie Konstytucji z r. 1935 przypomina sławetne harce, które z Konstytucją z r. 1921 wyprawiali niektórzy doradcy prawni rządów z epoki pułkownikowskiej. Pamiętamy dobrze, jak sumienie prawnicze wzdragało się przeciw ówczesnym „interpretacjom”. Czyżbyśmy chcieli naśladować ten przykład? Winien jestem wszystkim uczciwie zaniepokojonym odpowiedź, która nie jest trudna.

Interpretacja — i to interpretacja rozszerzająca lub zwężająca pierwotne zamierzenie ustawy — bywa nadzwyczaj cennym czynnikiem postępu prawa. Zapewne, idealny stan byłby, gdyby tuż za każdą zmianą warunków życia postępowała zmiana odpowiednich norm prawnych dokonana drogą ustawodawczą i parlament, siedząc w wieży obrotowej i rozglądając się nieustannie a bacznie po całej dziedzinie życia społecznego, natychmiast popieszał z przerabianiem odnośnego ustawodawstwa. Ale niczego podobnego nie ma i być nie może. Ciągłe nowelizowanie ustaw, nie pozwalając ustalić się regulacjom, bywa równie niezdolne, jak ucisk praw skostniałych.

Poza tym ustawy miewają po kilkadziesiąt, w Anglii po kilkadziesiąt lat. Przez ten czas poszczególne ich dyspozycje pozrastały się z tyłu postanowieniami innych ustaw i stały się podstawą tyłu zwyczajów, że nowelizowanie ich może nastęrczać wielkie trudności praktyczne. Albo inne przyczyny sprawiają, że ustawodawca nie wkracza. Wtedy jednak wykładnia — temperując dawne pojęcia — pozwala normom ustawowym przechodzić ewolucję odmładzającą, dzięki której nadal służą potrzebom życia zamiast doprowadzać do niebezpiecznych konfliktów.

Nie sam więc zasięg interpretacji rozstrzyga o jej dopuszczalności lub niedopuszczalności. Wykładnia może iść bardzo daleko w kierunku przeinaczania dawniejszego rozumienia ustawy a mimo to nikt jej nie zarzuci niemoralności. Sąd o wartości interpretacji — o tym, czy jest pomocą do spokojnej ewolucji stosunków prawnych czy też jest wyprawianiem figli z porządkiem ustawowym — można wydać dopiero, oceniając cel, do którego zmierzają wykładnia, i rezultat, do którego doprowadza. Inaczej mówiąc, trzeba nasamprzód ustalić pewne wartości krytyczne. Trzeba zadać sobie pytanie, czemu służy ustawodawstwo. W szcze-

gólności, w związku z zagadnieniem, które nas tu interesuje: czemu służy ustawodawstwo konstytucyjne?

ROLA WSPÓŁCZESNEJ KONSTYTUCJI

Dla ludzi wychodzących z założeń demokratycznych — a do tych tylko mówię — nie może być dwóch zdań co do tego, że celem konstytucji winno być ustalenie takiej organizacji władz państwowych i takiego ich stosunku do obywateli, by życie wolnego człowieka mogło rozwijać się na jak najwyższym poziomie. Te dwa kryteria:

- 1) wolność jednostki jako warunek godności bytu ludzkiego i
- 2) dopuszczenie każdego do równego udziału w dobrodziejstwach rozwoju

stanowią podstawę filozofii politycznej, więcej: podstawę systemu moralnego demokracji.

Z tej filozofii politycznej i z tego systemu moralnego wychodziła Konstytucja z roku 1921. Można nie bez racji dysputować o tym, czy w wyciąganiu konsekwencji nie szła czasem za daleko; czy pewne jej postanowienia nie były (że przypomnę określenie Stanisława Thugutta), jak zbyt długa koszula, co płącze się koło nóg. Ale że Konstytucja ta wychodziła z założeń wolnościowych i z zasady stanowienia obywateli o swym losie, oraz że takie właśnie założenia i taka zasada odpowiadały woli olbrzymiej większości narodu polskiego — to jest pewnik, a więc i nieomylny wskaźnik, wedle którego demokracja musi oceniać wykonywanie naszej pierwotnej ustawy zasadniczej.

Otóż z tej wysokości ocena interpretacji, którym poddawano Konstytucję z roku 1921 i szereg ustaw o nią opartych, wypada fatalnie dla autorów tych wykładni. Nie to było ich śmiertelnym grzechem, że w ogóle chcieli odstępować od pewnych brzmień ustawowych, ale że ich odstępstwa szły w kierunku wręcz sprzecznym z duchem politycznym i moralnym systemu, jaki naród sobie nadał i pragnął utrzymać. Ich interpretacje nie pomagały Konstytucji spełniać roli, która odpowiadała woli społeczeństwa. Wręcz przeciwnie, na przekór tej woli chciały z Konstytucji, pomyślanej jako wyraz wolności i samodzielności obywateli, uczynić narzędzie pozbawiania obywateli tego właśnie, czego najbardziej od niej oczekiwali.

Interpretacje z okresu pułkownikowskiego zachowają jedno z pierwszych miejsc w historii niemoralności politycznych dlatego, że cynicznie kradły społeczeństwu jego wolę. Interpretacja natomiast, na której potrzebę pozwałam sobie wskazać — w niniejszej rozprawie, pragnie przywrócić woli społeczeństwa należną wagę. Jeśliby ktoś nie dostrzegał ogromu tej różnicy — nie będę z nim się sprzeczał. Albowiem nie ma człowieka bardziej ślepego niż ten, który nie chce widzieć, i daremnie takiemu tłumaczyć, czym różni się czarne od białego.

PODSTAWA REALNA KONSTYTUCJI

Konstytucja nie bierze się z niczego. Nie dzieje się tak, że w pewnej chwili rozstępują się nad krajem obłoki i sływa poprzez nie gołębica, trzymając w dzióbku paperek z konstytucją.

Konstytucja wyrasta z gruntu rzeczywistości społecznej. To po prostu prawne utwierdzenie pewnego faktycznego stosunku sił zbiorowych. To odbicie stanu, do którego doprowadziło zmaganie się owych sił, i to stwierdzenie zwycięstwa jednych z nich nad drugimi. Wygląd konstytucji jest dowodem, że ci, co chcieli

ją mieć taką, jaka jest, byli silni, a ci, co skarżą się na jej dokuczliwość, byli słabsi.

Nasza Konstytucja z roku 1935 nie jest wyjątkiem od tej zasady. Ona też odpowiadała ściśle stosunkowi sił, jaki był w owym czasie. Przeczyć temu może ten tylko, kto miesza w ołę poszczególnych grup społecznych z ich siłą. To są jednak dwie różne rzeczy. Większość ludu polskiego mogła chcieć (i niewątpliwie chciała) innego zgoła ustroju, niż ten, który się odczytywało z nowej Konstytucji. Ale mniejszość przeciwna miała wojsko, miała aparat administracyjny i miała Gołędzinów. Układ woli był przeciw Konstytucji, ale układ sił był za nią. Dlatego Konstytucja ta weszła w życie.

Takie właśnie pozytywistyczne stwierdzenie, że Konstytucja z roku 1935 odpowiadała temu stosunkowi sił zbiorowych, jaki był w Polsce przez cztery ostatnie lata przedwojenne — takie właśnie stwierdzenie musi być punktem wyjścia naszej dyskusji. Cała rzecz bowiem w tym, że stosunek ów był, ale go już nie ma. Nie chcemy w najmniejszej nawet mierze naruszać zasady poszanowania prawa, a tym bardziej poszanowania prawa konstytucyjnego, osobliwie uświęconego. Nie chcemy rewolucjonizować form wprowadzania i zmieniania konstytucji. Chcemy na gruncie Konstytucji z roku 1935 doprowadzić do zgodności prawa z życiem. Ale twierdzimy, że trzeba do tej zgodności dopiero doprowadzić. Czyli uważamy, że obecnie zachodzi niezgodność i że to jest niedobre.

Taka jest legitymacja naszej dyskusji. Kto nie dostrzega niezgodności pomiędzy podstawą społeczną Konstytucji z roku 1935, a współczesnym układem polskich sił zbiorowych, ten słusznie uczyni, odrzucając wszelką dyskusję konstytucyjną. Kto sądzi, że stosunki w oswobodzonej Polsce będą takie same, jak te, wśród których mogła powstać Konstytucja z roku 1935; że więc znów będziemy mieli grupę rządzącą odgórnie, znów będzie działał taki czy inny Ozon, znów generalny inspektor armii będzie drugą osobą w Państwie; kto tak sądzi, niech staje niewzruszenie w obronie każdej litery Konstytucji z roku 1935.

Ale i odwrotnie: kto stoi na stanowisku, że nie należy tykać integralności Konstytucji z roku 1935 (czyli, że należy jej wykonywanie odtwarzać z fotograficzną wiernością), ten wyraża tym samym zapatrywanie, że we współczesnych stosunkach polskich jest miejsce na antydemokratyzm, który twórcy naszej drugiej Konstytucji wyznawali jawnie i z dumą i z którego otwarcie czynili zaporę przeciw „zapożyczonym” poglądom ludowładczym.

Każdemu wolno — pospieszam dodać, choć to właściwie zbędne — każdemu wolno wyznawać taki pogląd i obiecywać sobie zbawienie Polski po jego urzeczywistnieniu. Ale każdego też obowiązuje logiczność myślenia. Otóż logika wskazuje, że te dwie rzeczy — trwanie przy literze Konstytucji z roku 1935 i chęć utrzymania przedwojennego systemu politycznego — trzymają się ze sobą, jak wzajemny skutek i przyczyna i nie sposób ich rozłączyć.

OGNIKO DYSKUSJI

Ta dyskusja konstytucyjna, która jest praktycznie ważna w naszych warunkach, ogniskuje się około art. 13-go wymieniającego uprawnienia osobiste Prezydenta (prerogatywy), do których wykonywania niepotrzebna jest kontrasygnata rządowa.

Powiem odrazu, że nie uważam konieczności kontrasygnaty na każdym akcie urzędowym Prezydenta za dogmat demokra-

tyczny. Są mianowicie, zdaniem moim, dwa akty Prezydenta, na których kontrasygnata jest z natury rzeczy pozbawiona wszelkiego znaczenia i które wskutek tego mogą śmiało obyć się bez niej.

Pierwszym jest mianowanie i odwołanie Prezesa Rady Ministrów. Za zwolnieniem tego rodzaju dokumentów od kontrasygnaty wypowiedziałem się jedenaście lat temu w broszurze krytykującej projekt Konstytucji, złożony wówczas do łaski marszałkowskiej, a opracowany przez B.B.W.R. Tłumaczyłem tam, że kontrasygnata jest w tym przypadku ze stanowiska moralności niepożądana, ze stanowiska polityki zbędna, a ze stanowiska logiki nonsensem.

„Upatrzenie człowieka, który utworzy rząd i będzie nadawał wytyczną jego polityce, jest najdonioślejszym, a zarazem najbardziej samodzielnym aktem działalności Prezydenta. Jest to czynność, w której najsilniej zaznacza się jego indywidualność, z której mianowicie najdobitniej okazuje się jego znajomość ludzi i stosunków. Czynnością tą Prezydent pomaga polityce kraju skierować się na pomyślne drogi lub pozwala jej utwierdzić się w chaosie. Jest to zatem akt, który jak najsilniej ciążyć musi na sumieniu i hipotece politycznej Prezydenta i słusznym jest by brak kontrasygnaty uwydatniał, że akt ten dokonany jest na ściśle osobistą odpowiedzialność Prezydenta. Nie może być wcale pożądaną, aby ta odpowiedzialność moralna Głowy Państwa była zaciemniona przez dopisanie się drugiego człowieka. To samo dotyczy odwołania premiera.”

A teraz ze stanowiska politycznego. „Czy przez zwolnienie nominacji i odwołanie premiera od kontrasygnaty nie zaginie kontrola parlamentu nad charakterem politycznym rządu? Nie. Bo póki istnieje odpowiedzialność rządu przed parlamentem, póty ciało ustawodawcze będzie zawsze mogło wyrazić nieufność premierowi i wywołać w ten sposób jego ustąpienie bez względu na to, czy kontrasygnował swą nominację czy ją tylko po prostu przyjął. W sferze odpowiedzialności politycznej nic więc przez tę kontrasygnatę nie przybywa ani przez brak jej nie ubywa. Kontrasygnowanie jest tu czynnością najzupełniej czczą”.

Nic też nie wytwarza się w dziedzinie prawnej. Jeżeli bowiem mianowanie było dokonane z pogwałceniem prawa, będzie można tak czy owak pociągnąć premiera do odpowiedzialności przed Trybunałem Stanu: w razie kontrasygnaty — za dokonanie mianowania; bez kontrasygnaty — za przyjęcie mianowania, co wyjdzie na to samo.

Wreszcie ze stanowiska logiki jesteśmy w krainie nonsensów. Jeśli bowiem nominacja nie jest dokonana w pełni, póki jej nie kontrasygnowano, „to przecież nowy premier, zasiadający do kontrasygnowania własnej nominacji, nie jest jeszcze w tej chwili ważnie mianowanym premierem; a skoro nie jest jeszcze ważnie mianowanym premierem, to kontrasygnata jego jest jedynie podpisem prywatnego obywatela i tyleż warta. Logicznie zatem biorąc, nie mogłoby nigdy dojść do ważnej nominacji premiera”.

Drugim aktem Prezydenta, pod którym kontrasygnata ministerialna kłóciłaby się z logiką, jest mianowanie prezesa Najwyższej Izby Kontroli. Skoro zadaniem N.I.K. jest kontrola finansowej strony gospodarki rządowej i skoro ona to przedstawia Sejmowi wniosek o udzielenie lub nieudzielenie absolutorium dla rządu — jest rzeczą oczywistą, że urząd ten musi pozostawać w zupełnej niezależności od rządu. Stwierdzały to też obie Konstytucje — tak ta z roku 1921, jak ta z roku 1935. Domaganie się

zatem, by rząd przez kontrasygnatę wyrażał zgodę na obsadzanie prezesury N.I.K., oznaczałoby, że pozostawia się kontrolowanemu wybór tego, kto go ma kontrolować.

Nie trzeba zaś sądzić, że rezygnowanie z kontrasygnaty przy mianowaniu prezesa N.I.K. stwarza mu jakąś osobliwie nietykalaną pozycję. Obie przecież Konstytucje stanowiły, że jest on odpowiedzialny przed Sejmem. Czyni to w pełni zadość postulatowi demokratyzmu, stwarzając wystarczającą kontrolę nad naczelnym kontrolerem.

Jak widać, oba akty, które — zdaniem moim — powinny być wyjątkiem od reguły kontrasygnatowej, mają to wspólne, że nie stwarzają położenia, w którym wola przedstawicielstwa ludowego staje się bezsilna. W obu przypadkach przedstawicielstwo to może wkroczyć i uzyskać zniesienie aktu nieskrępowanej skądinąd woli Prezydenta.

Ale też są to j e d y n e dwa akty urzędowe Prezydenta, przy których społeczeństwo posiada tego rodzaju zabezpieczenie, następcze wprawdzie, ale dostateczne. Pozostawienie natomiast Głowie Państwa pełnej swobody przy dokonywaniu jakichkolwiek innych aktów jest — rzecz jasna — tym bardziej sprzeczne z zasadą stanowienia narodu o swych sprawach, im zwierzchnik Państwa jest osobiście mniej odpowiedzialny.

Owóż w sprawie nieodpowiedzialności prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Konstytucja z roku 1935 poszła tak daleko, że dalej w ogóle pójść nie można. Tak daleko, że pozostawiła w dużej odległości za sobą konstytucje wszystkich krajów pretendujących do ustroju wolnościowego. Przekona nas o tym krótki przegląd tych konstytucyj.

ODPOWIEDZIALNOŚĆ GŁÓW PAŃSTWA

a) W Polsce

Konstytucja z roku 1921 zwalniając Prezydenta R.P. od odpowiedzialności parlamentarnej i cywilnej, nałożyła nań jednak odpowiedzialność przed Trybunałem Stanu za zdradę kraju, pogwałcenie Konstytucji (jakże szerokie pojęcie!) i przestępstwa karne. Postawienie w stan oskarżenia przed Trybunałem Stanu miało powodować zawieszenie Prezydenta w urzędowaniu. Odpowiedzialność była zatem wyraźna, bodaj nawet nieproporcjonalnie wielka w stosunku do wątych uprawnień, jakie Konstytucja nadawała Głowie Państwa.

Konstytucja z roku 1935 odrobiła to gruntownie. Pomnożyła wybitnie uprawnienia Prezydenta, a równocześnie jego odpowiedzialność doprowadziła do zera. Jest w rozrzedzaniu atmosfery odpowiedzialności koło Prezydenta konsekwentna do tego stopnia, że za czyny n i e z w i ą z a n e nawet ze sprawowaniem urzędu nie pozwala pociągać go do odpowiedzialności w okresie urzędowania. Byłaby więc w Polsce pod rządami Konstytucji z roku 1935 możliwość, że Prezydent Rzeczypospolitej na początku swego urzędowania popełni przestępstwo popospolite i nic mu za to przez 7 lat nie będzie. Nie tylko nic mu nie będzie, ale przez 7 lat będzie z pełną swobodą wedle osobistego uznania mianował i odwoływał premierów, naczelnych wodzów, prezesów Izby Kontroli, ba — pierwszych prezesów Sądu Najwyższego.

Co prawda, Konstytucja obarcza Prezydenta Rzeczypospolitej patetyczną odpowiedzialnością moralną. Powiada, że „na nim spoczywa odpowiedzialność wobec Boga i historii za losy Państwa”. Słowo „spoczywa” jest jednak w tym zdaniu dobrane bardzo trafnie. Ze stanowiska prawa i polityki jest to wieczne odpoczywanie.

b) We Francji

Prezydent jest odpowiedzialny za zdradę główną i za to przestępstwo może być na żądanie Izby Deputowanych postawiony przed sąd senatu. Oczywiście, mowa o Konstytucji sprzed upadku Francji.

c) W republikach powersalskich

NIEMCY. Konstytucja wejmarska nadawała Reichstagowi prawo stawiania prezydenta w stan oskarżenia za pogwałcenie konstytucji lub jakiegokolwiek ustawy państwowej.

AUSTRIA. Wedle konstytucji z 1.V.34 — stanowiącej zdecydowany odwrót od demokratyzmu pierwszej konstytucji z roku 1920 — Zgromadzenie Federalne (t.j. zebranie czterech ciał doradczych, zrekrutowanych już to drogą nominacji już też drogą przedstawicielstwa korporacyjnego) może na wniosek Rady Związkowej (t.j. ciała ustawodawczego, wyfiltrowanego bardzo przemyślnie) uchwalić postępowanie przeciw prezydentowi.

Tak więc ta konstytucja nawet, owiana wyraźnie wiatrem od ustrojów autorytetowych i wprowadzona na rok niespełna przed naszą z roku 1935, nie wyklucza możliwości odpowiedzialności Głowy Państwa. Zbędne dodawać, że poprzednia konstytucja austriacka — która zaczynała się od słów „Austria jest republiką demokratyczną”, skreślonych w roku 1934 — obarczała prezydenta odpowiedzialnością za pogwałcenie konstytucji federacyjnej.

CZECOSŁOWACJA. Konstytucja z roku 1920 urządziła odpowiedzialność prezydenta zupełnie na wzór francuskiej.

FINLANDIA i TURCJA. Prezydent odpowiedzialny za zdradę główną.

ESTONIA. Prezydent odpowiedzialny za zdradę główną i zbrodnie przeciw najwyższej władzy Państwa.

ŁOTWA. Konstytucja z roku 1922, zniesiona zamachem stanu w roku 1934, nadawała sejmowi nie tylko prawo odwołania prezydenta, ale także prawo oskarżenia go przed sądem karnym.

LITWA. Prezydent odpowiedzialny na równi z ministrami za przestępstwa popełnione w wykonywaniu funkcji urzędowych.

IRLANDIA. Choć republika irlandzka powstała w dwadzieścia lat blisko po Wersalu, powiedzmy dla skompletowania obrazu europejskiego, że jej prezydent może być pociągnięty do odpowiedzialności za „stwierdzone złe zachowanie się”, czyli w bardzo znacznej mierze.

d) W Stanach Zjednoczonych A. P.

Art. II konstytucji federalnej stanowi, że prezydent i wiceprezydent mogą być usunięci z urzędu, jeśli im dowiedziono, że dopuścili się zdrady, sprzedajności lub innych zbrodni i występków. Jest to, rzecz prosta, niezależne od skutków karnych skazania. Nie sądźmy zaś, że to postanowienie konstytucji Stanów Zjednoczonych jest martwą literą. W roku 1868 prezydent Johnson, oskarżony przez Kongres (Izbę Reprezentantów) o „zbrodnie i występki”, stawał przed Senatem jako izbą sądową i jedynie brak jednego głosu do przepisanej większości ocalił go od wyroku skazującego.

Dodajmy, że wszystkie republiki południowo-amerykańskie znają odpowiedzialność Głównego Państwa.

Przegląd powyższy nie pozostawia wątpliwości. W którąkolwiek stronę się obrócić — byle nie w tę, od której odwraca się duch wolności życia ludzkiego — wszędzie obarczono Głównego Państwa

stwa republikańskiego jakąś doczesną odpowiedzialnością. Jedynie Konstytucja z roku 1935 umieściła zwierzchnika Państwa Polskiego ponad wszelką odpowiedzialnością, a więc i poza demokracyzmem.

POWRÓT DO DEMOKRACJI

Jak sprawić, by urząd Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej znalazł się, bez naruszania Konstytucji, z powrotem na płaszczyźnie demokratycznej?

Nie potrzeba wiele suszyć sobie nad tym głowy, bo jest do tego jedna tylko jedyna droga — ta, którą wskazał Prezydent Raczkiewicz w przemówieniu radiowym do Kraju w listopadzie 1939 roku: „W ramach Konstytucji kwietniowej postanowiłem te jej przepisy, które uprawniają mnie do samodzielnego działania, wykonywać w ścisłym porozumieniu z Prezesem Rady Ministrów”. Chodzi jedynie o wyraźniejsze określenie tego ścisłego porozumienia.

Oczywiście, całe nasze rozumowanie jest hipotetyczne, to znaczy uzależnione od przesłanki, że chcemy powrotu do demokracji. Kto go nie chce, temu wolno obruszać się na postulat samoograniczenia się Prezydenta. Ale oficjalnie stoimy w polityce polskiej na stanowisku przywrócenia demokracji jej praw. Oświadczał to rząd szereg razy i jak najbardziej uroczyście. Prezydent Raczkiewicz w pięknym przemówieniu w czwartą rocznicę najazdu niemieckiego, powiedział, że „nonsensem byłoby przypuszczać, iż Naród Polski mógłby się wypowiedzieć za innym, niż demokratyczny, ustrojem”. W tymże dniu naczelny wódz gen. Sosnkowski, w artykule umieszczonym w *Daily Telegraph*, pisał o „głębokim przywiązaniu (Polski) do zasad demokratycznych, na których musi się oprzeć gmach przyszłej Europy po klęsce systemów dyktatorskich”.

Sądzę, że tego rodzaju wypowiedzi obowiązują do wyciągania logicznych następstw. Natura demokracji nie znosi próżni po stronie odpowiedzialności wszelkiej rzeczywistej władzy. Konstytucja z roku 1935 taką próżnię stwarza i jej zapelnienie — „w ramach Konstytucji kwietniowej” — możliwe jest jedynie przez dobrowolne niewykorzystywanie przez Prezydenta uprawnień osobistych przyznanych mu w art. 13-ym.

Jeśliby Prezydent domagał się od rządu kontrasygnowania tych nawet aktów, które stanowią jego prerogatywę, a więc domagał się, by rząd brał za te akty odpowiedzialność — usunęłoby się to, co jest *anathema* dla demokracji: nieodpowiedzialność władzy. Co prawda w tej chwili niepodobna wprowadzić w grę normalnej odpowiedzialności rządu polskiego przed sejmem. Ale rząd ten może być kiedyś w przyszłości odpowiedzialny, podczas gdy Prezydent nie będzie nigdy.

Przeciw temu samoograniczeniu się Prezydenta podniesiono jednak dwa zarzuty, których wartość pragnę rozpatrzyć.

Naprzód, że postępując w ten sposób, Prezydent dawałby przykład nieposzanowania Konstytucji. Następnie że zobowiązanie się Prezydenta do tego rodzaju umniejszania swej władzy byłoby przywracaniem smutnej pamięci instytucji znanej pod nazwą *pacta conventa*.

NIEPOSZANOWANIE KONSTYTUCJI?

Twierdzenie takie opiera się na pomieszaniu dwóch pojęć: 1) uprawnienia udzielonego przez władzę i 2) obowiązku korzy-

stania z tego uprawnienia. A to przecież dwie zupełnie różne sprawy. Niewykorzystywanie uprawnienia może być dowodem słabości, to prawda. Ale może też być dowodem rozumu. Bądź co bądź zaś nigdy nie jest przejawem nieposzanowania prawa. Nieposzanowanie można okazać tam tylko, gdzie prawo nakłada obowiązek.

Niezliczone były krytyki wytykające Prezydentom Rzeczypospolitej Francuskiej, że nie korzystali z uprawnienia rozwiązania Izby Deputowanych, które Konstytucja z r. 1875 dawała im wśród pewnych warunków. Ale nikomu nie przychodziło na myśl zarzucać im z tego powodu nieposzanowania Konstytucji.

Nasza Konstytucja z r. 1921 zobowiązywała Prezydenta do mianowania w czasie wojny naczelnego wodza sił zbrojnych. Konstytucja z r. 1935 zmieniła ten obowiązek w uprawnienie: Prezydent może mianować naczelnego wodza, ale może sam dysponować siłami zbrojnymi jako ich konstytucyjny zwierzchnik. Za pierwszej Konstytucji Prezydent zatrzymując przy sobie naczelne dowództwo w czasie wojny, łamałby istotnie Konstytucję. Za drugiej nikt nie mógłby dopatrzeć się w tym nieposzanowania ustawy zasadniczej. Bo od roku 1935 Prezydent może zamianować Naczelnego Wodza ale nie musi.

Konstytucja i inne ustawy dają rządowi cały szereg uprawnień, z których korzystanie jest kwestią oportunistyczną. Rozum polityczny często polega na tym właśnie, aby z tych uprawnień nie skorzystać. Będzie można rządowi nie wyzyskującemu uprawnień zarzucać, w razie czego, że błędnie ocenił sytuację, ale nie, że nie uszanował ustawy.

Prawo angielskie pozwala mężowi karcić cielesnie żonę, byle w miarę. Jeśli jednak mąż nie korzysta z tego uprawnienia — czy to znaczy, że nie szanuje prawa?

Gdy Mikołaj II ustanowił instytucję Dumy, ograniczył swoje uprawnienia samodzielną. Czy kto nazwie to posunięcie cara nieposzanowaniem konstytucji absolutystycznej Rosji?

A cała historia konstytucyjna Anglii? Czymże jest innym ta historia, jak nie stopniowym — bardziej lub mniej dobrowolnym — rezygnowaniem przez koronę z uprawnień przekazanych jej przez poprzednie wieki? Rozwój polityczny Anglii polegał na powolnym ale tak konsekwentnym wydrążaniu jabłka uprawnień królewskich, aż pozostała monarsze w ręku sama tylko łupina. Po dziś dzień król zachował wszystkie uprawnienia, które posiadali jego poprzednicy przed pięciu, sześciu i więcej wiekami. I wedle litery prawa mógłby je wykonywać osobiście! Owóż czy fakt, że w Anglii król korzysta ze swych uprawnień nie wedle własnego uznania ale ściśle według wskazówek rządu, jest dowodem nieposzanowania konstytucji?

I jeszcze jedno. Konstytucja z roku 1935 mówi, jak wiadomo, o odpowiedzialności Prezydenta Rzeczypospolitej wobec Boga i historii. Jest to sprawa sumienia — sprawa najbardziej własna Prezydenta. Byłoby impertynencją wtrącanie mu się do niej. Sądzę jednak, że pisarz polityczny nie przekroczy granic dyskrecji, jeśli wyrazi opinię, że Prezydentowi — który by uznawał, że rozwój wydarzeń światowych pcha Polskę ku demokratyzmowi i że w demokratycznym, a nie innym, ustroju jest przyszłość Polski — zwycięska historia nie będzie mogła czynić wyrzutów o to, że pogał jej rozwojowi.

Ten zarzut jest czystą demagogią. Że termin „pacta conventa” nabrał w Polsce, wśród szczególnych warunków, brzydkiego dźwięku, nie znaczy, iżby sama ta instytucja była bezwzględny złem. Wręcz przeciwnie: zaleca się (ze stanowiska demokratycznego właśnie!) wielu zaletami. Pacta conventa — świecka, publiczna umowa pomiędzy panującym a obywatelami — były przeciw zaprzeczeniem teorii o Boskim pochodzeniu władzy a tym samym zaprzeczeniem pretensji absolutystycznych. Stwierdzały, że władza monarchy nie ma w sobie nic mistycznego a przeto nieograniczonego, ale że jest nadana wyraźnie przez obywateli i winna być wykonana zgodnie z ich poglądami. W ten sposób pacta conventa wprowadzały ograniczanie rządzących, i to ograniczanie elementem demokratycznym, bo wola rządzonych.

Oczywiście był to demokratyzm swoisty, którego nie należy mierzyć dzisiejszymi pojęciami. Dziś łączymy z demokracją pojęcie wielkich mas ludowych. Te jednak w owych czasach nigdzie na świecie nie wchodziły w grę, charakter więc ustroju państwowego i instytucyj politycznych danego okresu należy oceniać wedle roli i uprawnień obywatelskich nie całej masy ludowej, ale tych warstw tylko, które doszły do głosu politycznego i występowały czynnie w życiu publicznym. Jeśli przeto w Polsce warstwy te nie pozwalały królowi następować sobie na karki, jeśli mu nie pozwalały powoływać się na Boski, od woli poddanych niezależny, charakter władzy, ale mu oddawały władzę pod warunkami krępującymi jego absolutyzm — to byli to przebysk demokracji. Demokracji, na jaką stać było ową epokę.

Inna sprawa, że szlachta polska poszła za daleko w ograniczaniu władzy rządowej. Ze z umowy o zakres władzy królewskiej, którą w istocie swej były pacta conventa, uczyniła narzędzie rozprężenia administracji państwowej. Do tego jednak doprowadziło dopiero nadużycanie instytucji pacta conventa a nie okoliczność, że w ogóle taka instytucja istniała w polskim życiu politycznym. Równie dobrze możnaby potępiać wszelkie inne urzędnictwa wolnościowe dlatego, że gdzieś kiedyś przeciągnięto strunę i z gwarancji swobody uczyniono okazję do swawoli.

Spójrzmy znów na historię Anglii, bo odsłania nam ona, czym w istocie swej są pacta conventa. Niewątpliwie tym, co potępiali gentleman agreement Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej z rządem w sprawie wykonywania art. 13 Konstytucji jako nowe a wstrętne pacta conventa, zdarzało się wychwalać angielską Magna Charta z r. 1215 jako podwalinę wolności obywatelskiej na tej szczęśliwej wyspie. Niechże więc uświadomią sobie, że Magna Charta to najtypowsze pacta conventa... Baroni angielscy, pobiwszy wojska króla Jana Bez Ziemi, zawarli z nim na polu bitwy układ określający, co królowi wolno robić a od czego mu wara.

Ba, jeśli krytycy zajrzą do pomnikowego dzieła *The Law of England* (wydanego pod redakcją dwóch Lordów Kancelrzy — Halsbury'ego i Hailshama), to w tomie VI znajdą na stronie 316 przypisek stwierdzający, że nie tylko Magna Charta, ale i inne podstawowe akty konstytucji angielskiej, to też jedynie — pacta conventa... Przypisek ten brzmi: „Magna Charta, Petycja Praw z roku 1627, Bill of Rights z roku 1688 i Act of Settlement z roku 1700 bywają zwykle oznaczane ja-

ko quasi-ustawy, ponieważ są z natury swej uroczystymi układami (solemn compacts) pomiędzy władcą a ludem”.

Sądzę, że jeśli pacta conventa nie przynoszą wstydu historii politycznej Anglii, to nie trzeba tym argumentem wojować przeciw wprowadzaniu wykonywania Konstytucji z roku 1935 na płaszczyznę ducha współczesności.

RZĄD NA EMIGRACJI A OPINIA POLSKA

Istotnie poważny zarzut przeciw zachwalanemu tu sposobowi zdemokratyzowania art. 13-go Konstytucji jest inny.

Demokracyzm wymaga, by zwierzchnik państwowy stosował się do wskazań rządu podtrzymywanego przez większość opinii publicznej. W naszych warunkach nie ma możliwości bezwarunkowego upewnienia się, że większość obywateli polskich popiera rząd na emigracji. Mamy wszelkie dane do przypuszczenia, że tak jest. Ale stuprocentową pewnością mogłoby dać jedynie powszechne głosowanie. To, powiadają krytycy, odbiera wagę postulatowi, by Prezydent nie obywatel się bez kontrasygnaty.

Zarzut ten, biorąc formalnie, jest nie do odparcia. Nie mamy i, póki nie wrócimy do kraju, nie będziemy mieli całkowitego dowodu, że rząd ma za sobą większość opinii publicznej. To też jeśli ktoś uważa za dopuszczalne wysuwanie tego rodzaju wątpliwości, ma — na gruncie formalnym, powtarzam — grę łatwą.

Alé zważmy, jaki jest dylemat:

albo przyjmujemy, że istniejące na emigracji komitety zagraniczne stronnictw reprezentują politycznie uświadomioną i organizacyjnie okrzepłą opinię polską, jak to kategorycznie stwierdza krajowa deklaracja czterech stronnictw;

albo — albo co? Albo zawiśniemy w próżni, pozbawimy swoje władze państwowe prawa przemawiania w czyimkolwiek innym imieniu, jak tylko swoim własnym, uzależnimy wobec tego tak Prezydenta Rzeczypospolitej jak i rząd całkowicie od uznania obcych, a wewnątrz otworzymy pole do wszelkiego rodzaju eksperymentów z „mężami opatrnościowymi”.

Co stanie się wówczas z naszymi zapowiedziami demokracji? Kto uwierzy, że Polska skończyła z rządami autorytetów, jeśli obecnym władzom swoim odbierzemy podmurowanie stronnictwowe i postawimy je na gołej ziemi kombinacyj osobowych? Odmówienie rządowi na emigracji prawa mówienia za większość opinii polskiej — i to mówienia w charakterze uprawnionych reprezentantów tej większości, wiernie odtwarzających jej wolę, a nie tylko w charakterze „elity” wmawiającej w siebie i w innych, że wie lepiej, niż on sam, czego narodowi potrzeba — to odmówienie automatycznie wytrąciłoby Polskę z kręgu społeczeństw, które demokracja zachodnia uważa za dorosłe politycznie. Nie potrzeba tłumaczyć, jakie byłyby tego następstwa.

Trzeba jasno zdać sobie sprawę z tego, że nie ma dwóch dróg. Kwestionowanie komitetom zagranicznym naszych stronnictw prawa desygnowania członków rządu i podawanie w wątpliwość, czy rządowi tak utworzonemu mogą służyć prawa, z których korzysta rząd wychodzący normalnie z ciała parlamentarnego — mogłoby mieć jeden tylko skutek: Polska spadłaby raptownie z wyżyn stanowiska międzynarodowego, na których znajduje się obecnie.

Darmo byłoby przeczyć temu, wskazując na bohaterstwo Polscy, na jej straszliwe ofiary i niezłomny opór przeciw gwałcicie-

lom, i twierdząc, że to dostateczne tytuły do zapewnienia Polsce miejsca w pierwszym rządzie narodów, które stanowiąc będą ład w świecie powojennym. Uznanie mąk i męstwa Polska zdobyła sobie i nikt go jej nie odbierze, póki sumienie odzywać się będzie w ludziach. Ale na nic się nie zda, że ludy będą myśleć o Polsce z liryzmem i może nawet dzieciom opowiadać, jak naród polski pierwszy zaczął ratować honor Europy i jak skrwawił się w tej obronie; na nic się to nie zda, jeśliby równocześnie Polska miała nieopatrnie sama wyrabiać sobie opinię państwa, którego system polityczny leży na uboczu wielkiego szlaku zachodnio-demokratycznej myśli politycznej.

Demokracje zachodnie podniosły na tarczy pewien ideał życia wolnościowego i do tego ideału muszą podciągnąć się narody, które chcą mieć ważki głos w nadchodzącym urządzaniu świata. I nie trzeba chyba tłumaczyć szeroko, że to podstawowy nasz interes państwowy chce, aby demokracje zachodnie nie odstępowały od żądania dostosowania się do tego ideału... Złą zaiste przysługę wyświadczyłyby Polsce, kto by jej nie ostrzegał przed stwarzaniem choćby najłżejszych pozorów, że mnoży w świecie pierwiastki rządów nieodpowiedzialnych autorytetów.

A do stwarzania więcej, niż pozorów tylko, prowadziłyby oderwanie rządu na emigracji od jego obecnej podstawy politycznej i umniejszanie powagi emigracyjnych organizacji stronnictw. Choćby ta podstawa była jedynie hipotezą — nie tykajmy tej hipotezy, bo to jest tratwa, która nas trzyma na fali, tak w wewnętrznej polityce, jak w zagranicznej.

KONKLUZJE

Streśmmy tezy, które pozwoliłem sobie rozwinąć przed czytelnikiem.

1. Ukształtowanie odpowiedzialności władzy jest probierzem, czy ma się do czynienia z demokracją, czy z ustrojem autorytetywnym. Demokrata nie dopuszcza możliwości władzy nie podszytej odpowiedzialnością, przy czym pomiędzy rozległością władzy a stopniem odpowiedzialności musi zachodzić stosunek wprost proporcjonalny. Dyktatorowiec albo otwarcie wyzwała władzę kierowniczą z kontroli, albo dochodzi do tego samego wyniku poprzez kunsztownie założone urzędnictwa, które zagrządzają drogę do urzędywania się odpowiedzialności władzy.

Mamy tu swego rodzaju próbę chemiczną — na bakterie dyktatury. Jeśli analiza czyichś poglądów politycznych wykazuje istnienie w jakiegokolwiek mierze składników zgody na nieodpowiedzialność władzy, mamy do czynienia z osobnikiem dotkniętym antydemokratyzmem. Oczywiście, nasilenie choroby może być większe lub mniejsze. Osobiście nie lubię jej w najłżejszej nawet postaci.

2. Zgodnie z tym demokrata musi domagać się interpretacji ustaw w kierunku ograniczania władzy nieodpowiedzialnej i poddawania jej kontroli wykonywanej przez reprezentację woli społeczeństwa. Ktokolwiek (choćby w najlepszej nawet intencji, o której brak nie chcę pomawiać w czambuł wszystkich zwolenników dyktatury) pragnie ocalać postanowienia, które stwarzają możliwość swobodnej władzy osobistej; ktokolwiek gani dobrowolne ograniczanie uprawnień do nieodpowiedzialnego postępowania, jakie daje Konstytucja z roku 1935; ten działa na korzyść

antydemokratyzmu, a więc sprzecznie z uroczystymi zapowiedziami co do kierunku naszej polityki państwowej.

3. W warunkach, które los zgotował nam w tej wojnie, reprezentacja woli społeczeństwa polskiego nie może powstawać drogą najwłaściwszą. Trzeba zatem uznawać ją w tej postaci, jaka istnieje, to jest w tej, która jest jedynie możliwa obecnie, która daje rządowi naszemu potrzebną powagę na zewnątrz i która chroni nas przed popadnięciem w zupełną arbitralność kierownictwa Rzeczypospolitej.

4. Ani poddawanie kontrasygnacie aktów prezydenta z art. 13-go Konstytucji (z wyłączeniem dwóch wyjątków, o których mówiłem), ani jakiegokolwiek inne dobrowolne ograniczanie odpowiedzialności władzy zwierzchniej nie jest w żadnej zgoła mierze okazywaniem nieposzanowania prawa. Jest, przeciwnie, sprowadzaniem prawa na teren, z którego nigdy nie powinno być zejść: na teren zgody z wolą społeczeństwa.

To stwierdzenie, jak najbardziej kategoryczne, że demokratyzując wykonywanie Konstytucji z roku 1935, nie podważa się jej ważności, jest dla prawnika zrozumiałe samo przez się. Jeśli je tu podkreślam ze szczególnym naciskiem, to dlatego, żeby uspokoić laików, a także dlatego, żeby usunąć pewne zamazywanie istoty zagadnień, którego bywamy teraz świadkami od czasu do czasu.

Niektórzy mianowicie obrońcy Konstytucji z roku 1935, stawiając ją za to, że umożliwiła ciągłość Rządu, posuwają troskę o niezaprzaszczenie tej jej niewątpliwej zasługi do tego stopnia, że ostrzegają przed podnoszeniem na nią najmniejszego palca. Można by sądzić z ich przestróg, że jeśli choćby w najdrobniejszej mierze odstąpi się od przedwojennego sposobu praktykowania tej Konstytucji, to runie cała i pogrzebie pod sobą nasz tak krwawo okupiony dorobek polityczny.

Ta trwoga jest niepotrzebna. Wciąż się powtarza, że nikt w naszym położeniu nie myśli o odpychaniu Konstytucji z roku 1935. Prawnik może też zapewnić, że przez zdemokratyzowanie wykonywania tej Konstytucji włos z głowy jej ważności nie spadnie. Jeśli jednak mimo te powtarzania i te zapewnienia wielbiciele Konstytucji z roku 1935 będą tak wciąż i z takim patosem wystawiać piersi w obronie jej totalności — będzie mogło powstać podejrzenie, że chodzi im nie tyle o ochronę podstaw polskich władz państwowych na emigracji, ile o zachowanie w pełnym zdrowiu tych postanowień, które uczyniły z Konstytucji z roku 1935 instrument antydemokratyczny.

Owóż trzeba te dwie rzeczy rozdzielać jak najstaranniej. Trzeba, byśmy w dyskusjach między sobą stawiali wyraźnie osobno chęć konserwowania podstaw prawnych naszej obecnej działalności państwowej, a osobno chęć konserwowania tego porządku politycznego, z którego wyrosła Konstytucja z roku 1935 i którego upadek jest jedną z najmniej opłakiwanych ruin polskich.

Z ZAGADNIENŃ GOSPODARCZYCH

Najlepszą chyba metodą informowania w drukowanym słowie świata anglosaskiego o polskich planach, tendencjach i zamierzeniach jest omawianie ich w zespole ogólniejszych zagadnień, obejmujących cały kontynent europejski. Jeżeli zaś opracowanie takie wydane jest przez powszechnie znaną i wzbudzającą zaufanie instytucję — to osiągnięty efekt jest jeszcze skuteczniejszy. Kto wie nawet, czy zasięg i powodzenie książki obcego autora nie zależy nade wszystko od patronującego mu nakładcy.

Obiema tymi cechami charakteryzuje się praca Dr. Henryka Strasburgera, opublikowana w serii wydawnictw Amerykańskiej Akademii Nauk Politycznych i Społecznych w Filadelfii.*) Praca obejmuje cykl 5 wykładów, które autor wygłosił podczas swego pobytu na kontynencie Ameryki Północnej zimą roku 1942/43, w ośrodkach naukowych St. Zjednoczonych i Kanady. Aczkolwiek w tym czasie Dr. Strasburger zajmował stanowisko Ministra Skarbu w Gabinetcie Generała Sikorskiego, to jednak zastrzega się na początku, że jego myśli i poglądy mają charakter osobistych tylko wyznań. Nie pretendując do wyrażania opinii rządowych, autor ma jednak dostateczne kwalifikacje osobiste i polityczne, aby sformułowane przez niego myśli mogły być uznane za reprezentujące polski punkt widzenia, podyktowany polską racją stanu.

*) The American Academy of Political and Social Science. „The Core of a Continent” by Henryk Strasburger, LL.D. Philadelphia. 1943, str. 49.

Myślą przewodnią autora jest przeprowadzenie tezy, iż kraje leżące na międzymorzu Bałtyk-Adriatyk-Morze Czarne są najżywotniejszym ośrodkiem — „the core” — w którym zbiegają się nerwy i tętnice kontynentu europejskiego. Trafne przede wszystkim i przewidujące rozwiązania polityczne i gospodarcze, dotyczące tych krajów, decydują o prosperacji albo dekadencji całej Europy. Doświadczenia obydwu wojen światowych XX stulecia wskazują, że sytuacja nie odpowiadająca istotnym potrzebom i interesom narodów, zamieszkujących ten pas Europy, nieuchronnie prowadzi do wojny w skali znacznie szerszej niż Europa Środkowa, bo ogarniającej kontynent europejski a dalej cały glob ziemski.

Dr. H. Strasburger przeprowadza tę myśl w sposób konsekwentny, motywując ją na podłożu historycznym niemieckich usiłowań „Drang nach Osten” i „Lebensraum” w pierwszym swoim wykładzie, zatytułowanym „Przestrzeń życiowa Niemiec”. Powołując się na autorów niemieckich XIX i XX wieku, dowodzi że to niemieckie parcie na Wschód jest pierwszym krokiem do zamierzonego podboju całego świata. Ostatecznym celem egocentrycznej filozofii niemieckiej miało być stworzenie nowego porządku świata w formie piramidy; u jej szczytu znajduje się Führer, potem pół miliona głów elity niemieckiej, ciężących na 400 milionach ludzi białej rasy z wyłączeniem Słowian i Żydów; podstawę piramidy dźwiga 1700 milionów niewolników — Słowian i ludzi ras koloro-

wych; wreszcie na samo dno strącono 16 milionów Żydów, którzy są uszeregowani jeszcze poniżej kasty niewolniczej.

Niemieckiemu programowi „Herrenvolku” autor przeciwstawia ideologię Zjednoczonych Narodów: dobrowolnej organizacji krajów, stowarzyszonych celem obrony wspólnych interesów, i osiągnięcia na drodze demokratycznej dobrobytu całych narodów.

Tej tezie, w odniesieniu do Europy Środkowo-Wschodniej, poświęcono drugi rozdział pracy zawierający myśli polityczne o konferencji Bałtycko-Adriatyckiej. Aspekt gospodarczy jest tutaj szczególnie przekonywujący. Autor podaje pomysłowe zestawienia statystyczne, z których wynika, że przez podniesienie stopy życiowej przeszło 100 milionów ludzi, zamieszkujących tę część Europy, stworzy się nową wielką grupę konsumentów. Dotychczas nie byli oni włączeni do międzynarodowej współpracy i wymiany gospodarczej: stanowili zaledwie potencjalnych konsumentów. Celem gospodarczym konfederacji będzie przekształcenie tej energii utajonej w kinetyczną i stworzenie nowego zespołu odbiorców, wprowadzając świeży element do międzynarodowych obrotów gospodarczych.

Rozważania na temat właśnie handlu międzynarodowego stanowią temat ostatniego rozdziału pracy. Polską tezą jest konieczność uprzemysłowienia krajów gospodarczo zaniedbanych. Ta droga prowadzi do podniesienia „standard of living” i większego udziału Europy Środkowo-Wschodniej w handlu międzynarodowym; będzie on prawdopodobnie oparty na dość precyzyjnym planie wymiany towaru za towar. Autor przewiduje zresztą, że powojenny kredyt towarowy będzie miał zapewne trojaki cha-

rakter, zależny od czasu dostaw i stabilizacji warunków. Przede wszystkim obejmie dostawy na natychmiastowy okres powojenny, celem pomocy i zagospodarowania krajów Europy, zniszczonych przez wojnę i okupację. Dostawy takie, typu „reliefowego”, nie są normalnymi transakcjami handlowymi; autor sugeruje, że nie powinny też mieć one charakteru odpłatnego. To stanowisko może budzić pewne wątpliwości. Należałoby raczej podkreślać (jak to zresztą robią kraje zachodnio-europejskie) że bezpośrednie dostawy powojenne trzeba finansować w sposób, podobny do zasad „Lend — Lease”, pod warunkiem wszakże, że kredyty reliefowe będą specjalnymi kredytami długoterminowymi, w przeciwieństwie do stosowanych po poprzedniej wojnie sposobów finansowania dostaw. Wydaje się, że stawianie tezy o odpłatności pomocy byłoby szczególnie mile widziane na terenie amerykańskim. Drugi rodzaj dostaw materiałowych obejmie odbudowę ekonomiczną, przede wszystkim przez dostawę instalacji i urządzeń — dla podniesienia poziomu życia krajów zaniedbanych gospodarczo. Kredyty te — typu inwestycyjnego — muszą być długoterminowe, spłacane w towarach i usługach. Wreszcie trzecia kategoria kredytów objąć musi normalny obrót towarowy między poszczególnymi krajami, oparty na zasadach płatności towarem za towar.

Sprawą pierwszego okresu powojennego, który trwać będzie od roku do paru lat, zajmuje się autor w specjalnym wykładzie pod tytułem „Natychmiastowe zagadnienia powojenne Europy Środkowo-Wschodniej”. Są to dość szczegółowe rozważania, dotyczące spraw zaopatrzenia materiałowego w żywność, artykuły

pierwszej potrzeby, surowce przemysłowe, narzędzia produkcji — potrzebne w tym „emergency” okresie po zakończeniu działań wojennych. Autor reprezentuje pogląd szczególnie ważny dla naszego Kraju, iż powojenne zapotrzebowanie na te wszystkie artykuły nie może być mierzone przed wojennymi danymi o imporcie lub konsumpcji, ale rzeczywistości potrzebami ludności po wojnie, spotęgowanymi właśnie skutkami wojny.

Odrębną całość stanowi rozdział, niewątpliwie najlepszy w całej pracy, a zatytułowany sugestywnie „Karta Bałtycka”. Dr. Strasburger jest wybitnym znawcą spraw bałtyckich, do których nie tylko odnosi się z dużą dozą uczucia, ale też i mówi o nich z kompetencją wynikającą z jego doświadczeń na stanowisku Komisarza Rzeczypospolitej w Gdańsku. Autor bardzo subtelnie i konsekwentnie przeprowadził wywód, że kraje leżące nad Bałtykiem muszą mieć zapewnione wolne wyjście na oceany, jeżeli morze Bałtyckie nie ma mieć po prostu charakteru jeziora wewnętrznego. Z drugiej zaś strony — oceaniczne potęgi zachodniego świata mają na Bałtyku tak istotne dla nich interesy, że i z tego punktu widzenia przebudowa okna bałtyckiego na otwarte drzewi na świat jest imperatywem politycznym i gospodarczym.

Niepodległym mniejszym krajom bałtyckim (Łotwa, Litwa, Estonia, Finlandia) autor wyznacza rolę naturalnego pomostu między Bałtykiem a Rosją, która zresztą ma zapewniony dostęp na oceany przez niezamarzający port w Murmańsku.

Istotną cechą całej pracy Dr. H. Strasburgera jest jasność sformułowań i logiczny łańcuch przesłanek i wniosków we wszystkich przebiegach myślo-

wych. Stąd też praca ta, nie mając bynajmniej charakteru propagandowego, stanowi jednak przykład najszlachetniejszej chyba — bo opartej na metodach dyscypliny naukowej — rzetelnej informacji o naszych potrzebach, planach i zamiarach.

* * *

Inny zupełnie charakter ma książka prof. Ferdynanda Zweiga*), która ukazała się obecnie w drugim wydaniu — po wyczerpaniu pierwszego nakładu, ogłoszonego przed paru miesiącami.

Jest to dzieło naukowe, stanowiące klasyczny wkład do nowego rozdziału ekonomii, poczętego współcześnie, a noszącego tytuł: planowanie gospodarcze.

Książka ta, po raz pierwszy w literaturze ekonomicznej, porządkuje pojęcia w zakresie gospodarki planowej i daje najpełniejsze chyba i najściślejsze jej określenie. Planowaniem mianowicie jest taki system scentralizowanej dyspozycji (kontroli) zasobami gospodarczymi kraju jako całości, który zmierza do określonego celu, niezależnie od środków, jakimi się posługuje przy osiągnięciu tych celów.

Po ustaleniu definicji planowania, autor analizuje poszczególne jego elementy, więc: czynniki kierujące, przedmiot i metody kontroli, funkcjonowanie i wpływ na rozmaite przejawy życia społecznego, rolę samorządów, wreszcie znaczenie planowania dla rozwoju regionów zacofanych gospodarczo. Jako przykład działania w tym kierunku — autor przytacza planowanie Centralnego Okręgu Przemysłowego w Polsce, aczkolwiek eksperyment

*) „The Planning of Free Societies” by Ferdynand Zweig, Professor of Political Economy in the University of Cracow. Secker and Warburg, London 1942, str. 267

ten — jak wiadomo — nie był zakończony: zaczęty w połowie roku 1936, a przerwany wybuchem wojny, trwał niewiele ponad 3 lata i był zaledwie w pierwszym stadium realizacji. Niemniej — wyciągnąć można z tego doświadczenia wnioski, że Polska była na drodze do pełnej gospodarki planowanej. Całkowita kontrola zagranicznych obrotów towarowych i finansowych, coraz głębsza kontrola cen i płac, polityka interwencyjna w produkcji, finansach i wymianie — oto elementy polskiej ekonomii w przeddzień wybuchu wojny.

Książka prof. Zweiga dla ludzi, interesujących się teoretycznie i praktycznie sprawami gospodarczymi, jest niezwykle wartościowa, a często niezastąpiona. Nie wyobrażam sobie, zwłaszcza w warunkach polskich tak dziwnie sprzyjających dyletantyzmowi, aby ktokolwiek mógł się poważnie zajmować planowaniem w jakich bądź przejawach życia, nie przestudiowawszy uprzednio pracy prof. Zweiga. Domorośli planiści dowiedzą się z niej, że gospodarka planowa nie jest rozwiązaniem łatwym, ani panaceum na wszelkie niedomagania. Przeciwnie — stanowi źródło wielu trudności nie tylko w ekonomii, ale również w dziedzinie politycznej i kulturalnej. Stwarza okazje do popełniania omyłek i błędów, wzysku i nadużyć, wynikające z braku wiedzy lub z braku charakteru. Prawidłowe funkcjonowanie gospodarki planowej zależy bowiem od wielu czynników, wśród których polityczne i moralne odgrywają wcale nie najmniejszą rolę.

I tutaj podkreślić wypadnie wartość i znaczenie książki nie tylko dla ekonomistów. Praca prof. Zweiga ma podkład wysoce filozoficzny i głęboko humanistyczny. Czymże bowiem „Planowanie w wolnych społec-

zeństwach” — jak głosi tytuł książki — różni się od planowania w ustrojach totalnych? Można przecież znaleźć wiele analogii między instytucjami planowania w Niemczech, we Włoszech lub w Sowietach a podobnymi urządzeniami New Deal'u albo anglosaskiego planowania wojennego. Ale duch jest inny, będąc najistotniejszy w samej idei planowania. Gospodarka planowa wymaga bowiem neutralizacji wielu płynących z niej szkodliwych wpływów i ograniczeń: przez wzmocnienie demokratycznych wolności, tolerancji i moralnej suwerenności każdego człowieka. Wszecmocna maszyna centralnej dyspozycji i kontroli musi we współczesnej demokracji równoważyć się większym poszanowaniem praw jednostki i wysoką moralnością społeczną; w przeciwnym razie — nieustannie grozić będzie zmiążdżeniem całej naszej kultury i demokracji.

Gdzież więc leży właściwa droga, na której szukać należy rozwiązań ekonomicznych? Każda struktura społeczna, oparta na jednym tylko filarze (np. tylko na wolności) narażona jest na niebezpieczeństwa i chwiejną równowagę. Umysł ludzki dąży wprawdzie do uproszczonych rozwiązań monistycznych, ale doświadczenie uczy, że najważniejsze jest budowanie życia społeczeństw nie na jednej tylko, choćby totalnej bazie, ale na demokratycznym zespole zasad. Dlatego też — wywodzi dalej autor — nie stoimy przed koniecznością wyboru między całkowicie planowaną ekonomią a liberalizmem gospodarczym, ale mamy przed sobą różne pośrednie formy, gdzie przeważają cechy czasem pierwszej, kiedy indziej drugiej doktryny. W planowaniu mogą być zastosowane różnorakie formy i typy kontroli, własności, organizacji. Samo zaś plano-

wanie należy stosować tylko w takiej skali, jaka jest niezbędna w interesie publicznym. Podobnie jak lekarstwo, w małych dawkach może być ono zbawienne, w wielkich — zabójcze. Ważne jest ściśle i precyzyjne określenie celów, jakie zamierza się osiągnąć w gospodarce planowej: wówczas bowiem najwłaściwiej będzie można opracować metody realizacji i najtrafniej przewidzieć skutki pozagospodarcze zamierzonego działania.

Ale — i tu tkwi istota ideologii autora, którą podzielim najzupełniej — decydujące będą czynniki niematerialne, nieuchwytnie, imponderabilia, „czucie i wiara”, duch jaki panować będzie w planowanej ekonomii. Od niego zależy pełna harmonia planowania z demokracją; on też — obok zdrowego rozsądku — położy kres

zamachom nierozsądnych planistów, którzy będą nas chcieli może wtrącić w tyranie autarkii gospodarczej, upatrując w niej ostateczny cel gospodarki planowej.

Książka prof. Zweiga jest pierwszym dziełem w języku angielskim, ogłoszonym podczas wojny w Wielkiej Brytanii przez polskiego uczonego. Do nauki międzynarodowej stanowi wkład polski o niezaprzeczonej wartości, a wysokiej próbie. Miała doskonałe recenzje w prasie angielskiej — fachowej i ogólnej. Spotkała się z bardzo zycziwym przyjęciem na terenie amerykańskim.

Zyczyćby jej więc tylko należało, aby jak najprędzej ukazała się w tłumaczeniu polskim, odbita w tłoczni Almae Matris autora — odrodzonego Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.

ADAM CIOLKOSZ

ŚLUPY PRZYDROŻNE

Część III BELGIA

NA NAJŻYŹNIEJSZYM GRUNCIE

Przed prawie sześćdziesięciu laty, John Rae pisał w książce „*Contemporary Socialism*”: „Belgia ma rozliczne warunki gruntu najbardziej sprzyjającego socjalizmowi: gęste zaludnienie, rozległe miasta, wysoce zaawansowany system produkcji oraz klasę robotniczą jednocześnie bardzo liczną, bardzo źle wynagradzaną i bardzo dostępną — dzięki swemu uświadomieniu — dla idei socjalistycznych”. W tej charakterystyce nic do naszych czasów nie uległo zmianie, prócz zarobków robotniczych, za to wyliczone wyżej cechy strukturalne Belgii uwypukliły się jeszcze bardziej. W ciągu trzydziestu lat ostatnich, ludność tego kraju wzrosła o 21%, a w tym samym czasie liczba robotników (w zakładach pracy zatrudniających ponad 10 pracowników) wzrosła o 206%; wedle danych oficjalnych robotnicy fizyczni stanowili 63% ogółu płatników podatku dochodowego, a więc ludności zawodowo czynnej.

Na takim to gruncie, „najbardziej sprzyjającym socjalizmowi”, rozwinął się ruch robotniczy, który pod wielu względami stał się wzorem dla rozlicznych krajów kontynentu. Już w roku 1869 Międzynarodówka Robotnicza miała w Belgii osiem federacji, zrzeszających łącznie 60.000 członków. Założona w 1885 r. Belgijska Partia Robotnicza (P.O.B.) skupiła w momencie swego powstania 100.000 członków; przed wojną obecną liczyła ich prawie 600.000, liczba ogromna przy 8.200.000 mieszkańców kraju. Podobnie jak Labour Party brytyjska, P.O.B. zbudowana została na członkostwie zbiorowym, poprzez związki zawodowe (jedynie związki kolejarzy, drukarzy i kilka pomniejszych nie przystąpiły do partii), spółdzielnie spożywców i kasy chorych. Taki charakter partii nigdy jednak nie kępował jej działalności politycznej, odwrotnie, ułatwiał ją; cztero- lub pięciokrotnie Belgia była widownią powszechnych strajków politycznych.

W 1894 roku lud belgijski wywalczył sobie w drodze strajku generalnego powszechne prawo głosowania (które jednak, z nielicznymi wyjątkami, nie objęło dotychczas kobiet) i za tym przykładem robotnicy całej Europy zapowiadali, że będą przemawiali „po belgijsku”. W 1898 roku, w izbie reprezentantów było już 29 posłów socjalistycznych (na ogólną liczbę 166); przed wojną było ich 63 (na 202) oraz 53 senatorów. Belgia pierwsza na kontynencie uświadomiła proletariatowi możliwości stojące przed nim na drodze walki parlamentarnej. W owym to czasie, gdy proletariats belgijski pierwszy w Europie zdobył sobie prawa wyborcze, Fryderyk Engels pisał (1895): „Przeminięły już czasy rewolucyj, dokonywanych w drodze uchwylenia władzy przez małe świadome mniejszości na czele nieświadomych mas”, a Karol Marx wymieniał Belgię — obok Anglii — jako kraj, w którym przejęcie władzy przez klasę robotniczą może być dokonane w pokojowej drodze demokratycznego parlamentaryzmu.

Dorobek organizacyjny i polityczny robotników belgijskich wysunął ich z dawien dawna na czoło europejskiego ruchu socjalistycznego. Założone w r. 1900 stałe Międzynarodowe Biuro Robotnicze (tzw. druga Międzynarodówka) znalazło swą siedzibę w Brukseli, na jego czele stanęli Belgowie Vandervelde, Ansele i Huysmans. Powaga i wpływ teorii i praktyki socjalizmu belgijskiego trwa nadal po dzisiejsze czasy (obecnym przewodniczącym Socjalistycznej Międzynarodówki Robotniczej jest Belgijczyk Camille Huysmans). Oto więc przyczyny, dla których tak dużą wagę przywiązujemy do dokumentów nadeszłych z Belgii podziemnej.

W podziemiu konspiracji socjaliści belgijscy weszli w wojnie obecnej w warunkach ciężkich dla siebie; wpłynęła na to zdrada Henryka de Mana. Ten ambitny teoretyk i pisarz socjalistyczny, b. profesor uniwersytetu w Frankfurcie n/M., objął po zgonie Vandervelde'go stanowisko przewodniczącego partii. W momencie chwilowej klęski militarnej Belgii okazał taką słabość charakteru, że egzekutował partię na ostatnim swym posiedzeniu, w dniu 31 maja 1940, wypędził go z szeregów stronnictwa. De Man nie uznał tej decyzji i w dniu 28 czerwca 1940 r., a więc w kilka dni po upadku Francji, rozwiązał samowolnie partię, uznał zwycięstwo niemieckie za fakt dokonany a demokrację za skończoną i wezwał ruch robotniczy do wzięcia udziału w nowym ładzie hitlerowskiego „pokoju, sprawiedliwości i dobrobytu”. Belgijscy przewodcy socjalistyczni, przebywający w Londynie, odpowiedzieli renegatowi publiczną proklamacją*). Mimo chaosu i panujących podówczas w kraju nastrojów klęskowych, manifest de Mana chybił celu; tylko jeden socjalistyczny członek parlamentu poszedł za jego wezwaniem, tylko kilku trzeciorzędnych przewodców związków zawodowych uległo namowom odszczepieńca. Okupanci oddali w ręce de Mana drukarnię brukselskiego dziennika socjalistycznego „Le Peuple”; na jego maszynach począł de Man drukować swój dziennik „Le Travail”. Lecz pismo nie znajdowało czytelników; rychło (z początkiem 1942 r.) trzeba je było przeobrazić w tygodnik, ale i tygodnik wiadnął, aż wreszcie zniknął. Nie miał odbiorców, mimo iż propaganda niemiecka rozdawała go bezpłatnie na wszystkie strony. Robotnicy szukali prawdy w tajnej prasie socjalistycznej: „Le Peuple”, „Combatte”, „L'Espoir”, „Le Monde du Travail”; nakład tych podziemnych pism socjalistycznych przewyższał grubo nakład pisma zdrajcy. Widząc bezskuteczność jego wysiłków, okupanci przestali interesować się renegatem, a równocześnie zwrócili się przeciw niemu inni poplecznicy hitleryzmu: rexiści wallońscy (Degrelle) i „narodowi socjaliści” flamandzcy (Declercq) zawarli między sobą układ, zapewniający im wzajemny monopol działalności politycznej na dwóch obszarach językowych Belgii, tym samym wykluczając innych renegatów w rodzaju de Mana. Obrócili się przeciw niemu również jego własni współpracownicy ze zglajchszaltowanego związku zawodowego, którzy uznali w pewnym momencie, że ten ambitny kandydat na „wodza” jest zbyt ciężkim już obciążeniem. De Man szukał pocieszenia w odczytach wygłaszanych w Belgii i za granicą (w Paryżu, pod patronatem Déat'a). Z początkiem 1943 r. rozeszły się wieści, że de Man dokonał nowej sztuki akrobatycznej, napisał mianowicie rozprawę, stanowiącą poniekąd polityczny odwrót. Usiłował opublikować ją w Szwajcarii, lecz bez powodzenia. Jego ohydna rola po przejściowej klęsce militarnej Belgii nie zostanie nigdy zapomniana. Wywody na temat pseudo-socjalizmu i „socjalizmu narodowego”, jakie znajdujemy w dokumentach podziemnego ruchu socjalistycznego Belgii, tłumaczą się w wielkiej mierze potrzebą uzbrojenia ruchu tajnego dla odparcia argumentacji „teoretyka” de Mana.

Los jednego zdrajcy małoby nas tutaj interesować, gdyby nie to, że z je-

*) Ogłoszona w „Belgium”, Nowy York, Nr. 1 z dnia 12 marca 1941 r.

go spuścizną belgijski ruch robotniczy musi borykać się do dzisiaj. W styczniu 1941 r. okupanci przystąpili przy pomocy de Mana do tworzenia zgłajchsztaltowanej centrali związków zawodowych, tzw. l'U.T.M.I. (l'Union des Travailleurs Manuels et Intellectuels). Władze okupacyjne wyposażyły ten związek w uprawnienia monopolistyczne; dekret z dnia 22 listopada 1940 zarządził zespolenie wszystkich związków zawodowych w formie totalitarnej; dekret z dnia 4 lipca 1941 r. ustanowił Generalnego Komisarza Pracy, z zadaniem m. in. „czuwania nad utrzymaniem pokoju socjalnego”, czyli zapobiegania strajkom, a zarazem U. T. M. I. otrzymała wyłączne prawo reprezentowania robotników. Funkcjonariusze niezależnych związków zawodowych zostali przez okupantów wyrzuceni ze swych stanowisk, wielu z nich uwięziono, fundusze i akta związkowe zostały skonfiskowane. Rezultaty były atoli skromne; na ogólną liczbę 2.160.000 robotników i 500.000 pracowników umysłowych, do zgłajchsztaltowanego związku przystąpiło — i to najczęściej zbiorowo, przez kasy chorych, bez swej wiedzy i zgody — 225.000 osób wedle danych samej U.T.M.I. (marzec 1942), w rzeczywistości nie więcej jak 100.000. Tymczasem klasowe związki zawodowe miały przed wojną 550.000 członków, związki chrześcijańskie — 350.000 członków. Robotnicy dochowali wierności swym niezależnym organizacjom; np. na 23.000 członków klasowej federacji metalowców w Charleroi, w połowie 1941 r. 21.500 nadal opłacało swą składkę członkowską. Robotnicy trafnie wyczuli odrazu, że głównym zadaniem U.T.M.I. będzie rekrutowanie robotników do Niemiec. Wśród renegatów rychło doszło zresztą do sporów; wysunął się na czoło niejaki Delvo, likwidując de Mana; czasopismo założone przez pro-okupanckich syndykalistów „Le Travailleur” zadało ostateczny cios, pismu de Mana „Le Travail” i to ostatnie zniknęło. Dokumenty podziemnego ruchu poświęcają sporo miejsca demaskowaniu U. T. M. I., a doświadczenia poczynione z tym związkiem wyjaśniają namiętną niechęć robotników belgijskich do jakichkolwiek form przymusu w powojennym życiu społecznym, która to niechęć tak stanowczy wyraz znajduje w konspiracyjnych dokumentach.

„PROJEKT UNII PRACY”

Mniej więcej po roku okupacji niemieckiej, podziemny ruch robotniczy, odrodzony, zorganizowany i poddany centralnemu kierownictwu, stanął do swych zadań. Pierwszy dokument, jaki nieoficjalnie wypracowało grono działaczy socjalistycznych belgijskich jako projekt nowego programu partyjnego, dotarł do nas w dwóch redakcjach. Jedna z nich ogłoszona została w biuletynie Międzynarodowej Federacji Robotników Transportowych „Fascism” z dnia 9 września 1942 r. W tej redakcji projekt czyni wrażenie materiału dość surowego; zwłaszcza w rozdziale „Współpraca międzynarodowa” nie znajdujemy wyciągniętych wniosków z doświadczeń wojny obecnej, a zamiast nich zdanie: „Zadne państwo, rzetelnie gotowe do współpracy (?) nie powinno być wykluczone z zespołu ludów”.

Najistotniejsza w projekcie jest koncepcja „wspólnej akcji samodzielnych grup robotniczych”, skupionych wokół konkretnych zagadnień bieżących. Nie jest to w Belgii koncepcja nowa; wyłoniła się ona w okresie wielkiego kryzysu lat 30-ych, kiedy to podstawą polityczną „planu gospodarczego” miała być współpraca socjalistów z chrześcijańskimi demokratami, t.j. z robotniczą grupą bloku katolickiego. Obecnie, w ruchu podziemnym, podejmowane były próby współpracy ruchu socjalistycznego z ruchem chrześcijańsko-demokratycznym. Natomiast nie ma zbliżenia pomiędzy socjalistami a komunistami, a konspiracyjna prasa tych dwóch kierunków atakuje się wzajemnie. W niektórych rejonach stosunki pomiędzy ruchem robotniczym a chłopskim są dobre, w innych rejonach mniej pomyślne: powszechny głód i istnienie „czarnego rynku” stworzyło trudną i skomplikowaną sytuację w stosunkach między robotnikami a producentami rolnymi; informacje dotyczące tego odcinka są zresztą rozbieżne.

Oto streszczenie projektu, wedle „Fascism”:

„Projekt ten ma być podstawą wspólnej akcji samodzielnych grup robotniczych, celem — przynajmniej do czasu zebrań się izb ustawodawczych — utworzenia rządu jedności robotniczej:

celem złożenia we wszystkich okręgach kraju wspólnych list kandydatów unii robotniczej w wyborach do izb konstytucyjnych;

celem zapewnienia potem w parlamencie i w rządzie przeważającego wpływu jednolitej większości robotniczej, przez którą demokracja stopniowo urzeczywistni suwerenność pracy, respektując przy tym wolność i godność ludzka.

Projekt zawiera wypracowane w najdrobniejszych szczegółach propozycje, dotyczące życia wewnętrznego Belgii po jej oswobodzeniu. Ponad to jednak zajmuje się szczegółowo zagadnieniami międzynarodowymi.

Współpraca międzynarodowa.

Rozdział „Współpraca międzynarodowa” rozpoczyna się słowami: „Tylko solidarna organizacja i współpraca na wszystkich polach zapewnić może wielkim i małym państwom trwałą pokój i trwałą dobrobyt”.

Przesłanki tej solidarnej organizacji i tej współpracy są następujące: każdy naród musi mieć dostęp do surowców potrzebnych mu do życia; żadna kultura nie może być ani politycznie, ani moralnie podporządkowana innej kulturze; żadne państwo rzetelnie gotowe do współpracy nie powinno być wykluczone z zespołu ludów.

Niezależnie od obejmującej cały świat wspólnoty ludów, albo w jej granicach, utworzone będą związki regionalne z geograficznego, gospodarczego lub politycznego punktu widzenia, lub celem wspólnej obrony.

Postanowienia międzynarodowe, pobierane przez grupę regionalną albo przez ogólno-światowy zespół ludów będą na sposób demokratyczny uchwalane przez reprezentacje, w których poszczególne ludy będą miały przedstawicielstwo odpowiednie do ich znaczenia w związku regionalnym lub w ogólno-światowym zespole...

Ugrupowanie regionalne oraz zespół ogólno-światowy posiadać będą organy wykonawcze, które potrafią wymusić przeprowadzenie postanowień odnośnych przedstawicielstw. Wszelkie rozbieżności pomiędzy państwami albo zespołami regionalnymi, powstałe na tle wykonania zarządzenia ponad-narodowego, rozpatrywać będzie trybunał międzynarodowy.

Wolna Belgia.

Przywrócenie niepodległości Belgii jest dla autorów przesłanką samą przez się zrozumiałą. Pragną oni przywrócenia demokracji, konstytucyjnych zasad suwerenności ludu i swobód osobistych, pragną oni usunąć z życia gospodarczego hegemonię kapitalistyczną i podporządkować je interesom społeczeństwa. Zabezpieczona być musi godność, dobrobyt i pewność jutra robotników wszystkich kategorii. Nowy parlament, w którym „Unia Pracy” spodziewa się zdobyć większość, winien zbadać szereg postanowień konstytucji belgijskiej i zmienić je zależnie od okoliczności. Tu należą: kwestia utrzymania senatu, kwestia systemu wyborczego, kwestia naczelnego dowództwa wojskowego w ręku króla, zakaz zmiany konstytucji podczas regencji (gdy król nie może sprawować swej władzy lub gdy jest małoletni), prawo odwołania w konfliktach kompetencyjnych, kontrola rachunkowa państwa. Konstytucyjnie ustalone uprawnienia zasadnicze nie mogą być naruszone, co najwyżej należy je uzupełnić przez zapewnienie prawa do pracy, prawa do warunków egzystencji godnych człowieka oraz przez odrzucenie ideologii rasizmu i totalitaryzmu.

Projekt na koniec rozpatruje ogólny program gospodarki planowej”.

„OGÓLNE DYREKTYWY PROGRAMOWE”

Inna i znacznie pełniejsza redakcja tego samego dokumentu, opublikowana w nowojorskim półmiesięczniku „Belgium” z dnia 2 kwietnia 1942 r. świadczy raczej, że autorzy „dyrektyw” dokonali sporej pracy myślowej. Wymieniając dobra, „od których zależy szczęście ludzkie”, uzupełnili stare hasło syndykalne „wolność i dobrobyt” trzecim członem, który brzmi: pokój. Dyrektywy żądają „miejsca dla świata pracy”; odmawiają poplecnikom kapitalizmu prawa do rządów światem; projekt, który przedkłada, jest atoli tylko planem reform (oswobodzenia życia gospodarczego „od hegemonii kapitalizmu”). Podkreślono przy tym kontynuację legalną, to jest po-okupacyjny powrót Belgii do stanu konstytucyjnego i prawnego sprzed najazdu niemieckiego, oraz potrzebę jedności narodowej, przez co rozumie się utrzymanie wspólnego bytu państwowego Walończyków i Flamandów.

Oprócz szeregu zapowiedzi, wynikających z potrzeb i doświadczeń specyficznie belgijskich (np. kontrola finansowa prasy, ustawa odsuwająca kościół od polityki, przyznanie praw politycznych kobietom), dyrektywy wcale konkretnie szkicują przyszły porządek polityczny i gospodarczy kraju. Stojąc nieustępliwie na gruncie demokracji parlamentarnej, domagają się uzdrowienia i umocnienia parlamentaryzmu przez zmianę ordynacji wyborczej i stabilizację rządów parlamentarnych.

Mechanizm życia gospodarczego rysują dyrektywy w sposób bardzo podobny do „Programu Polski Ludowej”, z tą główną różnicą że planowanie gospodarcze w projekcie belgijskim znajduje się w ręku rządu (w polskim — w ręku Naczelnej Izby Gospodarczej).

Trzeba w dokumencie belgijskim zauważyć odrzucenie zarówno gospodarczych jak i politycznych koncepcyj „europejskich”. Socjaliści belgijscy żądają: a) pomyślności gospodarczej przez organizację handlu zagranicznego w granicach gospodarki światowej, b) znalezienia gwarancji pokoju w łonie światowej wspólnoty wolnych ludów. Ani słowa o ugrupowaniach regionalnych (o których wspomina inna redakcja projektu, streszczona w „Fascism”). Postawienie na równej stopie tak zwycięzców jak i zwyciężonych w tej wojnie (inaczej: tak napadniętych jak i napastników) jeśli chodzi o zakaz zbrojeń narodowych, wykazuje, że autorzy dyrektyw nie zdążyli jeszcze dojść do rozpoznań, które nieco później znalazły swój wyraz choćby w klauzuli 8-jej Karty Atlantycznej.

Tekst dyrektywy, podany w „Belgium”, brzmi:
„Kłęska państw agresorskich jest pewna. Trzeba, by była ona ostateczną tak, jak i kłęska zasad, które one uosabiają; trzeba również uchronić świat przed ofensywnym powrotem ohydnych występków reżimów autorytarywnych.

Z tej to przyczyny socjaliści, którzy zawsze byli nieubłaganymi przeciwnikami reżimów autorytarywnych, głośno i wyraźnie zwracają się znowu do ludów. Spodziewają się tym razem, że wysłucha ich i posłucha większość mężczyzn i kobiet pragnących zażywać nareszcie tych dóbr, od których zależy szczęście ludzkie; są to: wolność, pokój i byt zabezpieczony.

Gdy wojna poprzednia dobiegła końca, w r. 1919, świat nie przyjął środków pacyfikacji proponowanych przez ruchy socjalistyczne różnych krajów — i popadł w obecną wojnę. Od owych to czasów, socjalizm głosił bezustannie, że zastosowanie prawa samostanowienia narodów nie potrafi samo przez się zapewnić pokoju, jeżeli państwa — dawne i nowe — zamykać się będą w nacjonalizmie krótkowzrocznym i agresywnym. Lecz antagonizmy narodowe, podtrzymywane starannie przez siły kapitalizmu, udermiły ustanowienie prawdziwego pokoju. Wojna gospodarcza, spowodowana tymi antagonizmami i podsycająca je, wpełnęła świat w ślepą ulicę permanentnego kryzysu i wydała szerokie warstwy ludności, pozbawionej pracy, na łup cierpień i nędzy. Wszędzie, pod pozorem przywrócenia porządku, siły kapitalizmu podtrzymywały reżimy dyktatorskie; i wsiadłszy i wielcy przemysłowcy włości wywindowali Mussoliniego do władzy; magnaci Ruhry, obszarnicy pruscy i przywódcy dawnej armii cesarskiej na swych ramionach wynieśli w górę Hitlera; nawet w tych krajach, które dzisiaj przeciwstawiają się zbrojnie dwum podstępny dyktatorom, zaślepieństwo udzielano im usługowej pomocy finansowej i gospodarczej w przygotowaniach wojennych; w Belgii inicjatorzy reżimu autorytarywnego (którzy z trudem ukrywali, że są agentami Hitlera i Mussoliniego, naszych najgorszych nieprzyjaciół) cieszyli się sympatiami i mniej lub więcej potajemnym poparciem wielu obrońców dawnego reżimu.

Ruch socjalistyczny odmawia więc poplecnikom kapitalizmu prawa do dalszego uzurpowania sobie rządów światem, który dziś bardziej niż kiedykolwiek pragnie pokoju. Miejsce dla świata pracy! Dla tych, którzy jako robotnicy fizyczni i pracownicy umysłowi pracują na roli, w fabryce, w warsztacie lub w biurze wybiła godzina, by zażądać władzy i by rzucić fundamenty pod odnowione społeczeństwo.

W naszym kraju koniec wojny oznaczał będzie powrót do legalności sprzed dnia 10 maja 1940, jest to bowiem jedyny sposób uniknięcia chaosu politycznego i okropności wojny domowej. Lecz restauracji tej towarzyszyć winny bezzwłocznie głębokie reformy społeczne, gospodarcze i polityczne, bez nich bowiem oczekują nas groźne wstrząsy.

Przedkładamy plan tych reform. Jego cechą zasadniczą jest wzmocnienie i rozszerzenie zasad demokracji.

Organizacja państwowa.

W interesie ludu belgijskiego, jak również dla względów międzynarodowych, należy utrzymać jedność narodową.

Jedności tej żadną miarą nie należy doszukiwać się w wzmocnieniu władzy centralnej, ryzykującej wejście kraju na drogę ku dyktaturze, rządowej lub królewskiej. Odwrotnie, zapewnienie ludności flamandzkiej, walońskiej i brukselskiej maksymalnych możliwości swobodnego rozwoju urzeczywistni harmonijną równowagę państwową.

* * *

Demokracja — rząd ludu, przez lud, dla ludu — winna ulec wzmocnieniu. W tym celu instytucja parlamentu będzie uproszczona; władza rządowa pozostanie podporządkowana władzy prawodawczej.

ale będzie bardziej ustabilizowana. Parlamentowi wybranemu w drodze głosowania powszechnego, rządowi wyłonionemu przez parlament, pomagać będą w ich czynnościach Rady fachowe. Powoływane one będą z łona organizacji reprezentacyjnych, utworzonych swobodnie przez obywateli.

Państwo nie jest panem narodu; jest jego emanacją i ma mu służyć. Korpus urzędniczy, ale nie biurokracja. Socjalizm przeciwstawia się etatyzmowi.

* * *

Będzie więcej wolności. Socjalizm zawsze walczył o wolność jednostki. Bronił jej przeciw ustrojowi kapitalistycznemu, który ujarzmił rzeszę pracowników najemnych. Bronił jej przeciw dyktaturom, które ujarzmiły wszystkie grupy społeczne. Żąda on, by utrzymane zostały konstytucyjne zasady wolności: wolność osobista, wolność zgromadzania się i stowarzyszania, wolność prasy, wolność nauczania i wyznań religijnych. Zasady te zostaną wzmocnione przez proklamowanie prawa do pracy dla każdego i prawa do ludzkich warunków bytu. Ideologie rasistowskie i totalitarne będą potępione prawem.

Wolna jest tylko niezależna prasa. Dla usunięcia wpływu potęg finansowych na dzienniki, ustanowiona będzie kontrola rachunkowości, dzienników i tygodników. Wydawcom nie wolno będzie otrzymywać subsydiów bezpośrednich lub pośrednich z zagranicy; subsydia otrzymane ze źródeł krajowych będą musiały być ujawniane.

Tylko prasa uczciwa ma prawo do wolności. Oszczerstwa, zniesławienia lub zniewagi prasowe podlegać będą sądom karnym.

Nie można się posługiwać wolnością, aby zabić wolność. Ustawa nakaze represje za zbiorowe knowania, zmierzające do zmiany konstytucji środkami niekonstytucyjnymi lub do zagarnięcia władzy politycznej w drodze gwałtu.

Tak samo, wolność wyznań religijnych nie może powstrzymać państwa od ograniczenia działalności kościołów subwencjonowanych przez państwo do właściwej im dziedziny ducha oraz od zabronienia im wszelkich manifestacji w świeckiej dziedzinie polityki. Będzie to przedmiotem ustawy.

Organizacja władz.

Mimo braków w funkcjonowaniu, bynajmniej nie nieuleczalnych i znikomych w porównaniu z katastrofami spowodowanymi przez reżimy dyktatorskie, wykazało się że—jak do tej pory—parlament jest jedynym systemem politycznym, który się godzi z demokracją. W państwie demokratycznym wola narodu wyraża się poprzez parlament. Odrzucamy więc wszelki system, który pod pretekstem reformy parlamentu, sprowadziłby go jedynie do roli organu podporządkowanego dyktatorskiej władzy jednej osoby lub jednej partii. Tym niemniej, powrót do instytucji parlamentu nie oznacza wcale powrotu do praktyk sprzed dnia 10 maja 1940. Narzuca się konieczność głębokiej reformy.

Jedno zgromadzenie ustawodawcze, złożone z nie więcej jak stu posłów, zajmie miejsce dawniejszych dwóch izb. Zgromadzenie to będzie wybrane przez wszystkich dorosłych Belgów, mężczyzn czy kobiety.

Głosowanie powszechne, o które lud belgijski walczył przez kilka pokoleń, winno pozostać suwerennym prawem demokracji politycznej.

Ustalona będzie bezpośrednia łączność mandatariusza z wyborcami, ułatwione będzie tworzenie się jednolitych większości, popierane będzie tworzenie się stronnictw politycznych istotnie reprezentujących opinię publiczną. Głosowanie na listy i proporcjonalny podział mandatów zastąpiony będzie — jeśli chodzi o wybór 2/3 członków zgromadzenia prawodawczego — przez głosowanie na nazwiska z dzielnikiem wyborczym jednakowym dla wszystkich okręgów. Co do pozostałej 1/3, wybory odbędą się na podstawie państwowych list kandydatów przez zliczenie resztek głosów oddanych na kandydatów tych samych stronnictw.

W opracowywaniu i w zastosowaniu ustaw, pomagać będą zgromadzeniu prawodawczemu Rady fachowe: Rada gospodarcza, Rada pracy, Rada zdrowia publicznego, Rada oświaty i kultury (ta ostatnia złożona z dwóch autonomicznych sekcji: języka francuskiego i języka holenderskiego), których członkowie powoływani będą przy współudziale wielkich swobodnych organizacji społecznych takich, jak robotnicze związki zawodowe. Te Rady fachowe będą miały prawo inicjatywy wobec rządu lub wobec zgromadzenia prawodawczego. To ostatnie pozostanie najwyższym depozytariuszem woli narodu.

Działalność parlamentarna nie może być płodna bez minimalnej trwałości rządu. Ministrowie, których autorytet oparty jest na zaufaniu parlamentu i których władza ma źródło w parlamencie, pozostawać będą normalnie na urzędzie przez całą kadencję parlamentarną z zastrzeżeniem, że każdy minister co roku przedłoży zgromadzeniu ustawodawczemu sprawozdanie ze swej działalności i otrzyma aprobatę, a w jej braku obowiązany będzie podać się do dymisji.

Utrzymana będzie zasada autonomii gminnej. Prawo może przepisać fuzje nieodzowne dla ulepszenia administracji miejscowej, zwłaszcza w wielkich skupieniach ludzkich. Burmistrzów wybierać będą rady gminne.

Socjalizm belgijski nie domaga się zniesienia instytucji monarchii, przypomina jednak, że król konstytucyjnie jest i winien być nieodpowiedzialny. Panuje, lecz nie rządzi.

Polityka gospodarcza.

Życie gospodarcze zostanie oswobodzone od hegemonii kapitalistycznej. Potęgi kapitalistyczne nie będą mogły służyć swym interesom partykularnym ze szkodą dla interesu społecznego. Społeczeństwo podda zwłaszcza przedsiębiorstwa finansowe skutecznej kontroli celem zabezpieczenia oszczędności, jak również celem sfinansowania nieodzownych zamierzeń gospodarczych.

Monopole będą pod nadzorem i będą musiały służyć interesowi społecznemu. Inicjatywy prywatne znajdują maksymalną zachętę, lecz jednocześnie będą one kontrolowane.

Marnotrawstwo wszelkiego rodzaju, a zwłaszcza bezrobocie, zwalczane będzie bez wytchnienia.

Naczelnym bodźcem gospodarki będzie interes narodu. We wszystkich wypadkach nakazanych tym interesem, przedsiębiorstwa prywatne zostaną uspołecznione.

Uspołecznienie, to nie etatyzacja. Administracja czysto biurokratyczna nie będzie umiała pokierować z możliwie największą sprawnością czy też z dostateczną kompetencją — ani przedsiębiorstwem uspołecznionym, ani też innymi interwencjami społeczeństwa w sprawach gospodarczych.

Z jednej strony, przedsiębiorstwa uspołecznione będą miały zarząd autonomiczny. Z drugiej strony, polityka gospodarcza rządu opierać się będzie na wskazaniach Rady gospodarczej, w której zasiadą przedstawiciele pracowników, przedstawiciele spożywców i rozmaici eksperci z tytułu bądź to swych czynności, bądź to swej wiedzy. Rada gospodarcza oparta będzie na Radach poszczególnych gałęzi przemysłu, złożonych parytetycznie z przedstawicieli kierowników przedsiębiorstw i przedstawicieli pracowników.

Przy pomocy Rady gospodarczej i Rad przemysłowych, rząd ustanowi i przeprowadzi ogólny plan wyposażenia gospodarczego i społecznego, obejmujący poparcie dla działań wszelakiego rodzaju. Plan ten będzie kołem rozpędowym inicjatyw prywatnych; przewidywał też będzie rezerwy zatrudnienia dla pracowników zagrożonych bezrobociem.

Rada gospodarcza zbada niezwłocznie z punktu widzenia interesów społeczeństwa dodatnie i ujemne strony uspołecznienia najbardziej scentralizowanych aktywów gospodarczych. Jeżeli nie uspołecznienie, to będzie ona mogła zaproponować formy kontroli lub ustawyowy udział ogółu spożywców w zyskach przedsiębiorstw. Przedmiotem pierwszych i pilnych dochodzeń będą: instytucje kredytowe, towarzystwa ubezpieczeniowe, przemysł górniczy, przemysł metalurgiczny, elektrownie.

Rozdział towarów zorganizowany będzie w interesie spożywców, w taki sposób, że zachowana będzie wolność handlu detalicznego, jednakże uwzględnione będą osiągnięcia spółdzielczości.

Polityka autarkii, ograniczająca handel zagraniczny, jest polityką imperialistyczną, której wynikiem może być tylko wojna i nędza. Demokracja belgijska szukać będzie pomyślności gospodarczej nie w ciasnych granicach Europy, lecz przez organizację handlu zagranicznego w granicach gospodarki światowej.

W zakresie rolnictwa rząd popierać będzie odpowiednie metody poprawienia wydajności upraw i wyda potrzebne zarządzenia, aby oswobodzić rolników od wszelkich monopolistów, jako to właścicieli działek dzierzawnych, lichwiarzy, handlarzy nawozów sztucznych i maszyn rolniczych, skupiywaczy produktów rolnych itd.

System podatkowy zostanie zmieniony w ten sposób, aby, przy zmniejszeniu kosztów ich pobierania, zapewnić sprawiedliwy rozkład podatków i wystarczające dochody dla państwa, od którego naród domaga się rosnących świadczeń.

Polityka społeczna.

U boku wzmocnionej demokracji politycznej i ustanowionej demokracji gospodarczej, panować będzie także demokracja przemysłowa. Pracownicy uzyskają prawo zbiorowego obradowania razem z kierownikami przedsiębiorstw nad warunkami pracy. Te warunki pracy zapewnią im sprawiedliwszy niż przedtem udział w dochodzie z produkcji i przyniosą im pewność jutra. Innymi słowy pracownik przestanie być proletariuszem. Wszelako wystrzegać się on będzie zdania całego swojego losu w ręce państwa-opatrznosci. Państwo zagwarantuje mu tylko minimum egzystencji. Co ponad to, poprawa losu każdego, a tak samo poprawa bytu ogółu, możliwa będzie tylko przez rozwój solidności wytwarzania z jednej strony, a z drugiej strony — tam, gdzie solidarność i wzajemna pomoc są nieodzowne — w wysiłku związkowym.

Dostęp do kultury jest dziś najbardziej podstawowym żądaniem robotniczym. Żądanie to ma aspekt polityczny i gospodarczy, gdyż z jednej strony demokracja może funkcjonować w pełni tylko, gdy obywatele są oświeceni, a z drugiej strony żądanie to ma w większym jeszcze stopniu aspekt humanistyczny, albowiem rozwój nauczania powszechnego, jak również techniki, pomnaża jednocześnie zainteresowanie życiem i radość pracy.

Z tych to przyczyn obowiązkowe będzie uczęszczanie do szkoły normalnej aż do lat 16. Po przekroczeniu tego wieku najzdolniejsza młodzież, nie mająca środków na studia wyższe, otrzyma wydatną pomoc od społeczeństwa. Nauczanie pozaszkolne rozwijane będzie w taki sposób, aby pracownicy mogli brać udział indywidualnie i zbiorowo w takich formach kultury intelektualnej, jakie odpowiadają ich zamięślanianiu.

Rząd winien pomagać organizacjom robotniczym w ich inicjatywach, mających na celu udostępnienie pracownikom najróżniejszych środków pełnego wykorzystania czasów, zagwarantowanych ustawodawstwem ochronnym pracy.

Praca nie będzie więcej uważana za towar o cenie spychanej do możliwie najniższego poziomu; wynagrodzenie za pracę chronione będzie przez społeczeństwo przed wyzyskiem kapitalistycznym.

Uwzględniając potrzeby robotnicze i siłę nabywczą pieniądza w chwili oswożenia kraju, ustanowione będzie obowiązkowe minimum płac dla wszystkich robotników dorosłych. W dalszym ciągu minimum to ulegać będzie automatycznym zmianom razem z kosztami utrzymania. Rady przemysłowe ustanowią wyższe taryfy dla różnych zawodów, zależnie od stopnia kwalifikacji zawodowych. A dalej, wpływ związków zawodowych osiągnie stałe podnoszenie się poziomu życiowego pracowników drogą podnoszenia się wydajności produkcji oraz drogą zapewnienia pracownikom sprawiedliwszego udziału w dochodzie społecznym.

Przedwojenne prawodawstwo regulujące czas pracy pozostanie w mocy. Dalsze skracanie czasu pracy następować będzie w związku z rozwojem wydajności wytwórczej i z siłą akcji związkowej.

Jeśli chodzi o urlopy płatne, prawodawstwo przedwojenne będzie uproszczone, przy czym okres urlopów pozostanie bez zmiany aż do chwili, gdy postęp gospodarczy umożliwi ich przedłużenie.

* * *

Godność robotnicza wymaga komfortu w mieszkaniach rodzinnych. W ogólnym planie wyposażenia gospodarczego i społecznego przewidziane będzie systematyczne burzenie nor mieszkaniowych, budowa nowych mieszkań, rozwój kanalizacji we wszystkich gminach i liczne prace urbanistyczne. Trzeba będzie zwłaszcza rozwinąć wszelkie odpowiednie środki, by ulżyć pracy gospodyń domowych.

Zostanie ustanowiona narodowa służba higieny publicznej dla walki zapobiegawczej przeciw chorobom, w porozumieniu z ubezpieczalniami robotniczymi.

Pracownicy mają prawo do pewności bytu. Z wyjątkiem wypadków przewinień zawodowych lub redukcji załogi dla przyczyn technicznych albo gospodarczych, poprawny pracownik mieć będzie prawo do stabilizacji w swym miejscu pracy. Wy-

dane zostaną ustawowe zarządzenia celem uniemożliwienia arbitralnych wydaleń z pracy.

Wszelchstronny system ubezpieczeń społecznych, uproszczonych i przymusowych, zadość uczyni potrzebom starców i uwzględni wszystkie ryzyka pozbawienia zarobku (choroba, nieszczęśliwy wypadek, inwalidztwo, bezrobocie).

Zarobki zostaną uzupełnione dodatkami rodzinnymi, poczynając od pierwszego dziecka.

Administracja instytucji społecznych zostanie zrationalizowana celem umniejszenia kosztów administracyjnych. Nie będzie ona zetatyżowana, będzie natomiast oparta na zasadach autonomicznych, przy współudziale przedstawicieli pracowników. Bezpieczeństwo miejsc pracy, ich higiena, ich moralność zostaną lepiej zapewnione. Robotnicze związki zawodowe, uznane za przedstawicielstwo robotnicze, winny mieć udział w inspekcji pracy.

Rząd uzna za przedstawicielstwo robotników każdą ich organizację, grupującą poważną liczbę członków, bez względu na jej tendencje, pod warunkiem, że przestrzega ona reguł demokracji.

W każdym przedsiębiorstwie, pracodawca uznać winien przedstawicieli pracowniczych wybranych przez załogę.

Wszystkie te zarządzenia postępu społecznego i demokracji przemysłowej dadzą w następstwie redukcję zatargów zbiorowych. Tym niemniej nie będzie w niczym podważone prawo do strajku, będące wyrazem wolności pracy. Państwo dołoży wszelkich starań, by zapobiegać zatargom w drodze polityki sprawiedliwości społecznej. Pojednania rozbieżnych interesów szukać się będzie w łonie Rad przemysłowych. Zainteresowani będą mogli korzystać z fakultatywnej procedury arbitrażu.

Rady przemysłowe zastąpią dawne komisje parytetyczne, lecz mieć będą uprawnienia rozleglejsze i lepiej określone. Prócz ustalania warunków pracy i polubownego załatwiania zatargów zbiorowych, rozstrząsać one będą wszystkie zagadnienia szczególne odnośnych gałęzi przemysłu, a nadto w razie potrzeby wzywane będą do współpracy z Radami fachowymi rządu i parlamentu. Organizacje tak pracowników, jak i kierowników przedsiębiorstw, reprezentowane będą w Radach fachowych również za pośrednictwem Rad przemysłowych.

Kobiety.

Sytuacja prawna kobiety powinna być równa sytuacji mężczyzny. Zaznaczyliśmy już, że pragniemy przede wszystkim urzeczywistnić równość praw politycznych, rozciągając głosowanie powszechne w wyborach do zgromadzenia prawodawczego na kobiety. To samo dotyczy wszystkich innych ciał wybieralnych.

Z drugiej strony, kobiety zostaną dopuszczone do wszystkich stanowisk na tych samych warunkach co i mężczyźni.

Stanowiska w administracji publicznej będą dostępne dla kobiet na tych samych warunkach uzdolnienia co i dla mężczyzn.

Również, jak długo istnieć będzie służba wojskowa, kobiety pociągane będą do służby pomocniczej, od której jednak zwolnione będą kobiety zamężne.

Ustawodawstwo ochrony pracy kobiet odpowiadać będzie szczególnym wymogom anatomii i fizjologii kobiecej.

Szczególną uwagą otoczona będzie praca gospodyń domowych. Plany urbanistyczne i plany mieszkaniowe winny przewidywać maksimum udogodnień technicznych dla ulżenia gospodyniom domów w ich kłopotach.

Kobieta zamężna winna zostać wyemancypowana spod wszelkiej opieki małżonka w czynnościach politycznych, gospodarczych lub przed sądem.

Młodzież.

Jeśli chodzi o młodzież, zwracamy w pierwszym rzędzie uwagę na przedłużenie obowiązku szkolnego aż do 16 lat życia i na rozwinięcie możliwości dalszego kształcenia się najzdolniejszych.

W planach urbanistycznych szczególna uwaga zwrócona będzie na urządzenie pól gier i boisk sportowych.

Urlopy płatne pracowników młodocianych pozostaną dłuższe niż urlopy dla dorosłych, ponieważ młodzież potrzebuje dłuższego wytchnienia. Młodzież otrzyma ułatwienia w turystyce i obozow-

nictwie, szczególnie przez pomoc państwową dla gospód młodzieży. Winny one jednak być pozostawione inicjatywie organizacji młodzieży samej.

Ponad to, aby umożliwić młodzieży wypowiedanie swych potrzeb i aspiracji, ustanowione będą regionalne Rady młodzieży i Narodowa Rada Młodzieży (ta ostatnia złożona z dwóch sekcji, jednej z językiem francuskim, drugiej z językiem flamandzkim).

Współpraca międzynarodowa.

Podporządkowanie Belgii panowaniu innego kraju w t.zw. wspólnocie europejskiej winno być odrzucone. Belgia odnajdzie gwarancje pokoju, do którego dąży, w łonie światowej wspólnoty wolnych ludów.

Belgia dopuści atoli, podobnie jak to powinny uczynić wszystkie państwa świadome swych obowiązków międzynarodowych, pewne ograniczenia swej suwerenności. Jednakowoż ograniczenia te ustanowi prawo międzynarodowe, jednakże dla wszystkich. Prawo to zobowiąże wszystkie państwa do przedkładania swych sporów pod postępowanie rozjemcze. Zabroni ono zbrojeń narodowych tak zwycięzcom, jak i zwyciężonym w obecnej wojnie. Wszelkie państwo które zamiast uciec się do rozjemstwa albo zamiast posłuchać wyroku rozjemczego będzie zamierzało najechać terytorium innego państwa, winno podlegać rygorom siły zbrojnej policji międzynarodowej.

Suwerenność narodowa winna również ugiąć się przed międzynarodową solidarnością gospodarczą. Odrzucając walki celne, światowy statut pokoju winien zatroszczyć się o repartycję surowców, kredytów, a nawet rynków zbytu uwzględniając uprawnione interesy każdego narodu, zdala jednak od wszelkiego imperializmu. W skład międzynarodowej organizacji gospodarczej winny wchodzić oficjalne reprezentacje organizacji robotniczych oraz organizacji pracodawców każdego kraju.

Postęp społeczny będzie popierany jednocześnie w różnych krajach drogą organizacji analogicznej do tej, której organem było Międzynarodowe Biuro Pracy w Genewie, lecz która mocniej krępować będzie suwerenność poszczególnych państw, z zastrzeżeniem odwołania do arbitrażu w wypadku trudności.

Akcja bezpośrednia.

Z chwilą wyzwolenia kraju trzeba będzie odbudować rząd. Belgijski ruch socjalistyczny jest gotów przyjąć odpowiedzialność za rządu celem urzeczywistnienia wyżej wyłuszczonego programu. Przyjmie on tę odpowiedzialność czy to sam, czy też wspólnie z innymi stronnictwami demokratycznymi, które zgodzą się współdziałać w urzeczywistnieniu dostatecznie doniosłej części programu socjalistycznego.

Pierwszym czynem rządu będzie zwołanie izb, których sesja trwająca w dniu 10 maja 1940 nie została zamknięta. Rząd proponuje izbom:

1) przekazanie mu władzy prawodawczej we wszystkich sprawach dotyczących gospodarki narodowej i dobrobytu ludności, do czasu zebrania się Konstytuanty;

2) zadecydowanie, czy zachodzi potrzeba rewizji artykułów konstytucji związanych z reformami figurującymi w niniejszym programie.

Izby zostaną następnie rozwiązane w drodze konstytucyjnej. W dalszym ciągu, w przepisany terminie dni 40 wyborcy zostaną wezwani do urn. W terminie 2 miesięcy zbiorą się nowe Izby.

Od nowych izb rząd zażąda, by poświęciły się wyłącznie rewizji konstytucji.

W międzyczasie rząd zajmie się szczególnie:

1) w zakresie gospodarczym, zaopatrzeniem ludności w artykuły pierwszej potrzeby i wyposażeniem przemysłu w surowce; zagadnienia te będą już uprzednio przedmiotem rokowań pomiędzy obecnym rządem a rządami Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych;

2) w zakresie politycznym, ukaraniem wszystkich zbrodni, jak również oczyszczeniem kadr administracyjnych przez pozbawienie stanowisk wszystkich tych, którzy przez swe służalstwo lub swą słabość wobec nieprzyjaciela okazali się niegodni ich sprawowania; czystka ta winna być połączona z ankieta co do okoliczności, które doprowadziły do kaptulacji armii w dniu 28 maja 1940.

Prawo o pełnomocnictwach winno pozwolić rządowi na konfiskate ustawową wszystkich korzyści uzyskanych od nieprzyjaciela, nawet jeśli odnośne działania nie są przestępne z punktu widzenia kodeksu karnego.

Skonfiskowane w ten sposób sumy przeznaczone zostaną na odszkodowanie ofiar wojny, wdów, sierot, inwalidów i jeńców wojennych, jako też osób, które poniosły straty czysto materialne;

3) w zakresie społecznym, przywróceniem mocy obowiązującej ustawodawstwa ochronnego pracy i rzucając — w drodze zarządzeń przejściowych — podstaw pod nowy, prostszy i pełniejszy system przymusowych ubezpieczeń społecznych, przewidziany niniejszym programem”.

Tak brzmią „dyrektywy”.

Dokument powyższy (podobnie jak i „Program Polski Ludowej”) warto porównać z okólnikiem syndykalizmu francuskiego z dnia 13 listopada 1940. Francuski „list dwunasty” w gruncie rzeczy kreśli obraz państwa korporacyjnego, korygując go tylko wolnością związków zawodowych („formuła przyszłości, to wolny syndykat w zawodzie zorganizowanym i w państwie suwerennym”) i wskazując mu cel antykapitalistyczny. Socjaliści belgijscy są zdecydowanymi przeciwnikami państwa korporacyjnego; wysuwają postulat Rady gospodarczej, opartej na paryteetycznych Radach poszczególnych gałęzi przemysłu, lecz stwierdzają mocno: „wola narodu wyraża się (tylko) przez parlament”. Rada gospodarcza w tym ujęciu ma być wyłącznie fachowym organem pomocniczym dla parlamentu, pochodzącego z wyborów powszechnych. Socjaliści belgijscy są — oczywiście — zwolennikami planowania gospodarczego i powierzają je rządowi, lecz widzą przed sobą jedynie rząd, mający swe źródło władzy w parlamencie i oparty na jego zaufaniu. Co dalej, rozpatrując formy własnościowe środków wytwarzania, socjaliści belgijscy stwierdzają kategorycznie: „Uspołecznienie, to nie etatyzacja”.

Artur Wauters, b. redaktor „Le Peuple”, b. senator, b. minister, członek egzekutywy P.O.B., tak komentuje odnośną część „dyrektyw” (w „The Left News” z kwietnia 1943 r.), pośrednio polemizując — razem z autbrami „dyrektyw” — ze starymi i nowymi naukami de Mana:

„W zanalizowanym wyżej dokumencie powraca z uderzającą uporczywością pewna myśl. Nasi przyjaciele piszą dosłownie:

„Państwo nie jest panem narodu. Jest ono wytworem narodu, stworzonym, by mu służyć. Nieodżwoni są urzędnicy — lecz nie biurokracja. Socjalizm przeciwstawia się etatyzmowi”.

A dalej piszą:

„Robotnik strzec się będzie, by nie złożyć swego losu w ręce państwa — opatrności”.

Stanowisko to nie jest niespodzianką u uczniów wybitnego teoretyka, który napisał dzieło pod tytułem „Socjalizm a państwo”.

Emil Vandervelde był mózgiem ruchu socjalistycznego, który rychło zrozumiał, że reformy nigdy nie otrzymuje się w darze; reformy trzeba zawsze zdobywać. Belgijski ruch socjalistyczny rozwijał się w kraju, gdzie prywatna inicjatywa wielkich organizacyj społecznych niemal zawsze wyprzedzała kroki podjęte przez państwo.

Na domiar, towarzysze nasi żyją pod reżimem autorytatywnym. Członkowie partii, wychowani przez nasze organizacje, niewątpliwie jeszcze przed okupacją hitlerowską rozumieli zabójczy charakter reżimu totalitarnego. Lecz ucisk faszystowski ma jedną przynajmniej zasługę. Otworzył on oczy pewnym klasom społecznym, takim jak rolnicy, którym narzucono państwo korporacyjne. Buntują się oni przeciw niemu z szczególną zawziętością, pełną przebiegłości, a czasem i gwałtowności.

Socjaliści belgijscy nie popełnią przeto błędu uznania za socjalizm pewnych mądrych, skomplikowanych i często niejasnych formułek, które kiepsko osłaniają zamiary ich wynalazców. Faszyści liczą na nieświadomość i apatię mas i ofiarowują im zniekształconą i uszmińkowaną namiastkę socjalizmu, która jest niczym innym, jak tylko zamaskowanym reżimem autorytatywnym. Socjaliści belgijscy nie uznają za socjalizm, ani kapitalizmu państwowego, ani państwa korporacyjnego. W żadnych okolicznościach nie zgodzą się oni, by tak zwane Rady gospodarcze lub społeczne zajęły miejsce suwerenności prawodawczej narodu. Możliwe jest nawet, że wyleczyli się oni z dążności do „planowania” prowadzącego ostatecznie — poprzez system ujęcia spożywcza i produkcji w uprząż — okólną drogą ku temu samemu reżimowi autorytatywnemu, który tak potępiają.

Co się tyczy państwa korporacyjnego, doświadczenie wykazało, że reprezentancja interesów jest fantastycznym marnidłem. Jeden z najbardziej poważnych ekonomistów tego kierunku, Hector Denis, wykazał, jak arbitralna jest ta forma rządu. Nie odpowiada prawdzie, że ludzie tego

samego zawodu mają jeden wspólny i jednolity interes. Jeśli czasem łączą się oni dla osiągnięcia tryumfu swego interesu korporacyjnego, to zazwyczaj dzieje się to kosztem spożywców. Ostatecznie, wkracza państwo, jako rozjemca w sporze. Państwo korporacyjne w swych podstawach łączy zbyt wiele nacisku na egoizm grupowy. Partykularne interesy, oskarżane obecnie z taką gwałtownością o to iż wciskają się jako nielegalni pasażerowie w polityczną administrację państwa, obarczyłyby państwo ciężarem nie do zniesienia. Jeden z najlepszych naszych prawników, zresztą konserwatysta z poglądów, p. Herbert Speyer powiedział, że państwo korporacyjne jest nieodłącznym kompanem dyktatury.

Towarzysze nasi w Belgii okupowanej nie dali nam rozwiązania szczegółowego. Sądźmy jednak, że dobrze ich zrozumiemy, gdy powiemy, że kreślą oni obraz reżimu produkcji i wymiany, opartego na rozwoju wielkich służb publicznych, wytwarzających i działających — przy czynnej współpracy spożywców — dla zaspokojenia potrzeb społecznych a nie dla zysku. Mają oni już za sobą w Belgii rozległe doświadczenie tego rodzaju. Zalety i braki różnych reżimów dobrze są znane obecnie. Ilekroć załamwały się wielkie służby publiczne, działo się to zawsze z winy albo władzy państwowej, albo pewnych interesów korporacyjnych.

Przy budowie nowego społeczeństwa pamiętać trzeba, że reżim autorytatywny — nawet zamaskowany jako „planowanie” — nie jest socjalizmem. Jest tylko jego karykaturą”.

„SOCJALISTYCZNA”, NIE „ROBOTNICZA” PARTIA

Wauters uzupełnił swój komentarz uwagami na temat przeobrażeń, jakim w konspiracji uległ belgijski ruch robotniczy. Przytaczamy te informacje, uważając je za niezmiernie charakterystyczne dla całości międzynarodowego ruchu socjalistycznego i przypominając znacznie wcześniejsze przejście P.P.S. od określenia się jako „partia klasy robotniczej” do „partii mas pracujących” (Radom, 1937):

„Nielegalne pisma socjalistyczne, jakie dotarły do Londynu, opublikowały inne dokumenty, wyjaśniające i pogłębiające zanalizowany dopiero co manifest.

Nie wydaje się, by idee naszych towarzyszy uległy zmianie w zasadniczych punktach od czasu, gdy po raz pierwszy nakreślili swe cele.

Tym niemniej, godny zanotowania jest fakt, że partia nielegalna nie nazywa się już Belgijska Partia Robotnicza; nosi ona obecnie nazwę Belgijska Partia Socjalistyczna. Zmiana ta wymagać będzie zatwierdzenia jej przez legalny kongres. Lecz autorzy pism nielegalnych wyjaśniają, że nie są już stronnictwem czysto robotniczym. Przypominają dług, jaki partia zaciągnęła wobec wielkich intelektualistów, którzy porzucili burżuazję i przyłączyli się do partii w jej najtrudniejszych chwilach. Sądzą oni, że socjalizm belgijski narodził się z zespolenia wysiłków robotników i myślicieli, którzy zapewnili mu świetną sławę zarówno w kraju, jak w całym świecie.

Ambicją naszych towarzyszy jest otworzenie wrót partii wszystkim pracującym klasom społeczeństwa, od inżyniera do robotnika fizycznego włącznie z technikiem i robotnikiem wykwalifikowanym, od profesora do studenta włącznie z lekarzem, prawnikiem, urzędnikiem publicznym i prywatnym; klasa robotnicza i chłopci, klasy pośrednie, jednym słowem wszystkie ofiary kapitalizmu monopolistycznego, muszą znaleźć swe miejsce w Belgijskiej Partii Socjalistycznej.

To samo pismo nielegalne domaga się wielkiej organicznej decentralizacji partii. Winna ona być oparta na trzech komitetach centralnych: komitecie flamandzkim, komitecie brukselskim i komitecie walońskim. Żądanie to jest znamienne i może być uważane za znak, iż towarzysze nasi nie odrzucają możliwości powstania Belgii federacyjnej.

Co do wewnętrznej budowy partii, wysuwają śmiały pomysł, aczkolwiek zdają sobie sprawę z tego, iż ich punkt widzenia nie jest powszechnie podzielany. Nie sprzyjają oni już myśli automatycznego należenia do partii drogą przez związki zawodowe, spółdzielnie i kasy chorych. Przyznają oni, że ta forma ma niezaprzeczone zalety materialne. Zapewnia ona potężne środki finansowe. Lecz z drugiej strony błędy popełnione przez jedną stronę mogły neutralizować wysiłki drugiej strony. Na polityczne decyzje partii wpływ miały tysiące członków spółdzielni i związków zawodowych, którzy nie zawsze wyznawali w pełni socjalistyczne poglądy.

Tym niemniej, dokument kładzie nacisk nie na całkowity i ostateczny rozdział, lecz raczej na rozdział administracji i finansów związków zawodowych i spółdzielni z jednej strony, a partii politycznej z drugiej strony”.

Tak brzmi relacja Wauters'a.

Dalszy rozwój ruchu zamknięty został w następującej ocenie, pomieszczonej w tajnym „Le Peuple” z końcem 1942 roku:

„Rok, który dobiega końca, oglądał rozszerzenie i pogłębienie się naszego ruchu socjalistycznego. Ruch nasz jest dzisiaj potężny i dobrze zorganizowany. Nasze czasopisma rozprzedawane są w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy; nasze grupy łączą entuzjazm z odwagą i rozwagą, rozpowszechniając nasze hasła we wszystkich środowiskach. Klasa robotnicza darzy nas całkowitym zaufaniem”.

„IDEA SOCJALISTYCZNA”

„Ogólne dyrektywy programowe” wytyczyły zadania ruchu robotniczego na dni wyzwania się kraju i na okres powojenny. Dokument ów miał i ma znaczenie praktyczne, stwarzając pion, wokół którego we wspólnym działaniu grupować się mogą ruchy demokratyczne, gotowe „współdziałać w urzeczywistnieniu dostatecznie doniosłej części programu socjalistycznego”.

Zgola odmienny charakter nosi rozprawa, umieszczona w „L'Idée Socialiste,” biuletynie doktrynalnym przodowników brukselskiego ruchu socjalistycznego. Rozprawa ta daje staranną socjalistyczną ocenę epoki. Porządkuje zjawiska okresu przedwojennego i wojny obecnej. Kulminuje ona w twierdzeniu, iż „grzechem śmiertelnym jest sądzić, że wojna obecna rozgrywa się pomiędzy kapitalistami”; wojna obecna — cały obecny okres dziejowy — to walka, w której stawką jest „wolność, albo wieki ucisku”. W wojnie obecnej chodzi o uniemożliwienie za wszelką cenę panowania jednego narodu (niemieckiego) nad wszystkimi innymi narodami i wszystkimi jednostkami. Zwycięstwo niemieckie oznaczałoby dla klasy robotniczej niewolę tysiąckroć straszliwszą, niż wszystko, co klasa ta wycierpiała w społeczeństwie kapitalistycznym. Demokracje typu angielskiego dają socjalistom możliwość walki o wyzwolenie klasy robotniczej. Już z tych to przyczyn, zwycięstwo nad Osią „jest nieodzownym warunkiem wszelkiego nowego wzlotu socjalistycznego”; innymi słowy, zwycięstwo bloku anty-osioowego, nie stanowiąc samo przez się zwycięstwa socjalizmu, otworzy dla socjalizmu możliwość nowego startu.

Całość rozprawy jest głęboką apologią demokracji, ujętą z socjalistycznego punktu widzenia; wyciągając wnioski z doświadczeń przeszłości, autorzy żądają atoli demokracji silnej w stosunkach międzynarodowych, skonsolidowanej wewnętrznie, zdyscyplinowanej, czujnej, zdolnej do samobrony. Trzeba podkreślić kilka równie prostych, jak fundamentalnych stwierdzeń, które znajdujemy w poniższej rozprawie: Demokracja warta jest tyle, ile wari są demokraci; nie jest ona bynajmniej błogostanem, osiągniętym raz na zawsze; trzeba sobie na nią zasłużyć codziennie. I raz jeszcze: wolność nie jest nabytkiem pewnym i niezmiennym; trzeba ją zdobywać co chwila; ponad to, nie jest ona pustym dźwiękiem i ma ona wartość tylko przez cel, któremu służy. Lecz nawet w świecie kapitalistycznym, odzyskanie wolności jest bezcenne: „pozwołi nam ona stać się na nowo ludźmi”.

Zapewne, wszystko to nie jest nowe. Przed stu pięćdziesięciu laty w Anglii pisał Burke: „Ceną wolności jest wieczna czujność”. Dziś dodajemy: Ceną wolności jest walka o wolność. Ważne jest, że z tak wielu stron, z podziemnych ruchów robotniczych płynie potwierdzenie zrozumienia tej prawdy, wyłaniając wyraźny międzynarodowy prąd walczącego socjalizmu demokratycznego w krajach ujarzmionych.

Analiza „socjalizmu” hitlerowskiego w dokumencie belgijskim jest trafna: chodzi wyłącznie o zaprzągnięcie wszystkich żywych sił narodu niemieckiego do dzieła opanowania Europy i świata przez Niemcy. „Narodowy socjalizm”, to po prostu zdyscyplinowanie kapitalizmu i wyprawadzenie w pole klasy robotniczej — wszystko to celem przygotowania i prowadzenia wojny totalnej.

Stosunek z jednej strony hitleryzmu, z drugiej strony socjalizmu, do zagadnień narodu i do nacjonalizmu przedstawił jest bezbłędnie, a historyczne zadanie: klęska Niemiec i zniszczenie hitleryzmu postawione zostało ruchowi robotniczemu w podwójnym jego charakterze: jako socjalistom i jako obywatelom narodów podbitych.

Rozdział, omawiający stosunek socjalistów do komunizmu i do Z.S.R.R. również jest bez zarzutu w analizie przeszłości. Co do przyszłości, ogranicza się on do postawienia szeregu znaków zapytania.

Zadania ruchu socjalistycznego w okresie powojennym naszkicowane zostały w kilku rzutach: przywrócenie podstawowych swobód politycznych jako punkt wyjścia dla zdobycia demokracji gospodarczej; wyrównanie przeciwności klasowych przez lepszy podział dochodu społecznego. „Okres powojenny, po tryumfie sił wolności, zazna w państwach kapitalistycznych olbrzymiego przesunięcia wartości społecznych. Rozległość i rozpiętość tego przesunięcia będzie miernikiem naporu socjalistycznego... Wojna ta, prowadzona pod znakiem wolności przeciw tyranii, zrodzi potężny pęd do totalnego wyzwolenia jednostki. Nie uniknie tego żaden naród, żaden kraj, żaden kontynent. Na tym rozstaju dróg historii, socjalizm będzie miał do spełnienia postępowanie wyjątkowo bogate... Warunkiem po temu jest, by do rozstrzygających problemów, jakie niesie demokracja polityczna i demokracja gospodarcza, socjalizm wniósł formuły jasne i śmiałe, odpowiadające potrzebom i dążeniom przyniatającej większości ludzkości”.

Ten ostatni akord, daleki od wszelakiego determinizmu, stawia masom pracującym wielkie dziejowe zadanie do spełnienia, lecz dokonanie tego zadania warunkuje jasną świadomością oraz śmiałością w działaniu.

W sumie, dokument belgijski trzeba postawić obok polskiej „Trybuny Ludów” w rzędzie najgłębszych myślowych osiągnięć podziemnych ruchów mas pracujących.

Oto przekład belgijskiego dokumentu:

A. Demokracja i wolność.

„Narodowy socjalizm” zapamiętała stara się zożydzić pojęcia demokracji i wolności; z wielkim nakładem propagandy wpaja się w Niemców ideę, że demokracja — to wróg. Łatwo jest miotać obelgi. Jeżeli jutro Hitler zechce, wszyscy Niemcy zakrzykną chórem, że wędkarze są co do jednego nieprzyjaciółmi ludu niemieckiego i winni być wytypieni. Wybryki takie są możliwe jedynie w kraju, w którym zniszczono demokrację i wolność. A jednak nie można wątpić, że pod obuchem przeciągającej się wojny, której wynik jest dla nich coraz to bardziej wątpliwy, wielu Niemców zaczyna sobie uświadamiać, iż wyłącznie megalomania ich Führera wtrąciła Europę i świat cały w tę krwawą łaźnię.

Nawet w krajach demokratycznych, istniał od lat kilku obyczaj natrząsania się z demokracją i z wolnością. Umysły ograniczone oraz drobnomieszczaństwo, wcisnięte pomiędzy kapitalizm i zwarty proletariatus, chętnie ulegały wpływowi przyrzeczeń i teatralnych występów takiego Degrelle'a. Wśród wielu Flamandów walka o pewne prawa językowe przybrała postać rasizmu. Nawet w niektórych środowiskach socjalistycznych, do dobrego tonu należało widzieć tylko braki demokracji.

Zapewne, nasze urządzenia demokratyczne dalekie były od doskonałości. Atoli każdy człowiek myślący winien sobie wreszcie zdać sprawę, że demokracja nie jest bynajmniej stanem niebiańskiego szczęścia osiągniętego raz na zawsze. Trzeba sobie na nią zasługiwać codziennie. Warta ona tyle, ile są warci demokraci.

Dyktatura, przeciwnie, ukrywa swe błędy i broni się przed ich zdemaskowaniem. A skoro jest niedoskonała, jak wszystkie urządzenia ludzkie, nieuniknione jest, że podkopuje ją wewnętrzna krytyka. Nadużycia dyktatury usunąć może tylko krwawa rewolucja. By ją uprzędzić, dyktatura hitlerowska sprowokowała obecną wojnę światową i wydawać się może, że wszyscy Niemcy, armia i proletariatus narówni z armią, tworzą blok wokół dyktatora. Lecz nawet ta wojna może jedynie przyspieszyć rozkład reżimu.

* * *

Przez całe lata zapowiadaliśmy, że dyktatura w Niemczech oznacza wojnę w Europie. Demokracje nie spełniły swego obowiązku i pozwoliły mordować inne demokracje. Płacimy wojną za naiwność Francji i Anglii, które próbowały występować w roli pacyfikatorów w hiszpańskiej wojnie domowej, podczas gdy Hitler i Mussolini nieustannie dostarczali Frankowi broni i amunicji. Demokracje wahały się pognębić Mussoliniego, gdy zaatakował Abisynię. Nie miały odwagi uratować konstytucyjnego rządu hiszpańskiego, Austrii i Czechosłowacji. Wszystkie ich wahanias, wszystkie ich dobre zamiary nie przyczyniły się do pokoju, zgoła odwrotnie — skorzstał z nich Hitler, by przygotować swą wojnę totalną.

Zły jest nie ustrój demokratyczny; fatalna dla niego jest słabość demokracji. To pierwsza nauka, jaką wyciągnąć należy ze stwierdzeń powyższych.

* * *

Atoli demokracja winna również być skonsolidowana wewnętrznie. Gdy my stosowaliśmy reguły gry demokratycznej, rexiści i nacjonałiści flamandzcy natrzęsali się z nich, a tym samym natrzęsali się z nas. Powoływali się oni na nasze swobody demokratyczne, by z nich brać uprawnienie do podkopywania naszych instytucyj; powoływali się też na nie, by nam uniemożliwić wyępienie faszystwu.

Oto więc druga nauka, w jakiej trzeba sobie zdać sprawę. Nie możemy tolerować faszystwu ani na wewnątrz, ani na zewnątrz. Nasza demokracja winna sobie wytworzyć odpowiednią dyscyplinę, która by zdolna była ocalić ją tak od anarchii, jak i od dyktatury. Winna ona umieć rozpoznawać granicę, poza którą samo jej istnienie jest zagrożone.

* * *

Nasze demokracje dają obraz jeszcze innych braków. Ani w Anglii ani w Stanach Zjednoczonych nie znajdujemy warunków, wymarzonych przez socjalistów. Także i tam widzimy, że nasi towarzysze prowadzą walkę o wydarcie kapitalizmowi nowych ustępstw. Ale fakt, że walka ta jest tam możliwa, pozwala nam jako socjalistom wybrać nasze miejsce w obozie wielkiej demokracji przeciw Hitlerowi. Pewne reformy społeczne, ogłoszone w Niemczech co pewien czas przy biciu w wielki bęben, nie wprowadzą nas w błąd. Trzeba należeć do klasy drobnych intelektualistów mieszczańskich, kręcących się obecnie około Kommandantur, aby dać się nabrać. Zbyt drogo płaci robotnik niemiecki. Płaci swą skórą. Płaci wojną. A nawet i przed wojną, trzeba było drogo płacić dziesięciogodzinnym dniem roboczym za przyrzeczenia na przyszłość i za kilka wycieczek, podczas gdy za kulisami kapitaliści i generałowie załatwiali bez świadków swe drobne i wielkie sprawy.

* * *

Nie da się zaprzeczyć, że w demokracjach kapitalistycznych istniała wolność. Mogliśmy byli umieć lepiej ją wykorzystywać. Lecz nie byliśmy dostatecznie czujni. Przywykliśmy tak do niej, że pozwalaliśmy na jej nadużywanie — w imię wolności.

Socjalizm umiał wykorzystywać zdobyte swobody, by namacalnie poprawić los klasy robotniczej; z tej to przyczyny widzieliśmy niemal wszędzie, że kapitalizm zwracał się ku faszystwom i dyktaturze, by się utrzymać. Mussolini i Hitler zbudować mogli swą władzę dyktatorską tylko dzięki pomocy kapitalizmu.

Rewolucja ich dokonała się w płaszczyźnie gospodarczej i społecznej, co udowodnione zostało stanowiskiem państw kapitalistycznych wobec bolszewizmu i wobec faszystwu. Podczas gdy Anglia i Stany Zjednoczone czyniły wszystko, by runął Związek Radziecki, nie przedsięwzięły one nigdy niczego, by spowodować upadek Mussoliniego lub Hitlera.

* * *

Obecnie kapitalistom krajów zachodnich zagrażają siły rasizmu, którym pozwolili wyrósć. Zwycięstwo niemieckie oznaczałoby dla krajów pokonanych niewolę tysiącokroć straszliwszą niż wszystko to, co klasa robotnicza wycierpiała w społeczeństwie kapitalistycznym.

Stoimy pod tą samą chorągwią nie tylko z Z.S.R.R., ale także z demokracjami kapitalistycznymi. Z Anglią co prawda jeszcze kapitalistyczną, lecz w której mamy wszakże zapewnioną swobodę walki o socjalizm.

W tym sensie grzechem śmiertelnym jest sądzić, że wojna obecna rozgrywa się pomiędzy kapitalistami. Do wyboru mamy wolność albo wielki ucisku.

* * *

Zniesienie swobody stowarzyszania się stwarza sytuację, z których okropności zdajemy sobie obecnie sprawę w całej pełni; policja państwowa czuwa nad każdym naszym ruchem; donosicielstwo kwitnie; obóz koncentracyjny jest tylko jedną z mniejszych kłesk. Mylił się, kto myślał, że są to nieszcześciana przejściowe, związane z wojną i okupacją. Nasi towarzysze niemieccy znali te cierpienia w swym własnym kraju. Zniesienie swobody stowarzyszania się pozwala na dojście do znaczenia organizacjom takim, jak U.T.M.I. Oto związek zawodowy bez członków, nie do strawienia dla robotników, lecz korzystający z bezspornego monopolu. Ale przyjrzyjmy się z bliska, jaka jest jego siła. Może się on przechwalać, że uzyskał podwyżkę płac o 8%, lecz byłaby ona przyznana również dobrze i bez U.T.M.I. Ta sama U.T.M.I. nie mogłaby podnieść zarobków ani o jeden procent, gdyby Leemans czy też Komisarz Cen, czy też Hitler postanowili inaczej. U.T.M.I. może wysłać robotników do Niemiec i w tym to celu

Delvo został wyznaczony szefem U.T.M.I.; aliści U.T.M.I. nie może zapobiec przymusowemu zamykaniu żywotnych przemysłów naszego kraju. Może ona przedłużać czas pracy lecz nie może go skracać. Wszystko jest rozstrzygane bez niej. Ściśle, nie potrafi ona NICZEGO. Jest ona na służbie obcych panów, a robotnik nie ma już swobody wyboru swej formy organizacyjnej i swej metody walki.

* * *

Wolność prasy. Znaliliśmy czasy, kiedy to pierwszy lepszy milioner mógł nabyć dziennik i wpływać na opinię publiczną. Mogliśmy mu jednak przeciwstawić prasę robotniczą. Człowiek uczciwy mógł przynajmniej kształtować swój pogląd.

Lecz jakież jest położenie w Niemczech w tej dziedzinie? Jakie jest obecne położenie w Belgii? Codziennie panowie Poulet, Streel, Spilette zywani są do „sztafli propagandowej”, gdzie im wyznaczają temat dnia. Tego samego dnia czytać możemy we wszystkich dziennikach ten sam artykuł, nadziany tymi samymi argumentami. A te „pięknoduchy”, które ośmielają się obrzucać obelgami dziennikarzy przedwojennych, już się nawet nie czerwienią gdy swym nazwiskiem podpisują podyktowane artykuły. Gdy dziś Hitler kreśli plan Zjednoczonej Europy, oni biją oklaski. Lecz gdy jutro Goering ogłosi, że kraje okupowane będą łupione jeszcze bardziej, oni znów bić będą oklaski. Drżą i biją oklaski. Gdyby ich nie bili, w tej samej chwili przestaliby być dziennikarzami.

Jakiej to wolności możemy oczekiwać od niemieckich panów? Jakich to wolności zażywa sam „Herrenvolk” niemiecki?

Słowo „wolność” nie jest pustym dźwiękiem. Wolność nie jest nabytkiem pewnym i niezmiennym. Trzeba ją zdobywać co chwila. Ponad to ma ona wartość tylko przez cel, któremu służy. Nie uznajemy swobód jako dobrodziejstw samych przez się. Wyrzekamy się na przykład wolności wyzyskiwania cudzej pracy. Lecz, raz jeszcze, w ustroju demokratycznym mamy możliwość walki o wyzwolenie klasy robotniczej. I z tej to przyczyny zwiąaliśmy naszą sprawę ze zwycięstwem Rosji i wielkich demokracji. Zwycięstwo to jest nieodzownym warunkiem wszelkiego nowego wstępu socjalistycznego.

Powtarzamy, że wojna obecna nie jest — jak wojny poprzednie — walką pomiędzy kapitalistami. Obecnie chodzi o to, by za wszelką cenę zapobiec panowaniu jednej rasy nad wszystkimi innymi narodami i wszystkimi jednostkami. Nie brak było takich, którym mogło się wydawać, iż wolność nie ma żadnej wartości w świecie, w którym bogaci wyzyskują biednych. Rozumiemy już teraz, jak bezcenne jest odzyskanie wolności, która pozwoli nam stać się na nowo istotami ludzkimi.

B. Czy „narodowy socjalizm” ma treść socjalistyczną? Odpowiadamy: nie!

Literatura i propaganda hitlerowska wysiła się, aby przedstawić „narodowy socjalizm” jako nową formę socjalizmu. Kroki podjęte w Niemczech celem likwidacji bezrobocia, celem poprawy doli pewnych klas pracujących, ataki przeciw liberalizmowi gospodarczemu i kapitalizmowi, jak również przeciw pewnym klasom społecznym, które go w oczach hitlerowców ucieleśniają, przyczyniły się walcnie do uwiarygodnienia tego roszczenia, a w pewnych umysłach wywołały wątpliwości i zamieszanie.

Jasne jest jednak, że używanie przez hitlerowców terminologii socjalistycznej jest oczywistym nadużyciem i że wynika ono z hitlerowskich metod, polegających na urzeczywistnianiu wręcz ohydnych planów, pod pokrywką szlachetnych idei i altruistycznych hasel.

Te zamysły, których w zaraniu hitleryzmu wielu nie dostrzegało, rysują się teraz z oslepiającą jasnością w świetle straszliwych zdarzeń, które świat przechodzi. Zamysły te streścić można w słowach następujących: panowanie Niemiec nad Europą i światem.

Dla osiągnięcia tego celu, trzeba było zaprząć do dzieła wszystkie żywe siły narodu niemieckiego, a potem dodać do nich żywe siły narodów pokonanych.

Przyznać trzeba, że politykę tę przeprowadzano bardzo zżęcznie i wykonywano po mistrzowsku.

Niemiecka klasa robotnicza, wśród której idea socjalistyczne znalazły głębię nadzwyczaj żyzną, nie mogłaby być zmobilizowana do służby dla celów wytyczonych przez przewodców hitlerowskich, gdyby nie poczyniono pewnych kroków na jej rzecz i gdyby nie stworzono atmosfery politycznej, pozornie zgodnej z jej dążeniami. Klęska bezrobocia, piętnowana słusnie zresztą jako owoc liberalizmu gospodarczego i kapitalizmu, zwalczana była z energią ostateczną; proklamowano prawo i obowiązek pracy,

a zasady te poświęcono szeregiem drakońskich zarządzeń. Warunki życia robotniczego uległy częściowej poprawie, zwłaszcza w dziedzinie organizacji **wczasów**.

Można zrozumieć, iż po okresie depresji gospodarczej, po latach nędzy, spuściznie klęski 1918 roku, wielu uważało wszystkie te zarządzenia za przejawy ideału socjalistycznego. Potężna propaganda bezustannie głosiła **ten pogląd**.

Zespół tych osiągnięć na rzecz świata pracy nadszedł w tym samym czasie co i zarządzenia, kwalifikowane przez tę samą propagandę jako antykapitalistyczne, co oczywiście umacniało powyższy pogląd. Istotnie wprowadzono niezwykle surową kontrolę całej produkcji oraz wszystkich jej organów; niezwykle ciężkie podatki ugodziły w dochody kapitalistyczne, tak samo zresztą, jak w dochody z pracy; ograniczono tantiemy; w pewnych wypadkach ograniczono swobodę rozporządzania kapitałami.

Lecz po bliższym przyjrzeniu się i po upływie kilku lat ujawniło się, że wszystkie te zarządzenia mają ten sam motyw i że nie były one bynajmniej natchnione doktryną antykapitalistyczną i socjalistyczną. Chodziło jedynie o zdyscyplinowanie kapitalizmu, o podporządkowanie go wyłącznie planom hitlerowskim, zgodnym zresztą z dążeniami poważnej frakcji wielkich kapitalistów niemieckich, którzy jaśniej patrząc, potrafili w hitleryzmie rozpoznać ostatnią możliwość stabilizacji ustroju kapitalistycznego i zapewnienia mu trwałości.

Cała niemiecka klasa robotnicza została oszukana i wystawiona na pośmiewisko. Bez wątpienia, w niektórych wypadkach metody hitlerowskie polepszyły warunki życia pewnych kategorii pracowniczych; bez wątpienia, bezrobocie zostało zlikwidowane; lecz wyniki te osiągnięto tylko w celu przygotowania najstraszliwszej wojny i za cenę poświęcenia wszystkich swobód klasy robotniczej; swobód, bez których trwała poprawa jej sytuacji moralnej i materialnej jest w ogóle nie do pojęcia.

Na odwrót, w roku 1942, po więcej niż 10 latach stosowania metod „narodowo-socjalistycznych” kapitalizm niemiecki zachował wszystkie swe istotne przywileje. Co więcej, sytuacja wielkiego kapitalizmu niemieckiego wzmocniła się gruntownie. Z jednej strony, nie trzeba już się liczyć z klasą robotniczą, która skrupowana i przykuta do swego miejsca pracy, musi przyjmować warunki pracy, narzucone jej przez organy państwowe. Ponad to, państwo pokrywa wszystkie ryzyka produkcji. Wreszcie, pod pretekstem racjonalizacji, dokonuje się w Niemczech doniosła koncentracja wszystkich gałęzi życia gospodarczego, z czego przede wszystkim — jeśli nie wyłącznie — skorzystał wielki kapitał.

Niewątpliwie, wielki kapitał poddał się pewnej dyscyplinie, pogodził się z ograniczeniem dywidend, lecz to ostatnie zarządzenie, poza tym, że bardzo łatwo może ono się okazać tylko przejściowym, podyktowane jest wyłącznie względami natury walutowej i podatkowej.

Nieliczne ograniczenia, które wynikają z tych zarządzeń, zwanych antykapitalistycznymi, mogą być uważane po prostu za premię ubezpieczeniową, płaconą przez kapitał na pokrycie ryzyk, które uprzednio brał on sam na siebie i które obecnie zostały zlikwidowane, dzięki interwencji państwa narodowego i rzekomo socjalistycznego.

* * *

Jeśli jasne jest, że w dziedzinie osiągnięć socjalnych i gospodarczych, „narodowy socjalizm” nigdy nie kierował się względami prawdziwie socjalistycznymi, to o ileż bardziej widoczne jest, że aspekt nacjonalistyczny tej doktryny nie da się pogodzić z ideałem socjalistycznym.

Nacjonalizm niemiecki, który po roku 1918 ubrał się w szatę ruchu oswobodzenia narodowego, stawiając sobie za cel obalenie traktatu wersalskiego i zmazanie ran, jakie klęska zadała miłości własnej — pęczniał stopniowo nadmierną dumą narodową, która znalazła swój ostateczny wyraz w teoriach „narodowo-socjalistycznych”.

Tutaj, raz jeszcze, przewodcy hitlerowscy potrafili zręcznie skanalizować to niezwykle potężne uczucie, biorąc je na służbę swej polityki podbojów.

Podtrzymując to napięcie uczuciowe, sprawili, że Niemcy radośnie goździli się z najcięższymi ofiarami materialnymi. Dzięki nacjonalistycznemu zaślepieniu, uzyskali oni, iż naród niemiecki poddał się bez szemrania skutkom rozciągnięcia teorii nacjonalistycznych na dziedzinę gospodarczą. Podsycając stale dumę narodową, wskrzeszali nacjonalizm podbojów, którego nie powaliła całkowicie klęska roku 1918.

Najohydniejsze formy nacjonalizmu otrzymały w Niemczech sankcję niejako urzędową w teoriach „narodowo-socjalistycznych”; teorie te upewniły naród niemiecki, najbardziej naiwny naród świata, iż jest on narodem wybranym, Herrenvolkiem, którego przeznaczeniem jest panowanie

nad całym światem. Właściwe środki zapewnienia tego panowania zostały jawnie opisane w dziełach takich, jak „Mein Kampf”.

Socjaliści zwalczali zawsze tę formę wściekłego nacjonalizmu, a opozycja ich często służyła za pretekst do zarzucania socjalizmowi, iż jest antynarodowy. Tymczasem zaś nic błędniejszego. Socjalizm uznawał zawsze fakt istnienia narodu, bronił dążeń etycznych, właściwych każdemu narodowi i uważał za aksjomat polityczny, iż wartości moralne i kulturalne narodów są wymogiem rozwoju moralnego i kulturalnego jednostek, z których się narody składają.

Atoli socjalizm zwalczal zawsze szkodliwe formy nacjonalizmu, a mianowicie formy zmierzające do podsycania uczucia narodowego jednych narodów, celem przeciwstawiania go uczuciu narodowemu narodów innych. Socjalizm nieustannie piętnował tych, którzy wprzęgali to uczucie w jarzmo polityki imperialistycznej, odmawiającej innym narodom prawa do samostojnego bytu. Co więcej, jasne jest, że nacjonalizm jest nie do pogodzenia z ideałem socjalistycznym, albowiem wszystkie jego motywy są diametralnie przeciwstawne motywom, ożywiającym ideał socjalistyczny.

Większość narodów europejskich poznała obecnie wartość nacjonalizmu na modłę hitlerizmu. Hitlerizm nie pozostawił im prawa do własnych instytucyj, do dobrodziejstw własnej kultury, chyba tylko w stopniu, w jakim były one niezniszczalne albo użyteczne dla najeźdźcy.

Praca wszystkich tych narodów, kapitał nagromadzony zmusznie przez nie w ciągu całych stuleci, zostały brutalnie oddane przez organizację równie zrezygnantą, jak skuteczną na wyłączną służbę najeźdźcy; pozostawił on im tylko nieodzowne minimum, aby podtrzymać na rzecz Herrenvolku ich zdolność produkcyjną którą sobie tym sposobem zapewnił.

Klęska Niemiec, zniszczenie hitlerizmu są dla narodów uciskanych jedyną możliwością odzyskania wolności i owoców swej pracy. Jesteśmy przednią strażą walki przeciw „narodowemu socjalizmowi” w podwójnym charakterze: jako socjaliści i jako obywatele, żądni wyzwolenia ojczyzny i możności swobodnego korzystania ze swych instytucyj narodowych.

C. Dlaczego nie jesteśmy komunistami... Z. S. R. R.,
demokracja polityczna i międzynarodowy socjalizm.

Cechą umysłowości socjalistycznej jest możność nieskrępowanego poruszania najdelikatniejszych tematów. Socjalizm, doktryna całkowitej swobody duchowej, usiłuje oczyścić tory przyszłości obiektywną krytyką przeszłości i teraźniejszości. Nic nie zniekształca jego umiejętności badania historycznego, ani względę dyplomatyczne, ani jakikolwiek oportunizm tego czy innego rodzaju.

W swej pięknej mowie do młodzieży, Jaurès oświadczył pewnego razu: „Odwaga, to poszukiwanie prawdy i wypowiedanie jej”; znakomity francuski przewodca socjalistyczny sformułował na swój sposób pragmatyczne pojęcie akcji politycznej, podkreślając konieczność „dążenia do ideału i rozumienia rzeczywistości”. Pod pieczęą tej podwójnej maksymy zamierzamy zbadać tutaj problemy Z.S.R.R. i Międzynarodówki Komunistycznej w związku z aktualnym rozwojem wydarzeń.

I. Anglosaskie demokracje polityczne a Z. S. R. R.

W olbrzymim starciu, w którym przeciwstawiają się sobie obecnie dwa wyobrażenia świata: z jednej strony totalitarny faszizm, z drugiej zaś: demokracje i Z.S.R.R. — granica ideologiczna rysuje się błyskawicznie.

Po tej stronie, wszyscy ludzie miłujący wolność, jakiego by nie byli pochodzenia, rasy, narodowości i klasy, uważają zniszczenie ustrojów faszystowskich za podstawowy warunek nowego rozkwitu ludzkości. Wszelako istnieją różnice pomiędzy państwami, które zgodnie wiodą walkę o osiągnięcie tego celu.

Wielka Brytania i Stany Zjednoczone, demokracje polityczne na kapitalistycznej podbudowie gospodarczej, mają u swego boku Z.S.R.R., państwo totalitarne, kierowane przez partię komunistyczną.

Wola wyplenienia hitlerizmu i jego surogatów jest cementem negatywnym, zespalającym wspólny wysiłek tych partnerów. Któż jednak nie widzi, że między Londynem i Washingtonem, gdzie wszystkie warstwy społeczne współpracują dla zwycięstwa, a Moskwą istnieje cały świat różnic wszelkiego rodzaju, i że nazajutrz po zwycięstwie, gdy minie już pierwsze uniesienie, gdy trzeba będzie odbudowywać świat osadzając go na nowych podstawach, bardzo rozbieżne koncepcje mogą usiłować wziąć górę wśród wczorajszych sprzymierzeńców?

Socjaliści będą musieli poważnie przyczynić się do nowego układu świata. Będą oni musieli w skali narodowej i międzynarodowej osiągnąć tryumf określonych poglądów na prawa i na obowiązki państw i ludzi w granicach ludzkości, odrodzonej po zniknięciu potęg agresji. Określenie swego stosunku do demokracji i do ustroju Z.S.R.R. staje tym samym przed socjalizmem jako zadanie nieuniknione.

II. Socjalizm a demokracja.

W stosunku do demokracji, socjalizm zawsze zajmował wyraźną postawę. Ściśle wiążące w cały mechanizm życia publicznego, tak w demokracjach angielskiej i amerykańskiej, jak w całej Europie zachodniej, ruchy robotnicze i socjalistyczne będą się powoływały na całą swą przeszłość gdy podniosą żądanie odbudowy demokracji społecznej. Demokracja społeczna nacechowana była wielkimi swobodami, osiągniętymi między innymi w rewolucji angielskiej (w XVII-tym wieku) i francuskiej (1789) oraz w ciągu stulecia walk socjalizmu międzynarodowego o demokrację polityczną (powszechne głosowanie). Przywrócone, te podstawowe swobody służyć winny za punkt wyjścia dla zdobycia demokracji gospodarczej wraz z jej wyzwolenczą swiata wielorakich zdobyczy społecznych, równoległe z wzmocnieniem w każdym poczucia odpowiedzialności wobec siebie samego i wobec społeczeństwa. Nie należy wątpić, iż okres powojenny, po tryumfie sił wolności, zagna w państwach kapitalistycznych olbrzymiego przesunięcia wartości społecznych. Rozległość i rozpiętość tego przesunięcia będzie miernikiem naporu socjalistycznego. Ale jeśli demokracje kapitalistyczne będą musiały wyróżnić przeciwieństwa klasowe przez lepszy podział dochodu narodowego, co stanie się w Z.S.R.R., kraju bez demokracji i bez kapitalizmu (w sensie tradycyjnym, jaki nadajemy tym wyrazom)? Jakie zadania postawią sobie w naszych krajach partie komunistyczne, zgrupowane w międzynarodówce komunistycznej (Komintern)? I jak zareaguje socjalizm?

III. Socjalistyczna krytyka Z.S.R.R.

Pod koniec dwudziestopięciolecia przeobrażeń Republiki Sowieckiej, stronnictwa socjalistyczne, zgrupowane w Socjalistycznej Międzynarodówce Robotniczej (S.M.R.), kierowały się na ogół następującymi przesłankami:

Z.S.R.R., narodzony z rzeczywistego rewolucyjnego wysiłku proletariatu rosyjskiego, pozostawał zizolowany w świecie wrogim bolszewizmowi. Jego ustrój wewnętrzny zatracił szybko wszelki ślad demokracji robotniczej, a dyktatura stała się monopolem partii komunistycznej, z wszystkimi konsekwencjami, jakie sytuacja ta nałożyła na obywateli Z.S.R.R. Wyznających poglądy odmiennie od poglądów partii dyktatorskiej. Broniąc Z.S.R.R. przed stronnictwymi atakami reakcyjnych i faszystowskich przeciwników, socjalizm międzynarodowy żądał od niego, by przyznał ludowi rosyjskiemu swobody nieodzowne dla indywidualności ludzkiej. W płaszczyźnie międzynarodowej socjaliści potępiali jawną czy ukrytą współpracę między faszystami a komunistami, skierowaną przeciw demokracji. Potępili też formalnie pakt hitlerowsko-rosyjski z dnia 23 sierpnia 1939 r. Po 22 czerwca 1941 r. napaść niemiecka wyprostowała linię kierunkową Rosji i zsolidaryzowała interesy demokracji z Z.S.R.R., podczas gdy armia sowiecka swymi znakomitymi czynami odnawia świetność armii czerwonej z pierwszych lat Rewolucji Październikowej.

IV. Partie komunistyczne a Międzynarodówka Socjalistyczna.

Partie komunistyczne, odbierając dyrektywy z Moskwy, bardzo szybko wyrzekły się wszelkiej samodzielności. Niezależnie od motywów, którymi się te partie kierowały, dostosowywały one ślepo swą postawę do postawy kierowników Z.S.R.R., stawiając służbę Z.S.R.R. nad służbę ludowi pracującemu swych własnych krajów.

Zagraniczne przyczepki sowieckiego Komisariatu Spraw Zagranicznych — partie komunistyczne, proletariackie w swym składzie i socjalistyczne w swych celach, były w rzeczywistości organami wykonawczymi państwa sowieckiego. Dzisiaj, na tajnym froncie wolności, komuniści odważnie narazają swe życie.

V. Czy Z.S.R.R. ulegnie przeobrażeniom?

Czy Z.S.R.R. pozostanie taki, jaki był we wrześniu 1939, na progu obecnej wojny światowej, czy też zdemokratyzuje swój ustrój wewnętrzny?

Czy — w drodze reperkursji — partie komunistyczne odzyskają zdolność działania na rzecz demokracji, razem z robotnikami socjalistycznymi poszczególnych narodów? Tylko przyszłość odpowie na te pytania.

Zakończenie.

Wojna ta, prowadzona pod znakiem wolności przeciw tyranii, zrodzi potężny pęd do totalnego wyzwolenia jednostki. Nie uniknie tego żaden naród, żaden kontynent.

Na tym rozstaniu dróg historii, socjalizm będzie miał do spełnienia postanowienie wyjątkowo bogate. Zbrojny w swą doktrynę wyzwolenczą, uprawniony rzecznik milionów wytwórców fizycznych i umysłowych, będzie mógł nareszcie zebrać plon długotrwałego apostołstwa. Warunkiem jest po temu, by do rozstrzygających problemów, jakie niesie demokracja polityczna i demokracja gospodarcza, socjalizm wniósł formuły jasne i śmiałe, odpowiadające potrzebom i dążeniom przygniatającej większości ludzkości.

Takie jest brzmienie rozprawy w „L'Idée Socialiste”.

OPÓR PRZECIW DEPORTACJOM

Już w czasie wojny poprzedniej, Niemcy uprowadzili z Belgii 60.000 robotników do Niemiec. Ta sama historia, na skalę wielokrotnie większą, powtarza się w czasie wojny obecnej. Po zajęciu Belgii w 1940 r., okupanci przystąpili do masowego wysyłania robotników do pracy w Rzeszy. Najpierw nakazali zwolnić z pracy wszystkich bezwzględnie potrzebnych oraz bezdzietnych, następnie odebrali bezrobotnym zasiłki, a nawet karty żywnościowe. Innym sposobem wyciskania rąk roboczych z podbitej Belgii było wstrzymanie dostawy surowców dla przedsiębiorstw miejscowych (z wyjątkiem niezbędnych dla niemieckiej maszyny wojennej) oraz tzw. koncentracja przemysłu, która w samym tylko przemyśle tkackim pozbawiła pracy 30.000 robotników. Dnia 6 marca 1942 r. generał von Falkenhausen, gubernator wojskowy Belgii i północnej Francji, wprowadził przymus pracy w całym kraju oraz nadał władzom absolutne prawo przenoszenia robotników z jednego zakładu pracy lub zawodów do innych. Drewnując tymi sposobami belgijski rynek pracy, Niemcy zdołali wycisnąć z Belgii 310.000 robotników do Niemiec, z czego 130.000 zdołało zbiec z powrotem do Belgii, ukrywając się przed tropiącą ich żandarmerią okupancką.

Do jesieni 1942 r. okupanci stosowali środki nacisku gospodarczego na robotników belgijskich, zachowując formalnie pozory „ochotniczego” wyjazdu na roboty do Rzeszy. Po dwóch latach okupacji, Niemcy przystąpili do metod zsyłki przymusowej i łapanek. Dekretem z dnia 8 października 1942 r. władze okupacyjne zarządziły przymusowy pobór Belgijczyków (mężczyzn w wieku lat 18-50 i kobiet niezamężnych w wieku lat 21-35) do pracy w Niemczech. Na dekret ten Belgijska Partia Socjalistyczna odpowiedziała następującym wezwaniem:

Do ludności Belgii.

Precz z zsyłką!

Stało się! Przyparta do muru, osaczona bestia hitlerowska, czująca że zwycięstwo się jej wymyka, lecz walcząca wciąż jeszcze w nadziei uzyskania pokoju kompromisowego — ucieka się do środków ostatecznych. W ręczy samej, cztery rozporządzenia wojskowej władzy okupacyjnej z daty 4 października organizują masową zsyłkę obywateli belgijskich do Niemiec.

Tak jak w roku 1917? Nie, gorzej jeszcze. Albowiem tym razem nie oszczędzono młodych kobiet. Mają one masowo jechać do katorgi hitlerowskiej i żyć tam w nieznośnych warunkach materialnych i moralnych. A dalej, w roku 1917 nie było bombardowań lotniczych, które obecnie pustoszą niemieckie ośrodki przemysłowe. Wreszcie, w roku 1942 istnieje reżim hitlerowski, wykorzystujący i tyranizujący okrutnie wszystkich, kogo trzyma w swych szponach, a zwłaszcza cudzoziemców nie należących do rasy wybranej.

Belgijska Partia Socjalistyczna protestuje energicznie przeciw temu zarządzeniu, nieludzkiemu i sprzecznemu z prawem międzynarodowym.

Od dwóch lat, klasa robotnicza szamota się w żalosnym położeniu. Po zniszczeniu jej organizacji przez okupanta, nie może się ona bronić legalnie. Czy ma być ona raz jeszcze jedyną ofiarą?

Czyż zatem nie podnieście się w kraju żaden głos energicznego i odważnego protestu?

Tysiące belgijskich ognisk domowych mają być zdeorganizowane lub zniszczone. Czy król, który odbudował swoje ognisko domowe i ma przy sobie żonę i dzieci, nie uczyni? Sądźmy, że mamy prawo zwrócić się

do niego z zapytaniem: **Czy nie masz nic do powiedzenia? Czy to w ten sposób ma się „powrócić do pracy” aby przynieść ulgę krajowi?**

Następnie, partia nasza zwraca się do władz kościelnych, które w pewnej mierze mogą jeszcze przemawiać do tłumów. Zwłaszcza zaś zwracamy się do kardynała Van Roey'a, najwyższego dostojnika kościoła katolickiego i następcy wielkiego kardynała Mercier'a, **który nie milczał w roku 1917.**

Partia mu powiada: Zawsze na pierwsze miejsce w swych troskach wysuwał obronę materialnych i moralnych interesów rodziny. Otóż są one w wielkim niebezpieczeństwie. **Czyż zamierzasz pozostać bierny? To byłoby nie do pojęcia. W każdym razie, czas nagli. Olbrzymia większość Belgów nadsłuchuje i czeka, co powiesz.**

Partia zwraca się również do **przedsiębiorców** i oświadcza im: Władza niemiecka i usłużne jej urzędy pracy liczą na was w jak najszybszym wykonaniu dekretów niewolniczych. Naśladujcie pracodawców francuskich, którzy mnożą przeszkody na drodze Lavalów i ich niemieckich rozkazodawców, w współpracy z pracownikami francuskimi, wiernymi naszemu wspólnemu ideałowi wolności i godności ludzkiej.

Partia zwraca się wreszcie do **robotników i robotnic, do wszystkich obecnych i przyszłych ofiar barbarzyństwa hitlerowskiego** i udziela im tych kilku wskazówek.

A) W żadnym wypadku, robotnicy i robotnice zarekwirowani nie powinni podpisywać kontraktu. Niechaj nie ustępują ani przed przyrzeczeniami ani przed pogrozkami. Niech wiedzą, że umieszczenie podpisu pod jakimkolwiek dokumentem narazi ich na wszelkiego rodzaju przykrości i pozwoli hitlerowcom oraz ich belgijskim swojakom częściowo uniknąć odpowiedzialności.

B) **Hełkroć to możliwe**, belgijszyk zagrożony zsyłką powinien umykać z niemieckich szponów. Przede wszystkim, niech głowy rodzin czynią co w ludzkiej mocy, by córki ich nie zostały pohańbione przez hitlerowskie bydła.

C) W Niemczech, zesłany belgijszyk będzie pracował inteligentnie, to znaczy, **nie narazając się nierozważnie**, produkować będzie minimalnie sabotując maksymalnie. Co więcej, w kraju nieprzyjacielskim nie będzie się zachowywał jak zwyciężony, lecz odwrotnie — jak człowiek pewny zwycięstwa i wyzwolenia.

Belgowie!

Rozpoczęła się ciężka próba, wybita godzina. Staniemy na wysokości zadania. W górę serca. Umiejmy w cierpieniach naszych znaleźć znakomite pocieszenie:

Pewność niemieckiej klęski.

We wszystkich krajach wolnych wykuwa się broń naszego ocalenia. Każdej chwili, armie wyzwolenia mogą ruszyć w drogę. My żołnierze frontu wewnętrznego, raz jeszcze potrafimy stawić czoło despotyzmowi hitlerowskiemu.

Belgijska Partia Socjalistyczna, Centrala Walońska.

W odezwie powyższej na uwagę zasługuje: a) konkretne sformułowanie wskazówek co czynić mają zagrożeni deportacją; wskazówki te są realistyczne i ostrożne, ale bardzo zarazem wyraźne; b) stanowcze żądanie, by klasa robotnicza w godzinie ciężkiej próby nie była pozostawiona sama sobie i zdana wyłącznie na swe siły. Stąd apel do pracodawców, do króla i do wysokiego duchowieństwa katolickiego.

Jak zareagował król? Jak zareagował kler na to wezwanie?

Król Leopold zwrócił się do kanclerza Rzeszy niemieckiej, przedstawiając mu głęboki niepokój, jaki masowe zsyłki powodują w ogniskach domowych ludności, która nie zapomniała obozów pracy z czasów wojny lat 1914-18; król prosił usilnie o cofnięcie tego niesłusznego zarządzenia. Odpowiedź brzmiała, iż wymogi wojny nie pozwalają Niemcom na wstrzymanie zsyłek. „Zmuszony byłem — pisał król w liście swym z dnia 17 grudnia 1942 r. do p. Nolf, przewodniczącego Belgijskiego Czerwonego Krzyża — znieść tę odmowę, ale uchybiłbym swemu obowiązkowi, nakazanemu sumieniem, gdybym nie próbował ulżyć cierpieniom, jakie za sobą pociąga praca przymusowa, która stała się nieuchronna”. Król zwrócił się zatem do Czerwonego Krzyża o pomoc dla zesłanych i ich rodzin oraz o ulżenie ich losowi. *)

Taki był przebieg i takie były — równe zero — wyniki interwencji królewskiej. Interwencja kleru nastąpiła znacznie później. W dniu 21

*) „La Belgique Independante”, Londyn, z dnia 1 kwietnia 1943 r.

marca 1943 r. we wszystkich kościołach belgijskich odczytany został zbiorowy list pasterski episkopatu belgijskiego, z kardynałem Van Roey na czele, przeciw rekwizycji dzwonów kościelnych i deportacji robotników. List pasterski stwierdzał, iż... „zarządzenia o rekwirowaniu ludzi są bezwzględnie nieusprawiedliwione; gwałcą one prawo przyrodzone, prawo międzynarodowe i moralność chrześcijańską. Nie liczą się z żadnym względem: ani na godność i wolność nieodzowne dla istoty ludzkiej, unicestwienie przez przymus i groźbę surowych sankcyj; ani na dobro i honor rodzin boleśnie zranionych przez gwałtowną rozszypkę, ani na najwyższy interes społeczeństwa, które w następstwie nieuchronnie dozna uczuć gniewu i głuchej nienawiści, jaką te zarządzenia posiadały w tysiące serc uciśnionych. Gwałt zadany ciałom i woli jest ciężki. Pogwałcenie sumień jest jeszcze cięższe. Zmusza się obywatele belgijskich do bezpośredniej współpracy w operacjach wojskowych obcego państwa, które niesprawiedliwie narzuciło ich ojczyźnie reżim okupacyjny bardzo twardy, nie dając żadnych zapewnień co do jej przyszłości; umieszcza się robotników a przede wszystkim robotnicę w warunkach moralnych i religijnych narażających ich na ciężki szwank... Powiada się, że te zarządzenia są nieodzowne dla obrony cywilizacji europejskiej. Jej obronie, czy raczej jej zniszczeniu służą te metody, gwałcące podstawowe zasady wszelkiej cywilizacji? Rozum ludzki i moralność chrześcijańska potępiają i piętnują te metody niesprawiedliwości i barbarzyństwa; wszelka współpraca w wykonywaniu tych zarządzeń jest grzechem ciężkim. Narody cywilizowane, o ile o tym wiedzą, niechybnie wyrażą swe głębokie potępienie...” *)

Słowa listu pasterskiego były stanowcze, lecz przyszedł on późno, w więcej jak pół roku po dekreтах okupacyjnych. Pozostawiona sama sobie, klasa robotnicza sięgnąć musiała do środków samoobrony, w granicach, na jakie pozwalał czas i miejsce. Takimi środkami były m. in. napady na urzędy pracy i zniszczenie w nich wszystkich aktów (Leodium, La Louviere), wybuch bomby w urzędzie pracy (St. Nicolas). Zwłaszcza w prowincjach Leodium i Hainaut, robotnicy bronili się strajkami. Odnotowujemy kilka z tych samorzutnych akcji, jak dwudniowy strajk protestacyjny robotników kolejowych w Leodium. Strajk w zakładach metalurgicznych Cokerill w Seraign objął ponad 10.000 robotników i zmusił okupantów do odroczenia terminu deportacji części załogi do 15 lutego. W Charleroi, gdy w połowie lutego władze niemieckie wydały 1200 robotnikom zakładów konstrukcji elektrycznych rozkaz wyjazdu do Niemiec, w odpowiedzi 4500 robotników tej fabryki porzuciło pracę, po czym strajkujący wezwali inne fabryki do strajku solidarności. Niemcy zaproponowali ograniczenia liczby deportowanych do 400, ale strajk trwał nadal, co więcej, przerzucił się na największe fabryki całego okręgu i został zlikwidowany dopiero przez zandarmerię polową, która groźbą karabinów maszynowych zmusiła robotników do powrotu do pracy. Wkrótce potem doszło do masowych strajków w okręgu Leodium, gdy na wyjazd do Niemiec wyznaczono 160 robotników. W ich obronie porzuciło pracę 3.000 robotników w dniu 24 lutego; następnego dnia zastrajkowały huty stalowe w całym okręgu, 10 kopalń węgla i huty szkła w Val Saint-Lambert. W czwartym dniu akcji, strajk obejmował już 60.000 robotników. W szeregu ośrodków strajki trwały przez trzy tygodnie. W odpowiedzi, komendant Leodium, gen. Bertram rozplakatował groźbę zesłania za granicę (do Niemiec) każdego, kto popemnia „zbrodnie” strajku oraz zapowiedział represje w stosunku do rodzin strajkujących. Dnia 1 marca niemiecki komendant w Gandawie wydał barbarzyńskie zarządzenie, wedle którego opierający się deportacji będą karani, majątek ich może ulec konfiskacie, a kary mogą być rozciągnięte także na rodziny opornych i na wszystkich, którzy im okazują pomoc; opornym grozi ponad to utrata kart żywnościowych.

Akcje robotnicze osiągnęły częściowe ustępstwa okupantów, w ostentacyjnym efekcie jednak 110.000 robotników uległo przymusowej deportacji do Niemiec, powiększając liczbę Belgijczyków, pracujących w Rzeszy, do 430.000 (wedle danych niemieckich). W listopadzie 1943 r. było ich już pół miliona. Ich stosunek do niemieckiej maszyny wojennej określa najlepiej żałosna skarga, pomieszczona w organie hitlerowców flamandzkich „Volk en Staat”: „Całym swym zachowaniem się belgijscy robotnicy w Niemczech wykazują, że los Niemiec jest im obojętny”.

Oczywiście, i to jest nieprawda. Los Niemiec nie jest wcale obojętny podbitym Belgom. W cierpieniach swych — mówiąc słowami odezwy socjalistycznej — robotnicy belgijscy znajdują znakomite pocieszenie: pewność niemieckiej klęski.

*) „La Belgique Independante”, Londyn, z dnia 22 kwietnia 1943 r.